

HAMMOND INNES

TAJEMNICA „MARY DEARE”



HAMMOND INNES

Tajemnica MARY DEARE

Bosmanowi i załodze „Tribune of Troy” wspominając sztorm koło Minków.

Część pierwsza

I

Byłem zmęczony i przemarznięty; trochę się też bałem. Czerwone i zielone światła pozycyjne rozjaśniały żagle niesamowitym blaskiem. Za nami nie było nic, próżnia całkowitego mroku, w której morze odzywało się cichymi szmerami. Wyprostowawszy ścierpnięte nogi zacząłem ssać cukierek. Żagle tworzyły upiorny łuk nad moją głową, łopocząc do wtóru przechyłom i kołysaniu „Wiedźmy Morskiej”. Przy słabych podmuchach jacht ledwo sunął po wodzie, lecz martwa fala wzniesiona marcowymi wiatrami była wysoka i mimo otępienia cały czas zdawałem sobie sprawę, że to tylko cisza przed burzą. Prognoza pogody.

O godzinie szóstej brzmiała złowróżbnie. W okolicach Rockall, Shannon, Zatoki Sole i Finisterre zagrażały silne wichury. Poza kręgiem lampy kompasowej rozpościerał się ciemny zarys jachtu i rozpląwał w lepkiej czerni. Tak często śniłem o tej chwili. Był jednak marzec i po piętnastu godzinach w Kanale ziąb zagłuszył podniecenie wywołane posiadaniem własnego jachtu. Grzywiasta fala zamigotała w mroku i uderzyła o konchę rufy, opryskując mi twarz i pomykając z sykiem do tyłu. Boże! Jak zimno! Zimno i wilgotno - a na niebie ani śladu gwiazd.

Drzwi kabiny nawigacyjnej otwarły się z trzaskiem i na moment ujrzałem mesę, na której jasnym tle zamajaczyła zwalista sylwetka Mike'a Duncana w ubraniu sztormowym; w obu rękach trzymał parujące kubki. I znów drzwi odgrodziły mnie od światła, a otoczyła ciemność i morze.

- Zupy? - Wesoła, piegowata twarz Mike'a wyłoniła się spośród nocy i jakby oderwana od ciała zawisła w świetle latarni. Podał mi kubek uśmiechając się spod zrudwestki. - Przyjemnie tu i rześko w porównaniu z kuchnią - rzekł, ale natychmiast spoważniał. - Co to, u pioruna? - Ponad moim lewym ramieniem spoglądał za rufę. - Chyba nie księżyc, co?

Obejrzałem się. Chłodna, przezroczysta zieleń mignęła na horyzoncie - upiorny ognek, na widok którego w nagłym przerażeniu wstrzymałem oddech, a przez moją głowę przemknęły wszystkie stare opowieści żeglarskie o rzeczach strasznych i nadprzyrodzonych, jakie pojawiają się na morzu.

Blask stawał się coraz silniejszy, bardziej fosforyczny, nieziemski - widmowy blask wielkiego świetlika. Nagle skoncentrował się i zmalał do rozmiarów zielonego łebka od szpilki, ja zaś ryknąłem na Mike'a:

- Dawaj aldisa! - Wyglądało to na prawe światło pozycyjne dużego parowca: zmierzało wprost ku nam. Przez mgłę przebiły się teraz żółte światła pokładowe; miękko jak stłumione bicie tamtamu dochodził łoskot maszyn, cichy, pulsujący.

Promień lampy Aldisa wdarł się w mrok i oślepił nas, odbity od grubej zasłony otulającej łódź. Mgła morską podpełzła ku mnie nie zauważona. Niewyraźnie zamigotała biel fali dziobowej, po czym zarysował się kontur samego dziobu. Jednym spojrzeniem objąłem całą przednią część statku. Jak duch wychynął z mgły i tępy dziób już wznosił się nad nami, gdy obróciłem kołem sterowym.

Wieki upłynęły mi na oczekiwaniu, aż „Wiedźma Morska” zawróci, aż kliwer wypełni się wiatrem na nowym halsie, a przez ten czas wciąż słyszałem szum nadciągającej fali dziobowej. - Rozbije nas! Chryste! Rozbije nas! - brzmi jeszcze w mych uszach ostry, donośny krzyk Mike’a. Mrugał lampą Aldisa w stronę mostku kapitańskiego. Nadbudówka aż się jarzyła, promienie latarni wracały odbite od okien. Spiętrzona bryła parowca waliła na nas jak burza, z szybkością dobrych ośmiu węzłów, bez przeszkód, bez zmiany kursu.

Bomy grota i bezana z hałasem przecięły powietrze.

Kliwer wydał się do tyłu. Przez sekundę śledziłem beczynn timer, jak „Wiedźma Morska” odpada od wiatru. Każda jej część, od czubka bukszprytu aż po top grotmasztu, lśniła zielonkawo w zasięgu błyszczącego wysoko w górze prawego pozycyjnego światła statku. Zluzowałem lewy szot kliwra i wybrałem prawy; żagiel wybrzuszył się. Wtem Mike krzyknął: - Uwaga! Nie puszczaj! - Z ogłuszającym rykiem uderzyła w nas spieniona fala. Przewaliła się przez kokpit, stawiając mnie na nogi, szarpiąc sterem. Zakreśliwszy szalony łuk żagle pochyliły się tak mocno, że bom i część grotżagla znikły pod powierzchnią.. Tony wody zalały pokład. A parowiec prześliznął się tuż za burtą, jak skała.

„Wiedźma Morska” ociekając białymi strugami powoli wyszła z przechyłu. W dalszym ciągu trzymałem za koło, a Mike uczepony baksztagu klął co sił w płucach. Słowa jego ledwo do mnie docierały poprzez potężny stuk maszyn. Do tego odgłosu dołączył się inny - równomierne uderzenia wystającej nad wodę śruby.

Zawołałem Mike’a, lecz on uświadomił już sobie niebezpieczeństwo i sam zapalił aldisa. W ostrym świetle ukazało się przeżarte rdzą poszycie i pokryty wodorostami znak wolnej burty. Potem blachy poszycia zbiegły się ku rufie, za którą młócące skrzydła śruby tworzyły spienione wiry. Jacht zadrżał, żagle jego obwisły i w chwilę później zsunął się w ten młyn z grzbietu fali. Obroty śruby tuż za naszą lewą burtą słały bryzgi po dachu kajuty, zalewały grotżagiel.

Wkrótce wszystko przycichło w ciemnościach za bukszprytem, a my chybotaliśmy się na falach za rufą parowca. Promień aldisa wyszperał jego nazwę:

- Southampton”. Patrzyliśmy oszołomieni na rdzawe litery, dopóki rufa całkiem nie rozmazała się we mgle. Tylko maszyny pulsowały jeszcze cicho, milknąc wśród nocy. Słaby zapach spalenizny unosił się czas jakiś w wilgotnym powietrzu.

- Takie syny! - wybuchnął Mike, niespodzianie odzyskując mowę. - Takie syny! - powtarzał.

Z kabiny nawigacyjnej wyłoniła się jakaś postać. Był to Hal. - Wszystko w porządku, chłopcy?

Jego głos - trochę zbyt opanowany, trochę zbyt wesoły - drżał lekko.

- Nic nie widziałeś?! - wrzasnął Mike.

- Owszem, widziałem.

- Musieli nas zauważyć, świeciłem aldisem na mostek, gdyby trzymali wachtę...

- Nie trzymali wachty. A właściwie to na mostku nie było chyba nikogo. - Hal mówił tak spokojnie, że nie od razu pojąłem znaczenie jego słów.

- Jak to, nikogo na mostku? - wtrąciłem.

Hal wyszedł na pokład. - Nim uderzyła nas fala dziobowa, poczułem już, że coś jest nie w porządku. i kabiny nawigacyjnej śledziłem promień aldisa. Padał dokładnie na mostek. Nie mogło tam być nikogo. Nikogo nie widziałem.

- Wielki Boże, czy wiesz, co to znaczy?

- Oczywiście, że wiem - odparł stanowczo, trochę po wojskowemu. - Dziwne, prawda?

Człowiek tego typu nie byłby zdolny zmyślić podobnej [historii. H. A. Lowden - dla przyjaciół Hal - były artylerzysta, pułkownik w stanie spoczynku, letnie miesiące poświęcał zawsze morskim regatom i zdobył bogate żeglarskie doświadczenie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nikogo nie było za terem? - spytał Mike z nutą niedowierzania.

- Nie wiem - odrzekł Hal. - To wydaje się nieprawdopodobne. Mogę was jednak zapewnić, że przez sekundę widziałem wewnątrz nadbudówki i moim zdaniem nie było im nikogo.

Zamilkliśmy, zbyt zdumieni, by coś mówić. Myśl, że duży statek bez sternika przedziera się przez najeżone skałami obszary u francuskiego wybrzeża... to absurd. Mike przerwał ciszę niespodziewanie praktycznym pytaniem: - A co z zupą? - W świetle aldisa zobaczyliśmy kubki leżące na dnie kokpitu zalanego wodą na głębokość stopy. - Ugotuję

chyba nową porcję. I zwracając się do Hala, który na pół ubrany podpierał ścianę kabiny nawigacyjnej, dodał: - A pan pułkownik? Zje trochę zupy, prawda?

Hal skinął głową. - Nigdy nie odmawiam. - Powiódł oczami za Mike'em, po czym zwrócił się do mnie: - Jesteśmy sami, mogę więc stwierdzić, że chwila ta nie była najprzyjemniejsza. Jakim cudem znaleźliśmy się wprost na jego kursie?

Wyjaśniłem, że statek szedł za nami, pod wiatr, więc nie było słycać maszyn. - Najpierw zauważyliśmy we mgle prawe światło pozycyjne.

- Nie nadawali sygnałów mgłowych?

- W każdym razie nie było ich słycać.

- Dziwne! - Jego wydłużona sylwetka rysowała się przez moment w blasku lewego światła, po czym zbliżył się do mnie i usiadł na zrębicy kokpitu. - Patrzyłeś na barometr podczas wachty? - zagadnął.

- Nie. A bo co? -.

- Ciśnienie spada. - Skrzyżował ramiona otulając się grubym swetrem. - Spadło znacznie, odkąd zszedłem pod pokład. - Zawahał się. - Wiesz, burza może nas złapać dość szybko. - Nie odpowiedziałem, więc wyciągnął fajki i zaczął ssać ustnik. - Szczerze mówiąc, John, wcale mi się to nie podoba. - Opanowanie dodawało jego słowom powagi. - Jeśli prognoza się sprawdzi i powieje północno - zachodni, będziemy mieli wybrzeże po zawietrznej. Nie lubię huraganów i zawietrznych wybrzeży, szczególnie za wybrzeży Wysp Normandzkich.

Milczałem przekonany, że chce, bym zawrócił do Francji Uparcie, ale i nie bez strachu wpatrywałem się w róż kompasową.

- Szkoda silnika - mruknął. - Gdyby nie nawalił...

- Po co o tym wspominać? (Nic więcej nam się ni popsuło). Zawsze gardziłeś silnikami.

Niebieskie, błyszczące w promieniach lampy kompasowe oczy obserwowały mnie bez zmrużenia. - Chciałem jedyni podkreślić - podjął łagodnie - że gdyby motor nie nawalił mielibyśmy już o tej porze połowę Kanału za sobą i sytuacja przedstawiałaby się z gruntu inaczej.

- Ja nie zawracam.

Wyjął z ust fajkę, by coś powiedzieć, lecz zaraz wsadził ją powrotem i obserwował mnie tymi swoimi nieruchomymi błękitnymi oczami.

- Cały kłopot w tym, że przywykłeś pływać tylko na doskonałych jachtach regatowych, na niczym gorszym - wyrwało mi się niechcący. Byłem zły i nerwy miałem wciąż jeszcze napięte po spotkaniu z parowcem.

Zapanowało niezręczne milczenie. W końcu przestał ssać fajkę. - Po prostu lubię przybijać do celu - rzekł spokojnie. - Takielunek zżarty rdzą, liny przegniłe, a żagle...

- Mówiliśmy już o tym w Morlaix - uciąłem krótko. - Wiele jachtów przebywa Kanał w stanie gorszym niż Wiedźma Morska”.

- Nie w marcu, przy zagrażającej wichurze. I z silnikiem. Wstał i ruszył przed siebie. U podstawy masztu schylił się, by coś podnieść. Usłyszałem trzask drewna, a po chwili lal cisnął mi do stóp płat burty.

- To rezultat uderzenia fali dziobowej. - Usiadł na dawnym miejscu. - Kiepsko wyglądamy, John. Jacht nie był u przeglądu, a jak wiesz, po dwu latach leżenia na błotnistym francuskim wybrzeżu kadłub może być równie przegniły jak takielunek.

- Kadłub jest dobry - odparłem już spokojnie. - Trzeba będzie wymienić parę klepek i załatać dziury. Ale to czystko. Zbadałem każdy jego cal z nożem w rękę, nim go kupiłem. Drewno z całą pewnością jest zdrowe.

- A co z okuciami? - Leciutko uniósł prawą brew. - tylko inspektor potrafiłby powiedzieć, czy okucia...

- Mówiłem ci, że oddam jacht do przeglądu, jak tylko zawiniemy do Lymington.

- Tak, ale teraz nic nam to nie pomoże. Jeśli wiatr złapie as znienacka... Jestem ostrożny - dodał. - Lubię morze, le nie ośmielam się z nim zadzierać.

- Cóż, mnie nie stać na rozwałę. Przynajmniej nie teraz. Zawiazaliśmy ostatnio z Mike'em spółkę ratowniczą każdy dzień opóźnienia w powrocie do Anglii z jachtem, który należało poddać przeróbce, skracał nam sezon nurkowy. Hal dobrze o tym wiedział.

- Proponuję tylko, byś o jeden rumb zoczył z kursu.

Płynąc ostro pod wiatr znaleźlibyśmy się na wysokości Les Hanois na wyspie Guernsey. A wtedy można wykorzystać kierunek wiatru i szukać schronienia w Saint Peter Port.

- Naturalnie... - Przetarłem oczy. Powinienem by wiedzieć, do czego zmierza. Ale zmęczenie i przygoda z parowcem rozstroiły mnie nerwowo. Dziwne, że statek tak jakby przez nas przepłynął.

- Rozbity jacht nie ułatwi wam akcji ratowniczej - przerwał Hal moją zadumę. Brak odpowiedzi potraktował widocznie jako odmowę. - Pomijając osprzęt, nie mamy dostatecznie licznej załogi.

Była to prawda. Praktycznie liczyło się nas trzech. Czwarty członek załogi, Ian Baird, dostał morskiej choroby zaraz po opuszczeniu Morlaix. A na trzech ten czterdziestotonowy jacht był spory.

- Dobrze - powiedziałem. - Popłyniemy w kierunku Guernsey.

Skinął głową, jakby dawno się tego spodziewał.

- Trzeba wziąć kurs sześćdziesiąt pięć stopni.

Położyłem ster na prawo, odczytując nowy kurs na różę kompasowej. Hal musiał określić ten kurs w kabinie nawigacyjnej tuż przed pojawieniem się parowca.

- Obliczyłeś chyba i odległość?

- Pięćdziesiąt cztery mile. A przy tym tempie - dokończył - zdąży się rozwidnić, zanim tam dotrzemy.

Milczeliśmy skrępowani. Słyszałem, jak ssie pustą fajkę nie odwracałem jednak wzroku od róży kompasowej Psiakrew! Należało samemu pomyśleć o Peter Port! Alł tyle było w Morlaix roboty z szykowaniem jachtu... O mały włos nie zapracowałem się na śmierć, nim wszystko był(gotowe).

- Ten statek... - Głos jego, trochę niepewny, dobieg z ciemności wypełniając przerwę w rozmowie. - Diabli dziwne - mruknął. - Jeśli rzeczywiście był opuszczony...

I półzartem dodał: - Jedna taka akcja urządziłaby was d< końca życia. - Zdawało mi się, że wyczuwam w tyc słowach poważną nutę, a mimo to, kiedy na niego spojrzałem, roześmiał się i wzruszył ramionami.

- No, idę spać. - Wstał. Od czarnego konturu kabiny nawigacyjnej przyplłynęło ku mnie: „dobranoc”

Niebawem zjawił się Mike z kubkiem gorącej zupy dopóki piłem, snuliśmy dzikie przypuszczenia na temat „Mary Deare”, a później zostałem sam. Czy rzeczywiście la mostku nie było nikogo? To zbyt niewiarygodne - opuszczony statek, gnający na łeb, na szyję przez Kanał. 4nie jednak, zziębniętemu i samotnemu pod błado mającącymi żaglami, z których beznadziejnie kapała skraplająca ię mgła, wszystko wydawało się możliwe.

O trzeciej wachcie objął Hal i przez dwie godziny śniłem i tępym rdzawym dziobie zawieszonym nad nami, kołyszającym się powoli, bez ustanku. Ocknąłem się zdjęty trwogą, oblany zimnym potem i przez kilka minut roztrząsałem w myślach to, co powiedział Hal. Dziwne byłoby wyratować ta tek tak po prostu, zanim jeszcze... Ponownie zapadłem i drzemkę, ledwie ten pomysł zakiełkował mi w głowie. Wkrótce potem poczułem szarpnięcie i musiałem stanąć za terem w otepiającej godzinie przedświt; wspomnienie „Mary Deare” przybladło i zatarło się na chłodzie. - Dzień nadchodził powoli, jakby z ociąganiem; stalowe,

ponure morze falowało łagodnie, lekko wygładzone. Północy wiatr jak dotąd był słaby. W ciągu nocy zmieniliśmy hals.

Za dziesięć siódma poszliśmy z Halem do kabiny nawigacyjnej wysłuchać prognozy pogody. Dla zachodnich połaci Kanału rozpoczęła się ostrzeżeniem przed wichurami; i zapowiedź dla okolic przylądka Portland, gdzieśmy się znajdowali, brzmiała: „Wiatry słabe, początkowo z kierunków północnych, następnie północnozachodnich, przybierające na sile”. Hal spojrzął na mnie w milczeniu. Słowa były zbędne. Sprawdziłem naszą pozycję i podałem Mike’owi ars na Peter Port.

Niesamowity był to ranek. Pod koniec śniadania strzępy obłoków gnały już całkiem szybko po niebie. Na poziomie morza natomiast wiatru nie odczuwało się prawie wcale, tak że z podniesionym grotem, bezanem i kliwrem ledwo szliśmy po wodzie, robiąc marne trzy węzły i kołysząc się leniwie. Resztki mgły ograniczały widoczność do dwu mil.

Mówiliśmy mało. Przypuszczalnie każdy z nas zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Odległość od Peter Port wynosiła trzydzieści mil. Cisza i brak wiatru działały przygnębiająco.

- Pójdę jeszcze raz sprawdzić pozycję - zaproponowałem. Hal ruchem głowy wyraził zgodę, jakby również uważał to za wskazane.

Ślęczenie nad mapą przyniosło skromne rezultaty. Jeśli się nie myliłem, przepływaliliśmy o sześć mil na północno – północno zachód od Les Roches Douvres, tego skupiska skał i raf podwodnych, które stanowi zachodni przyczółek Wysp Normandzkich. Brakło mi jednak pewności; wyliczenie w zbyt dużej mierze zależało od prądu i dryfu.

A zresztą Mike zachwiał moją wiarę we własne wyliczenia.

- O jakieś dwa rumby w prawo od dziobu sterczy skała! - zawołał. - Duża, wystaje nad wodę.

Chwyciłem lornetkę i wybiegłem z kabiny. - Gdzie? Zaszło mi w ustach. O ile to Les Roches Douvres. musiało nas znieść dużo dalej, niż przewidywałem. A nie mogło to przecież być nic innego; między Les Rochesj Douvres a Guernsey rozciąga się otwarte morze.

- Gdzie? - powtórzyłem.

- Tam! - wskazał Mike.

Wyteżyłem wzrok. Ale na próżno. Chmury zrzędy na chwilę i niesamowity blask słońca kładąc się na oleistej powierzchni wody zacierał granicę między morzem a przesiąkniętym wilgocią powietrzem. Horyzont zanikł zupełnie! na skraju widoczności morze zlewało się z niebem. Powiodłem dokoła spojrzeniem.

- Nie widzę. Jak daleko? - spytałem.

- Nie wiem. Straciłem ją z oczu. Ale była nie dalej niż o milę.

- Czy to aby na pewno skała?

- Chyba tak. Cóż mogłoby być innego? - Zapatrzył się w przestrzeń mrużąc powieki przed mglistą poświatą. - Duża skała z jakąś wieżą lub szczytem pośrodku.

Latarnia morska na Les Roches Douvres! Zerknąłem w stronę tkwiącego za sterem Hala.

- Lepiej zmienić kurs. Przytył znosi nas z szybkością około dwu węzłów. - Mój głos wyrażał napięcie. - Jeśli to Les Roches Douvres, a wiatr jeszcze przycichnie, zdryfujemy prosto na rafę.

Przytaknął i obrócił kołem.

- Wynika z tego, że omyliłeś się o pięć mil.

Zmarszczył brwi. Spod ściągniętej ziadwestki sterczały siwe włosy nadając jego twarzy wyraz zdziwienia i przekory.

- Nie doceniasz swych zdolności nawigacyjnych, lecz ty tu jesteś szefem. O ile zmienić kurs?

- Co najmniej o dwa rumby.

- Jest takie stare powiedzonko - mruknął pod nosem: - Rozważny marynarz, jeśli ma wątpliwości, powinien uznać za poprawne własne wyliczenia. - Krzaczaste brwi uniosły się z ironią. - Nie chcemy przecież ominąć Guernsey?

Straciłem pewność siebie. Może był to tylko skutek całonocnego napięcia, nie potrafiłem jednak powziąć decyzji.

- Widziałeś? - zadałem mu pytanie.

Zaprzeczył.

Ponownie zagadnąłem więc Mike'a, czy jest przekonany, że to skała.

- Przy tym świetle za nic nie można ręczyć.

- Ale w każdym razie coś widziałeś?

- Tak. Tego jestem pewien. I zdaje mi się, że pośrodku sterczała jakaś wieża.

Błady promyk słońca przesączył się przez wilgotne powietrze, rozjaśniając kokpit.

- Wobec tego muszą to być Les Roches Douvres - szepnąłem.

- Patrz! - zawołał Mike. - Jest tam, o, tam!

Podążyłem oczami za wyciągniętą dłonią. Na granicy widoczności majaczył w mdłym blasku zarys spłaszczonej skały z latarnią morską pośrodku. Natychmiast zwróciłem ku niej lornetkę, lecz był to jedynie mętny, zamazany kontur - czerwona plama migocząca poprzez

złocistą jasność. Dałem nurka w głąb kabiny nawigacyjnej, by odszukać kształt rafy Les Roches Douvres na mapie.

- Tak.

Odkryte wysepki skalne ciągnęły się pełną milę na północny zachód od wysokiej na dziewięćdziesiąt dwie stopy latarni morskiej. Musieliśmy znajdować się na samym skraju tych skał.

- Steruj na północ! - rozkazałem Halowi - i omiń ją jak najszybciej.

- Tak jest, kapitanie. - Obrócił kołem, polecając Mike'owi wybrać szoty. Gdy wychodziłem na pokład, Hal przez ramię obserwował latarnię morską.

- Jest w tym coś dziwnego - powiedział. - Nigdy właściwie nie widziałem Les Roches Douvres, znam za to Wyspy Normandzkie dość dobrze, a jak dotychczas nie natrafiłem na skałę o podobnym czerwonym odcieniu.

Wsparty o kabinę nawigacyjną ująłem szkła. Słońce świeciło teraz jaśniej, widoczność stale się poprawiała. Roześmiałem się nieomal z ulgą.

- To nie skała. To statek - rzekłem. Nie miałem już cienia wątpliwości. Rdzawy kadłub wychynął z mgły, zarysowany czysto i ostro, zaś to, co wziąłem za latarnię morską, było zwykłym kominem.

Uspokojeni, śmiejąc się powróciliśmy na poprzedni kurs.

- Wygląda na to, że stoi - zauważył Mike zwiijając wybrany szot grota.

Pozycja statku rzeczywiście nie ulegała zmianom. Był obrócony do nas burtą, kiedy zaś podpłynęliśmy bliżej i sylwetka jego stała się wyraźniejsza, stwierdziliśmy, że wcale się nie posuwa, tylko kołysze na fali. Powinniśmy zostawić go o jakie pół mili na prawo. Sięgnąłem po szkła. Było coś osobliwego w tym statku... w jego budowie, zardzewiałym kadłubie i lekkim nachyleniu dziobu.

- Chyba wypompowują wodę z zęzy - powiedział Hal z wahaniem, również zaskoczony.

Nastawiłem lornetę i sylwetka statku raptownie przybliżyła się do mych oczu. Parowiec był stary, o prostym dziobie i równym pokładzie. Miał niemodną łyżkową rufę, bezładne skupisko bomów ładowniczych wokół masztów i przerośniętą nadbudowę. Komin, tak jak i maszty, sterczał prawie pionowo. Niegdyś pomalowany na czarno, obecnie statek był zaniedbany i zżarty przez rdzę. Brak ruchu na pokładach nie pozwalał mi odjąć szkieł od oczu. Wtem zobaczyłem łódź ratunkową.

- Podpływaj do burty, Hal! - zawołałem.

- Coś nie w porządku? - spytał, błyskawicznie reagując na mój przynaglający ton.

- Tak. Łódź ratunkowa zwisa pionowo z żurawików. - Ale to nie wszystko. Inne żurawiki były puste. Podałem mu lornetę.

- Spójrz na dziób - powiedziałem drżącym głosem, który zdradzał moje podniecenie.

Wkrótce gołym okiem widać już było żurawiki i jedyną łódź zaczepioną na wyciągu.

- Statek jest opuszczony - rzucił Mike. - I dość mocno przechyla się ku dziobowi. Sądziacie... - Nie dokończył zdania. Ta sama myśl zaprzętała każdego z nas.

Podpłynęliśmy do śródokręcia. Poznaczona smugami rdzy nazwa na dziobie nie dała się odcyfrować. Z bliska parowiec przedstawiał się opłakanie. Blachy poszycia na dziobie powyginane, nadbudówki uszkodzone, wyraźny przechył ku dziobowi, rufa wzniesiona tak wysoko, że część śruby wystawała ponad powierzchnię. Festony lin opuszczały się z bomu ładowniczego. Był to statek towarowy, nieźle już poobijany.

Z odległości jednego kabla zawołałem przez megafon. Słowa rozplynęły się w ciszy i pozostały bez odpowiedzi. Tylko fala chłostała burty. Posuwaliśmy się szybko, Hal zaś umyślnie sterował tak, by przejść tuż za rufą. Wszyscy wypatrywaliśmy nazwy. Wtem rdzawe litery mignęły wysoko nad naszymi głowami, jak wtedy nocą:

„MARY DEARE

- Southampton”.

Statek był duży - przynajmniej sześciotysięcznik. Normalnie takiemu opuszczonemu parowcowi powinien towarzyszyć holownik ratowniczy lub jakieś inne jednostki. Tymczasem „Mary Deare” unosiła się samotna i wyludniona o dwadzieścia mil od wybrzeży Francji. Przebiegłem wzrokiem wzdłuż prawej burty, kiedy opłynęliśmy rufę. Oba żurawiki były puste, łodzi ratunkowych ani śladu.

- Miałaś rację - odezwał się z przejściem Mike do Hala. - Wczoraj w nocy na mostku nie było nikogo.

Śledziliśmy oddalający się parowiec w milczeniu, ogarnięci nastrojem tajemniczości. Wyciągi żurawików zwisały bezładnie, cienka smużka dymu nie wiedzieć dlaczego ulatywała z komina. Stanowiła jedyny znak życia.

- Musieli opuścić pokład tuż przed niedoszłym zderzeniem z nami - stwierdziłem.

- Ale statek szedł pełną parą - rzekł Hal bardziej do siebie niż do nas. - Nie ucieka się, kiedy maszyny idą naprzód. I dlaczego nie nadawali sygnału przez radio?

Przypomniało mi się to, co mówił wczoraj półzartem. Jeśli naprawdę statek jest opuszczony... Wsparłem ręce o poręcz, wypatrując śladu ludzi. Nic; nic, tylko ta cienka smużka dymu wlokąca się z komina. Co za okazja! Dryfujący i porzucony sześciotysięcznik. Nie do wiary. Gdyby udało się nam doprowadzić go do portu o własnych siłach...

- Czy potrafisz podejść tak blisko burty, żebym uchwycił wyciąg któregoś żurawika? - spytałem Hala.

- Nie bądź głupi - odburknął. - Fala jest dość duża. Może nam zniszczyć jacht, a gdyby ta wichura...

Mimo to nie stać mnie było na rozwagę.

- Do zwrotu! - zakomenderowałem. - Ostro na wiatr! - Zmieniliśmy hals, posłałem więc Mike'a na dół, by Wyciągnął lana z pościeli.

- Podejźmy ostro pod wiatr - wytłumaczyłem Halowi. - Spróbuję chwycić wyciąg podczas zwrotu.

- To szaleństwo. Trzeba piekielnie wysoko drapać się na pokład. Przypuśćmy, że zerwie się sztorm. Mogę nie zabrać cię z powrotem...

- Diabli niech wezmą sztorm! - wybuchnąłem. - Myślisz, że puszcę taką okazję mimo nosa? Cokolwiek przydarzyło się tym biedakom, dla nas z Mike'em to życiowa szansa.

Popatrzył na mnie i skinął głową. - Okay. Twój jacht. - Płynęliśmy już w stronę statku.

- Po zawietrznej - rzekł Hal - nie będziemy mieli wiatru. Mogą wyniknąć trudności... - Urwał spoglądając na porporczyk na topie masztu.

Poszedłem w jego ślady, gdyż na jachcie wyczuwało się jakąś zmianę. Sunęliśmy naprzód, a bryzgi fal z hałasem zalewały pokład na dziobie. Porporczyk trzepotał po prawej stronie. Zerknąłem na kompas.

- Odbijesz bez trudu. Mamy teraz wiatr północnozachodni.

Przytaknął podnosząc wzrok na żagle.

- Nie zmieniłeś postanowienia?

- Nie.

- Cóż, tylko nie siedź długo. Wiatr przybiera na sile.

- Pośpieszę się - obiecałem. - Jeśli będziesz mnie chciał szybko odwołać, daj sygnał na różku mgłowym. - Robiliśmy już cztery węzły i statek zbliżał się szybko. Od drzwi kabiny nawigacyjnej zawołałem Mike'a. Ukazał się prawie natychmiast, a za nim łan, błady i spocony. Podałem mu bosak rozkazując stanąć na dziobie i odpychać się w razie potrzeby.

- Zrobimy zwrot tuż przed przybiciem do burty. W ten sposób wytracimy szybkość i będziecie mogli utrzymać się w określonej odległości. - Ściągnąłem ubranie sztormowe. Zardzewiałe burty „Mary Deare” piętrzyły się nad nami. Piekielnie wysoko trzeba będzie się wspinać.

- Gotowi do zwrotu?

- Gotowi - odparł Hal i obrócił kołem.

„Wiedźma Morska” zaczęła odpadać powoli, bardzo powoli. Przez sekundę wydawało się, że długim bukszprytem przebije poszycie parowca. Chwyciłem za linę zwisającą z bomu. „Mary Deare” osłaniała nas od wiatru i żagle łopotały leniwie. Salingi omal rysowały jej burty, gdy jacht unosił się na fali. Z latarką w ręce podbiegłem do masztu i przelazłszy przez prawy reling stanąłem na burcie; czepiając się want odzyskałem równowagę. Wyciągi żurawików dziobowych przeleciały mi przed nosem, lecz między mną a statkiem otwierała się jeszcze rozpadlina szerokości kilku jardów. Hal stopniowo zmniejszał tę odległość. Przechylny wypatrywałem zbliżających się żurawików rufowych. Nad moją głową saling zazgrzytał o blachy. Pierwszy wyciąg znalazł się na mojej wysokości. Sięgnąłem, był jednak o dobrą stopę za daleko.

- Teraz! - krzyknął Hal. Saling zazgrzytał ponownie. Wantę, której się trzymałem, przebiegło drżenie. W tym momencie zacisnąłem dłoń na wyciągu; rąbnąłem ciężko o burtę statku. Byłem już mokry po kolana.

- Okay! - ryknąłem.

Hal rozkazał łanowi odpychać się bosakiem. Widać było gwałtowne wymachiwanie, po czym oberwałem bomem pomiędzy łopatki i o mały włos nie rozluźniłem chwytu. Windowałem się w górę z desperackim pośpiechem, w obawie, że rufa zarzucając zmiążdży mi nogi o burtę parowca. Spod mych stóp doleciał trzask drewna. „Wiedźma Morska” stopniowo się oddalała.

- Spiesz się! - wołał Hal.

Jacht pochylał się z wiatrem, nabierając szybkości. Dziób miał w pianie, a biały szlak za rufą.

- Pośpiesz się - zapewniłem wdrapując się coraz wyżej.

Wspinaczka nie miała końca. Wskutek nieustannych przechyłów „Mary Deare” to wylatywałem ponad wodę, to znów waliłem o kadłub. Chwilami myślałem, że nie dam już rady. A kiedy wreszcie wylazłem na górny pokład, „Wiedźma Morska” sunęła w odległości pół mili, choć Hal sterował tak blisko wiatru, że żagle aż dygotały.

Zniknęła oleisto gładka powierzchnia morza. Na szczytach fal tworzyły się drobne grzywy i załamywały w białe wzory. Czasu było niewiele. Zwinąwszy w trąbkę dłonie, zawołałem:

- „Mary Deare”, ahój! Jest tu kto? - Mewa poruszyła się niespokojnie w nawiewniku, śledząc mnie oczami jak paciorki. Żadnej odpowiedzi, żadnego dźwięku oprócz trzaskania drzwi nadbudówki rufowej, regularnego jak metronom, i uderzeń łodzi ratunkowej o lewą burtę. Statek niewątpliwie był opuszczony. Pokład nosił wszelkie ślady ucieczki - brak łodzi,

porozrzucane ubrania, bochenek chleba w odpływniku, rozdeptany kawał sera, nylony i papierosy wysypujące się z półotwartej walizki, para gumowych butów. Uciekli nocą, w pośpiechu.

Ale dlaczego?

Przez mgnienie oka czułem się skrępowany - na porzuconym statku, z jego sekretami, z tą śmiertelną ciszą za życia, byłem intruzem; spojrzenie moje pomknęło ku „Wiedźmie Morskiej”. Pośród ołowianego bezkresu morza nieba wydawała się teraz nie większa od zabawki. Po »okładzie parowca zawodził już wiatr... prędeży! prędeży! Należało szybko przeszukać statek i podjąć decyzję. Pobiegłem w stronę dziobu i wspiałem się na mostek. Sterówka była pusta. Dziwne, lecz spadło to na mnie jak grom z nieba. Wszystko wyglądało tak normalnie: parę brudnych filiżanek na półce, fajka starannie odłożona na popielniczkę, lornetka na kapitańskim krześle i telegraf maszynowy nastawiony na: „Cała naprzód”. Tak jakby sternik lada moment miał wrócić na swoje miejsce za kołem.

Ale na zewnątrz niejedno świadczyło o przebyłym sztormie. Całe lewe skrzydło mostku wgniecione, trap wygięty i poskręcany, pokrywy ładowni dziobowych dosłownie zdarte, cuma walająca się w pętłach jak kawał drutu. Mimo to nie burza była przyczyną opuszczenia tatku. Zniszczoną pokrywę luku zastąpiono brezentem świeże deski leżały dokoła, jakby wachta pokładowa minutę temu zeszła napić się herbaty.

W kabinie nawigacyjnej za sterówką nie znalazłem wyjaśnienia tajemnicy. Wręcz przeciwnie, dziennik okrętowy otwarty był na ostatnim zapisie: „Godzina 20.46 - latarnia la Les Heaux namiar 114°, w przybliżeniu 12 mil. Wiatr południowoschodni, siła 2°. Fala umiarkowana. Widoczność dobra. Zmiana kursu na Needles, 33°”. Data osiemnastego marca i czas zapisu wskazywały, że uczyniono go la godzinę i trzy kwadransy przed naszym spotkaniem; „Mary Deare”. Zapisy robiono co godzinę, więc wypadek, który wywołał panikę wśród załogi, musiał nastąpić między dziewiątą a dziesiątą wieczór, prawdopodobnie wtedy, gdy iigła zaczęła gęstnieć.

Nie natrafiłem w dzienniku na żadną zapowiedź przyszłych wydarzeń. Ustawiczne sztormy nieźle dały się załodze we znaki. Nic poza tym. „Postój w dryfie z powodu wysokiej ali; fale przelewają się przez mostek. Ładownia pierwsza przecieka. Pompy nie nadążają”. Ten zapis z szesnastego marca brzmiał najgroźniej. Wiatr o sile 11° w skali Beauforta przez bite dwanaście godzin. Kiedy przebyli Cieśnin Gibraltarską, siła wiatru utrzymywała się zawsze powyżej 7°, co oznacza wiatr bardzo silny, czasem zaś dochodził; do 10°. Pompy pracowały bez przerwy.

Byłoby jeszcze zrozumiałe, gdyby załoga opuściła pokład szesnastego marca. Z dziennika wynikało jednak, że opłynę Ushant rankiem osiemnastego marca, przy dobrej pogodzie umiarkowanej fali i sile wiatru równej 3°. Znalazłem na we taką notatkę: „Pompy pracują dobrze. Porządki i napraw pokrywy luku pierwszej ładowni”.

Coś tu się nie zgadzało.

Po trapie dostałem się na górny pokład: Drzwi kabin kapitańskiej stały otworem. W schludnym, porządnym pomieszczeniu wszystko leżało tam, gdzie trzeba; ani ślad panicznej ucieczki. Z pulpitu uśmiechała się do mnie dziewczęca twarz w dużej srebrnej ramce, światło padał na jasne włosy. W rogu nagryzmołono: „Dla Tatusia Szczęśliwej podróży i wracaj szybko. Twoja Janet”. Pj węglowy przyprószył ramkę i pulpit i rozmazał się na plik arkuszy manifestu okrętowego, który opiewał, iż trzynastego stycznia „Mary Deare” odpłynęła z ładunkiem bawełn z Rangun do Antwerpii. Na stosie akt leżało kilka listów lotniczych, rozciętych nożem. Miały stempel londyński adresowane zaś były do kapitana Jamesa Taggarta, S S „Mary Deare” w Adenie. Poznałem nierówne, zaokrąglone pismo osoby, która dedykowała fotografię. Pod listem natomiast, w powodzi dokumentów, odgrzebałem pedantycznie, drobno wykaligrafowane sprawozdania z podpisem Jamesa Taggarta. Obejmowały jednak tylko okres podróży z Rangun do Adenu. Obok dostrzegłem zapieczętowany list do panny Janet Taggart, University College, Gowe Street, London, W.C.I. Charakter pisma na kopercie b; inny i nie nalepiono na nią znaczków.

Wszystkie te drobiazgi, te niepozorne codzienne sprawy, nie wiem, jak to wyrazić... potęgowały we mnie uczucie, i coś tu jest nie w porządku. Ta kabina, tak cicha, i decyzje które kierowały żywym statkiem, unoszące się jeszcze w powietrzu... i sam statek cichy jak grób. A później zobaczyłem płaszcze nieprzemakalne na drzwiach... dwa granatowe płaszcze oficerów marynarki handlowej wiszące obok siebie, jeden znacznie większy od drugiego. Trzasnąłem drzwiami, jak gdyby w ten sposób można się było uwolnić i naglej, instynktownej trwogi.

- Ahoj! Jest tu kto? - Mój głos, wysoki i ochryply, zabrzmiał echem w czeluściach statku. Po pokładzie zawył wiatr. Szybko! Muszę się spieszyć. Pozostaje mi tylko sprawdzić stan maszyn i zdecydować, czy dadzą się uruchomić.

Zanurzyłem się w ciemną otchłań luku, ciskając latarką snop światła do mesy, gdzie nakrycia były jeszcze zastawione, krzesła odsunięte w popłochu. Lekki zapach spalenizny nosił się w zatęchłej atmosferze. Nie dolatywał on z kuchni ogień był wygaszony, piec zimny. Zauważyłem napoczętą puszkę wołowiny. Obok na stole leżało masło, ser i bochenek chleba ze skórą pokrytą pyłem węglowym; pył węglowy na rączce noża, pył. węglowy na podłodze.

- Jest tu kto? - krzyczałem. - Ahoj! Jest tu kto? - milczenie. Wyszedłem na korytarz wiodący wzdłuż lewej części śródkręcia, głuchy i czarny jak szyb kopalni, osuwałem się nim chwilę, po czym przystanąłem. Znowu ten odgłos, z którego wprawdzie zdawałem sobie sprawę, le o którym nie myślałem - podobny do - szmeru, z jakim przesypuje się żużel. Dochodził z wnętrza kadłuba, jak dyby stalowe blachy ocierały się o dno morskie. Dziwny, tajemniczy szmer ustał, ledwo ruszyłem dalej, i w próżni nagłego milczenia dobiegło mnie wycie wichury.

Pod wpływem przechyłów na końcu korytarza otwarły się drzwi wpuszczając trochę światła. Podążyłem w tamtą stronę, a zaduch wzrastał się, dopóki prawie nie stłumił zastajej woni spleśniałego jedzenia, gorącego oleju i wilgoci morskiej, która przenika międzypokłady każdego statku Gwarowego. Wąż przeciwpożarowy pelzł poprzez kałuże rody od hydrantu obok maszynowni ku rufie i zniknął i przejściu prowadzącym na dolny pokład. W dziennym lasku dostrzegłem, że luk trzeci jest wypalony i poczerniały, do połowy zżarty przez ogień, a pokrywa czwartego uchylona. Węża wiły się po pokładzie i ginęły we włącz kontrolnym trzeciej ładowni. Oświetlając drogę zszedłem parę stopni po prostopadłej drabince. Nie było tu dymu ani żaru, zalatywało starością i cierpkim odorem chemikaliów. Pusta gaśnica pianowa upadła na bok i grzechotali o stalowe blachy grodzi wodoszczelnej. Oczom moim ukazał się czarna otchłań ładowni wypełnionej belami bawełny zwęglonymi i nasiąkniętymi wodą, która chlupotała w zębie Pożar ugaszono, zdławiono - nigdzie ani pasemka dymu A mimo to załoga zwiąła. Coś tu nie gra. Przypomniałem sobie, że ubiegłej nocy zapach spalenizny unosił się we mgłę, choć „Mary Deare” dawno nas już minęła. I ten pył węglowy na stole kapitańskim i w kuchni. Ktoś musiał stłumić ogień. Zawróciłem do maszynowni, bo przypomniał mi się chrzęst przesypywanego żużlu. A może to był węgiel Może ktoś jest w kotłowni? Trzasnęła gdzieś pokrywa luki albo drzwi. Stanąwszy na zawieszanej nad przepaści; galeryjce, krzyżującej się ze stalowymi kratami i pionowym drabinkami, krzyknąłem:

- Ahoj! Ahoj tam!

Cisza. Pośród niewyraźnych konturów maszyn jaskraw« zabłysł polerowany mosiądz, a nieco słabiej stal. Bezruch., tylko szmer i plusk wody towarzyszący kołysaniu parowca Zawahałem się, czy nie zejść do kotłowni, ale powstrzyma mnie strach. Właśnie wtedy dały się słyszeć kroki.

Zmierzały wolno prawym korytarzem, ciężkie, ociągając się - głuchy stukot butów o stalową podłogę. Minąłem maszynownię i podążyły na mostek. Odgłos ich zamarł stopniowo, zmieszał się z bulgotem wody w zębie pod moimi stopami.

Nie dłużej niż dwadzieścia sekund tkwiłem w miejscu ja: sparaliżowany, po czym szarpnąłem drzwi i wypadłem n; korytarz potykając się o próg w pośpiechu, wypuszczając z dłoni latarkę i odbijając się od przeciwległej ściany z siłą, która nieomal przyprawiła mnie o utratę przytomności: Latarka znalazła się w rdzawej kałuży i lśniła poprzez mrok jak świętojański robaczek. Podniósłszy ją oświetliłem korytarz.

Nie było tu nikogo. Promień dotarł aż do wiodącego na pokład trapu, lecz ciemne przejście zionęło pustką. Na moje wołanie nikt nie odpowiedział. Statek zataczał się trzaskiem i pluskiem, a z góry dochodził przytłumiony hałas rytmicznie otwierających się i zamykających drzwi nadbudówki rufowej. W dali zahaczało coś słabo. To róg głowy „Wiedźmy Morskiej” wzywał mnie do powrotu. Kiedy dotarłem do stóp trapu, głos rogu przeplatał się szumem wiatru świszczącego w nadbudówce. Szybko! rybko! Zarówno wycie wichury, jak i zawrodożenie rożka nagliły teraz do największego pośpiechu.

Już byłem przy trapie, podniosłem nogę na stopień... gdy? ukazał. Zamajaczył w chybotliwym blasku latarni nieruchoma sylwetka we wnęce drzwi, czarna aż po lśniące białka oczu.

Jakbym nagle wrósł w ziemię. Ta cisza, upiorna cisza wymarłego statku dławiała mnie za gardło. Po chwili skierowałem na niego snop światła. Był to duży mężczyzna obcisłej kurtce i gumowych butach, uwalany pyłem węglowym. Twarz miał porysowaną przez pot, który jak rześiste łyzy wyrzeźbił w brudzie strumyki i lśnił na czole, paharataną szczękę z prawej strony pokrywały krwawe strupy.

Zaatakował, ruchem szybkim jak błyskawica, wytrącając i latarkę; poczułem stęchłą woń potu i pyłu węglowego, gdy potężne palce zaciskały mi się na ramionach, obracając mnie jak dzieckiem i wykręcając moją głowę w kierunku chłodnej jasności, która biła od trapu.

- Czego pan tu szuka? - zapytał ostrym, chrapliwym głosem. - Co pan tu robi? Kim pan jest? - Potrząsnął mną gwałtownie, jakby w ten sposób chciał wydobyć prawdę.

- Nazywam się Sands - wykrztusiłem. - John Sands. chciałem zobaczyć...

- Jak się pan dostał na statek? - Szorstki ton dźwięczał rozkazująco, porywczo.

- Po wyciągu żurawika - odparłem. - Zobaczyliśmy „Mary Deare” dryfującą, bez łodzi ratunkowych, i podpłynęliśmy, żeby się przekonać...

- Przekonać! - Popatrzył na mnie z wściekłością. - Tu nie ma nic do przekonywania. -

I pośpiesznie, nie rozluźniając chwytu, dodał:

- Jest z wami Higgins? Wyłowiliście go? Dlatego znalazł się pan tutaj?

- Higgins? - Wytrzeszczyłem oczy.

- Tak, Higgins. - Nazwisko tego człowieka wymawia z jakąś rozpaczliwą gwałtownością. - Gdyby nie on, szczęśliwie doprowadziłbym statek do Southampton. Jeśli Higgins jest z wami... - urwał raptownie, nasłuchując z przechyloną głową. Dźwięk rogu przybliżył się i poznałem głos Mike'a.

- Wołają pana. - Konwulsyjnie wpił mi się w rami palcami. - Jaką macie łódź? Jaki rodzaj łodzi?

- Jacht. - I bez żadnego związku dorzuciłem: - O mało nie zatopił nas pan wczoraj wieczór.

Puścił mnie z westchnieniem ulgi.

- No, to lepiej niech pan tam wraca. Zrywa się sztorm.

- Tak. Będziemy musieli się śpieszyć... obaj.

- Obaj? - Zmarszczył brwi.

- Naturalnie. Zabierzemy pana, a w Peter Port...

- Nie! - Słowo to wypadło z jego ust jak pocisk. - Nie. Zostaję na statku.

- Jest pan kapitanem, prawda?

- Tak. - Oddał mi podniesioną z ziemi latarkę. Krzyk Mike'a docierał jak słabe, nierzeczywiste wołanie ze świat zewnętrzny. Wichry wyły na niską, żalobną nutę.

- Radzę się pośpieszyć - rzekł.

- Więc niech pan idzie ze mną - powtórzyłem. Nie mieściło mi się w głowie, że będzie na tyle głupi, by pozostać. Nic tu przecież nie miał do roboty.

- Nie. Nie idę. - Zniecierpliwiony, jakby miał do czynienia z cudzoziemcem, który inaczej nie zrozumie, krzyknął: Nie idę, powiadam.

- Niech pan będzie rozsądny. Nie przyda się pan tu na nic... sam. Płyniemy do Peter Port. Odstawimy tam par w kilka godzin, a wówczas będzie pan mógł...

Uczynił gest sprzeciwu jak osaczone zwierzę i ruchem ręki kazał mi odejść.

- Nadciąga sztorm.

- Wiem o tym - powiedział.

- Na litość boską, człowieku... to dla pana jedyna szansa uniknięcia zarzutów. - Ponieważ jednak był kapitanem najwyraźniej chodziło mu o statek, zapewniłem: - To jedyna szansa i dla statku. Jeśli prędko nie sprowadzi pan holownika, „Mary Deare” zostanie zniesiona na Wyspy Normandzkie. Zrobi pan dużo lepiej...

- Opuścić pokład! - Drżał teraz na całym ciele. - Opuścić pokład, słyszy pan?! Wiem, co robię.

Podniósł głos; stał się groźny. Nie dawałem jeszcze za wygraną.

- A więc oczekuje pan pomocy? - spytałem i myśląc, że nie zrozumiał, wyjaśniłem: -
Wzywał pan pomocy przez radio?

Po krótkim zastanowieniu, odparł:

- Tak, tak. Wzywałem pomocy. A teraz niech pan idzie.

Wahałem się. Nie miałem nic więcej do powiedzenia, i skoro nie chce... Przystanąłem
w połowie trapu.

- Na litość boską, niechże się pan da namówić! - rzekłem.

W ciemności pod moimi stopami wyłoniła się twarz: mocna, surowa twarz, dość
młoda, ale pokryta głębokimi bruzdami wyczerpania. Wygląd miał desperacki i patetyczny
zarazem. - Chodźże, człowieku, póki czas.

Nie odpowiedział; najzwyczajniej obrócił się i zostawił mnie samego. Wyszedłem na
górze, gdzie trzeba było stawić czoła wiatrowi zawodzącemu w nadbudowie. Morze pokryła już
masa baranków, „Wiedźma Morska” zaś, miotana przez fale, unosiła się w odległości dwu
kablów.

II

Kiedy „Wiedźma Morska” zawróciła po mnie, przekonałem się, że nie należało
zwlekać tak długo. Nadleciała z wiatrem; dziób pod naporem kliwra nurzał się w smaganej
podmuchami wodzie, a długi bukszpryt jak włócznia przebijał grzbiety fal wznosząc tuman
piany. Hal miał rację. Nie powinienem był opuszczać jachtu. Klnąc wariata, który nie
pozwolił się ratować, podbiegłem do wyciągu. Gdyby chociaż szedł za mną, wszystko
nabrałoby sensu.

Jacht przechylił się gwałtownie. Hal z wysiłkiem utrzymywał ster, kiedy wyprowadzał
go pod wiatr, a żagle łopotały jak opętane. Kliwer wypełnił się z hałasem podobnym do
strzału rewolwerowego i z takim impetem, że niemal cały pokryty wodorostami kadłub
poniżej linii wodnej zamajaczył w zakłębnięciu fali, po czym żagiel pękł i rozleciał się w
strzępy. Siła wiatru dochodziła chwilami do 9°, więc żagle dawno już powinny być
zrefowane, czego we trzech nie mogli dokonać. Szaleńcy usiłowali jednak podpłynąć do
burty. Nigdy nie widziałem, by morze burzyło się tak szybko. Lecz Mike ruchem ręki wzywał
mnie do powrotu, a uciepiony koła Hal podprowadzał jacht coraz bliżej, mimo że prawie
pusty grotżagiel łopotał, resztki kliwra zaś jak wstążeczki powiewały na sztaku. Chwyciwszy
wyciąg przerzuciłem się za burtę i ześliznąłem po linie, aż fala zmoczyła mnie do pasa, a
rdzawe blachy spiętrzyły się nade mną wysoko niczym skała.

Słysząc teraz było, jak woda pluszcze pod dziobem „Wiedźmy Morskiej” i głośno szumi rozcinana kadłubem. rozległy się okrzyki, przez ramię dostrzegłem, że jacht bardzo ostro idzie pod wiatr, odpadając niechętnie, a bukszprytem niemal dotykając burty parowca. Szarpnął mną podmuch wichury, bom grota przeleciał na drugą stronę, płachty żagli się wybrzuszyły i „Wiedźma Morska” przemknęła o dobre dwadzieścia jardów od miejsca, gdzie zwiisałem bezradnie w powietrzu. Hal wołał:

- Wiatr... silny... obraca statkiem.

Tyle zdołałem zrozumieć, a był przecież tak blisko, że widziałem krople wody na jego ubraniu sztormowym i niebieskie szeroko rozwarte oczy ze zdziwieniem wyczierające spod ziuwestki.

Mike zlizował szoty i pognali z wiatrem. Dyndałem przemoczony bryzgami fal tłukących o burty, a wicher mocno przyciskał mnie do blach poszycia. Przy każdym przechyle narażony byłem na wstrząs. Stopniowo pojąłem, co zaszło. Wiatr popychał „Mary Deare” bokiem, ja zaś zwiisałem po nawietrznej, wystawiony na pełną siłę potężniejszego sztormu.

„Wiedźma Morska” znów zawróciła. Chciałem krzyknąć Halowi, żeby nie robił głupstw, że to na nic. Teraz, kiedy „Mary Deare” kołysała się burtą do fali, niebezpiecznie byłoby podpływać bliżej, bo wicher mógłby przyprzeć jacht do jej kadłuba. Modliłem się jednak w duchu o powodzenie dla przyjaciół, gdyż czułem, że długo nie potrafię się tak utrzymać. Mokre liny stały się oślizłe, a przejmujący chłód dokuczliwy.

Nie wiem, jak udało się Halowi bez żagli dziobowych, z minimalną szybkością wykonać zwrot w odległości rzutu kamieniem ode mnie. Później pozwolił jachtowi zdryfować, dając prawdziwy pokaz sztuki żeglarskiej. Przez sekundę rufa znajdowała się prawie w moim zasięgu. Może mógłbym i skoczyć, gdybym podczas przechyłu „Mary Deare” nie przywarł do jej wilgotnego, chłodnego kadłuba. Po chwili jednak swojska sylwetka „Wiedźmy Morskiej” śmignęła obok. Hal musiał odpłynąć, gdyż groziło im roztrzaskanie ostatek.

- Na nic... boję się... zbyt ryzykowne... Peter Port.

Poprzez szum wichru dobiegły mnie urywane słowa, gdy przelatywałem nad wodą dokładnie w tym miejscu, w którym nieco wcześniej natrafiłbym na rufę jachtu. Pragnąłem zawołać, żeby spróbował jeszcze raz - jeden, ostatni raz. Lecz byłoby to narażenie zarówno jachtu, jak i ich życia.

- Okay! - wrzasnąłem. - Płyńcie do Peter Port! Powodzenia!

Nie dosłyszałem odpowiedzi. „Wiedźma Morska” niknęła już za dziobem parowca, płynąc szybko z poluzowanymi szotami i wzdętą płachtą grotzagli. Spojrzawszy na ścianę żelaza, która wznosiła mi się nad głową, rozpocząłem wspinaczkę, póki starczało sił.

Za każdym przechylem tłukło mną o burtę. Przygnięciony do blach zyskiwałem dodatkowy punkt oparcia, ale moc uderzeń aż dech zapierała. Natomiast za każdym wzlotem w górę, brak oparcia groził, że puszcę wyciąg, bo palce drętwiały z zimna, ramiona zaś i kolana drżały od zbyt długotrwałego wysiłku. Grzywacze otaczały mnie lodowatą kipiela, czasem zaś zielonkawa fala smagała burtę obejmując mnie wół i ciągnąc za sobą.

Posunąłem się ledwie kilka stóp i dałem spokój. Nie mogłem piąć się wyżej. Rozpłaszczony na burcie ścisnąłem linę dygocącymi kolanami i puściwszy się jedną ręką, złapałem wolny koniec tej liny. Z kolei przeciągnąłem go między nogami i owinąłem wokół ramienia. Zmniejszyło to wysiłek rąk, ale nie ułatwiło powrotu na pokład. Zacząłem krzyczeć, lecz wiatr zagłuszał wołanie. Wbrew przekonaniu, że ten człowiek nie słyszy, wołałem dalej, błagając niebiosy, by się ukazał. Był moją ostatnią deską ratunku. Wreszcie tchu mi nie stało - obity i poharatany, to zawieszony nad wzburzoną głębią, to znów miotany o poszycie statku, powoli uświadomiłem sobie, że to koniec.

Trudno bać się rzeczy nieuniknionej. Po prostu się ją przyjmuje. Mimo to zastanawiałem się nad ironią losu; morze było dla mnie dotąd cichym, niezmaconym światem wody, przez którego zielone korytarze sunąłem w ciemniejszą głęb, ześlizgując się wzdłuż wysokich ścian skalnych w towarzystwie ryb, co mienia się jaskrawymi barwami pod powierzchnią. Schodziłem na dno, gdzie spoczywają niewyraźne sylwetki obrośniętych muszlami wraków, a teraz to morze zamieniło się w rozszalałego olbrzymia, który powstał, by zamknąć mnie w uścisku, spieniony i gniewny.

A potem niespodziewanie zaświtała mi nadzieja - zdarłem i ręką skórę o blachy. Na knykciach palców wytrysnęły kropelki krwi, które zmył zaraz zimny prysznic. Urzeczony obserwowałem, jak płatek rdzy odpada od poszycia, ponieważ ja sunę ku górze. Nie podniosłem oczu. Nie poruszyłem się w obawie, że to tylko wytwór mej wyobraźni. Skoro jednak kolejny grzywacz nie dosięgnął mnie nawet, uznałem, że to prawda. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że żurawiki obrócono, liny wyciągu zaś okręcono wokół słupka elingu.

Podciągany wolno, stopa za stopą, wychynałem wreszcie głową nad pokład, zaglądając w wynędzniałą twarz i dzikie ciemne oczy kapitana „Mary Deare”. Pomógł mi przeleźć przez nadburcie; zwałem się na żelazne blachy. Nigdy nawet nie wyobrażałem sobie, że potrafią być aż tak miękkie.

- Niech się pan lepiej przebierze w coś suchego - rzekł. Postawił mnie na nogi. Chciałem podziękować, byłem jednak zbyt wyczerpany, zbyt odrętwiały z zimna. Szczękałem zębami. Oplótny sobie szyję moim ramieniem, powlókł mnie po pokładzie i sprowadził do kabiny któregoś oficerów.

- Proszę coś sobie wybrać - powiedział, kładąc mnie na koi. - Rice był mniej więcej pańskiego wzrostu. - Przez chwilę tkwił w miejscu ze zmarszczonymi brwiami, jakbym stanowił nie lada problem. W końcu wyszedł.

Znużenie osiadło mi ciężarem na powiekach, mąciło świadomość, lecz przemarznięty do szpiku kości nie mogłem uleżeć w mokrym ubraniu. Podniosłem się, rozebrałem i wytarłem do sucha. W szufladzie znalazłem wełnianą bieliznę, koszulę, spodnie i sweter. Zrobiło mi się cieplej, przestałem szczękać zębami. Wyjąwszy z paczki na stole papierosa, padłem znów na posłanie i z przymkniętymi oczami zaciągnąłem się rozkosznie. Moje samopoczucie uległo poprawie - nie troszczyłem się już o siebie, tylko o „Wiedźmę Morską”. Pragnąłem, by szczęśliwie zawinęła do Peter Port.

Uśpił mnie przyływ gorąca; duszna kajuta pachniała zakisłym potem. Papieros wymknął mi się z palców. Wtem jakby z bardzo daleka dobiegł głos:

- Niech pan siada i pije.

Uniosłem powieki; nachylił się znów nade mną. W dłoni trzymał kubek. Była to herbata z rumem. Uciszył mnie, kiedy chciałem dziękować. Stał bez słowa i z twarzą ukrytą w cieniu patrzył, jak piję. Milczenie to wyrażało dziwną wrogość.

Statek kołysał się mocno i przez otwarte drzwi dochodziło wycie wiatru. Trudno byłoby holować „Mary Deare” podczas wichury. Może nawet nie dałoby się przerzucić liny holowniczej. Pamiętałem, co mówił Hal o Wyspach Normandzkich jako zawietrznym wybrzeżu. Wrzący napitek przywrócił mi życie, zacząłem nawet rozmyślać, co mnie tutaj czeka.

Skierowałem na kapitana spojrzenie, ciekaw, dlaczego - nie opuścił statku.

- Kiedy spodziewa się pan pomocy? - zagadnąłem.

- Nie będzie żadnej pomocy. Wcale jej nie wzywałem.

Pochylił się niżej, z zaciśniętymi pięściami i wysuniętą szczęką, która w szarym świetle padającym z iluminatora miała wyraz twardy, zawzięty.

- Czemu, u pioruna, nie został pan na jachcie? - Raptownie ruszył do wyjścia.

Zniknął już w korytarzu, kiedy z okrzykiem: - Taggart! - spuściłem nogi na ziemię.

Obrócił się jakby dźgnięty w plecy.

- Nie jestem Taggart. - Wszedł do środka. - Skąd panu przyszło do głowy, że nazywam się Taggart?

- Jest pan kapitanem.

- Prawda, ale nazywam się Patch.

Stał znów nade mną, czarna sylwetka na tle światła.

- Skąd pan wie o Taggarcie? Ma pan coś wspólnego z właścicielami? Dlatego znalazł się pan tutaj... - Z głosu jego uleciała gwałtowność; przeciągnął dłonią po usmarowanej węglem twarzy. - Nie, to niemożliwe. - Śledził mnie chwilę, po czym wzruszył ramionami. - Porozmawiamy o tym później. Będzie dość czasu. Ile tylko dusza zapagnie. Lepiej niech się pan teraz prześpi. - Szybko wycofał się za drzwi.

Sen! Pięć minut temu tak bardzo upragniony! Rozbudziłem się już zupełnie. Nie czułem strachu; nie wtedy. Tylko niepokój. Nic dziwnego, że ten człowiek zachowuje się niesamowicie. Spędził na statku dwanaście samotnych godzin. Własnoręcznie ugasił pożar i palił pod kotłami aż do kresu wytrzymałości. Dwanaście godzin piekła każdego wytraciłoby z równowagi. A jeśli to kapitan, dlaczego nie nazywa się Taggart? I dlaczego nie nadał sygnału?

Wstałem sztywno i w gumowych butach znalezionych pod stołem ruszyłem wzdłuż korytarza. Na statku wyczuwało się ruch. Ustawiony burtą do fali, mocno chybotał. Wraz z prądem zimnego powietrza docierał łoskot wiatru. Wspiąłem się na mostek. Na skutek deszczu widoczność wynosiła mniej niż milę; morze było brudnobiałe od załamujących się fal, piana dymiła z ich grzbietów i gnała w powietrzu. Podmuchy miały już siłę huraganu.

Róża kompasowa wskazywała, że „Mary Deare” zwrócona jest dziobem na północ. Wiało więc z zachodu i mieliśmy Peter Port dokładnie na kursie. Pochłonięty wyliczeniami wsłuchiwałem się w grzmot burzy, wpatrywałem w posepny bezkres skłębionych wód. Jeśli Halowi się uda... jeśli pod osłoną wybrzeży Guernsey dotrze do Peter Port... Ale straci na to kilka godzin, początkowo zaś nie będzie przypuszczał, że „Mary Deare” nie nadała sygnału alarmowego. A nawet gdyby o tym pomyślał, łódź ratunkowa musiałaby płynąć pod wiatr, co zajęłoby przynajmniej pół dnia i trwało do zmroku. Nigdy nie znajdą nas w ciemnościach przy takiej pogodzie.

Zawróciłem raptownie w stronę kabiny nawigacyjnej. Na mapę naniesiono nową pozycję - mały krzyżyk o dwie mile na północny wschód od Les Roches Douvres, a pod nim godzina 11.06. Teraz był kwadrans po jedenastej. Za pomocą liniału równoległego wykreśliłem nasz kurs. Gdyby utrzymał się wiatr zachodni, powinniśmy zdryfować prosto na

Plateau des Minquiers*. Wiedział o tym i on, czego dowodziła leciutka linia nakreślona ołówkiem i smuga brudu w obszarze raf, pozostawiona przez jego palec.

Cóż, jest chociaż dość trzeźwy, by oceniać niebezpieczeństwo. Wpatrzony w mapę rozmyślałem, co nas czeka. Perspektywa nie była przyjemna. Osiąść na skałach Jersey to już wystarczy, lecz Plateau des Minquiers...

Na półce z książkami daremnie szukałem drugiej części „Locji Kanalu”. Było to zbyteczne, bo i tak znałem przecież ze słyszenia ten groźny obszar raf, który nazywamy Minkami.

Właśnie rozmyślałem o Minkach i o tym, jak się czuje człowiek na pokładzie parowca rozbijanego w drzazgi wśród labiryntu podwodnych skał, gdy uwagę moją zwróciły drzwi radiokabiny. Prawie pionowa drabinka wiodła od nich wprost do kabiny i ledwie się tam znalazłem, pojąłem, dlaczego nie nadali sygnału alarmowego. Wszystko zostało zniszczone przez ogień.

Stałem jak wryty. Pożar w ładowni, a na dokładkę coś takiego! Lecz tu paliło się dawniej. Śwąd wywiewał, dziury w ścianach załatano świeżymi deskami. Nikt nie spróbował nawet posprzątać. Pomocnicze akumulatory, tak jak zapadły się przez zwęglony pułap, leżały na podłodze; jeden trafił w poczerniały od ognia stół, miażdżąc nadtopione resztki nadajnika. Ciemne szkielety koi i krzesła niełatwo było rozpoznać; z całkowicie zniekształconych ściennych urządzeń radiowych zwisały stalaktyty, tam gdzie cyna wytopiła się i zastygła. Aparaty walały się wszędzie - poskręcane kawałki metalu i osmalone drewno. Jakakolwiek była przyczyna pożaru, szalał z niezwykłą gwałtownością. Przez szczeliny w ścianach przeciekała woda pozostawiając smugi. Wiati przelatujący nad mostkiem rozwiewał wilgotne popioły i wstrząsał nadwątloną strukturą kabiny.

Do kabiny nawigacyjnej zstępowałem powoli. Może dzień

* Plateau des Minquiers - grupa malutkich wysepek skalistych na kanale La Manche, u brzegów Bretanii. W ślad za angielskim oryginałem w tłumaczeniu kolokwialnie uproszczone na Minki.

dziennik okrętowy kryje jakieś wyjaśnienie. Zniknął już jednak ze stołu. W sterówce przykuł mnie na moment widok strzępiastej fali, która wyłoniła się z mroków na lewo od dziobu, w tumanie wodnego pyłu. Runęła na żelazne blachy, po czym cała przednia część „Mary Deare”, wyjąwszy maszt i bomby ładownicze, znikła w białym wirze. Wieki upłynęły, nim znów je baczyłem kontur dziobu, a niewyraźny zarys burt niechętnie i opieszale wychynął z głębi.

Zbiegłem do kajuty kapitańskiej. Była pusta, podobnie jak mesa i kuchnia, musiał więc być w kotłowni. Nie miałem wątpliwości, co robić. Należało uruchomić pompy. Ale w kotłowni się nie paliło, nie dochodził stamtąd nawet odgłos przesypywanego węgla. Krzyknąłem z wyżyn galeryjki - odpowiedziało mi jedynie echo, ciche, zagubione w łomotaniu fal o poszycie kadłuba i plusku wody w zęzach.

Poczułem się nagle bezradny, osamotniony jak dziecko. To okropnie być samemu na tym pustym statku! Zawróciłem do jego kajuty pragnąc odnaleźć go za wszelką cenę. Była nadal pusta. Metaliczny dźwięk dobiegający z rufy natychmiast wywabił mnie ria pokład szalupowy. Wówczas go ujrzałem. Zataczał się ze zmęczenia, oczy miał nieruchome, a trupioblada twarz wзираła spod startej tu i ówdzie warstwy kurzu i potu. W czarnym od węgla ubraniu szedł wlokąc szufłę.

- Gdzieżeś pan był? - zawołałem. - Nie mogłem pana odnaleźć. Co pan robił przez tyle czasu?

- To moja sprawa - mruknął głosem stłumionym z wyczerpania i minął mnie kierując się do kajuty.

Podążyłem w ślad za nim.

- Jaka jest pozycja statku? Ile bierzemy wody? - pytałem. - Fale przelewają się przez dziób.

Skinął głową.

- Tak już teraz będzie... do końca... dopóki nie zerwie pokrywy luku. A potem już tylko podparta gródź będzie nas dzielić od dna morskiego.

Mówił spokojnie, bez wyrazu, jakby mu na tym nie zależało, jak człowiek zrezygnowany.

- Ale gdyby uruchomić pompy... - Zmroził mnie brak strony. - Do diabła, człowieku podjąłem. - Przecież właśnie to próbowałem pan zrobić, kiedy zjawiłem się na statku, prawda?

- Skąd wiesz, co robiłem? - Zawrzał, a oczy jego stały się twarde, złe, oszalałe. Chwycił mnie za ramię. - Skąd wiesz? - powtórzył.

- Z komina dobywała się smuga dymu - odparłem bez namysłu. - A poza tym ten pył węglowy; od stóp do głów pana pokrywał. - Nie wiem, czym go rozgniewałem. - Musiał pan być na dole, w kotłowni.

- W kotłowni? - Przytaknął. - Tak, oczywiście. - Zwolnił uchwyt, stopniowo odpręzał się, łagodniał.

- Skoro dzięki pracy pomp przebyliście Zatokę Biskajską... - zauważyłem.

- Ale z załogą i maszynami pod pełną parą. - Zgarbił się. - I mniej mieliśmy wody w ładowni dziobowej.

- Czy to uszkodzenie poszycia? O to chodzi?

- Poszycie? - Szeroko otworzył oczy. - Skądże... - Przesunął dłonią po włosach i w poprzek twarzy. Pod brudem cerę miał bladożółtą, był spotniały i wymęczony. „Mary Deare” zatoczyła się i zadrżała. Naprężył mięśnie, jakby to on sam ten cios odbierał. - Długo nie wytrzyma.

Niespodziewanie poczułem słabość i pustkę wewnętrzną. Ten człowiek stracił nadzieję. Malowało się to w pochyleniu jego pleców, w bezbarwnym tonie głosu. Za bardzo był znużony, żeby się przejmować.

- Chodzi o pokrywę luku?

Skinął głową.

- I co wtedy? Będziemy płynąć z wodą w ładowni?

- Przypuszczalnie. Dopóki gródź kotłowni nie rozleci się. - Zachowywał chłód i opanowanie. Tę ładownię zalało już dawniej. Statek był pochylony dziobem naprzód, kiedy wysłedziliśmy go we mgle. A wczoraj wieczór... pamiętam, że znaki zanurzenia na rufie białeły wysoko nad powierzchnią wody, skrzydła śruby zaś młóciły po grzbietach fal. Zdążył przeto oswoić się z tą myślą.

Ale niech mnie diabli, jeśli z założonymi rękami będę czekał końca.

- Ile trzeba czasu na podniesienie pary... na uruchomienie 5omp? - zapytałem. Zdawał się nie słyszeć. Wsparty o ścianę na w pół przymknął powieki. Potrząsnąłem nim, jakby budząc go z transu. - Pompy! - krzyczałem. - Tylko mi pokaż jak, to będę palił pod kotłami.

Ze zdziwieniem otworzył oczy. Milczał.

- Jesteś pan zupełnie wykończony! Powinieneś się przespać. Ale najpierw muszę się nauczyć obsługi kotłów Po krótkim wahaniu wzruszył ramionami.

- Dobrze. - Zebrawszy się w garść wyszedł na górny pokład. Pod naporem wichru statek trwał w prawym przechyle. Chybotał leniwie, nieregularnie, chwilami dość gwałtownie. Kapitan powłóczył nogami w ciemnym, od bijającym echo korytarzu; czasem jak zamroczony tracił nieomal równowagę.

Od drzwi maszynowni galeryjką, później zaś w dół po żelaznej drabince zstąpiliśmy w czarną czeluść, błyskami latarek wywołując z cienia sylwetki wielkich maszyn, cichych i martwych. Kroki dźwięczały głucho, metalicznie, gdy po stalowych kratkach zmierzaliśmy naprzód mijając mniejsze maszyny. Dochodził tu szmer wody, a ciężkie uderzenia rozbrzmiewały w tunelu wału napędowego.

Droga do kotłowni wiodła obok tarczy odbiorczej telegrafu maszynowego. Obie pary drzwi były otwarte. Za nimi dojrzelismy zwaliste, majestatyczne zarysy trzech wygasłych kotłów.

Zastanawiał się przez sekundę, po czym wskazał mi kocioł z lewego skraju.

- Ten - rzekł. Czerwona łuna opasywała drzwiczki paleniska. - Węgiel jest tutaj. - Oświetlił czarny wzgórek u wylotu bunkra. Już się odwracał, gdy wtem coś w tym węglu przykuło jego wzrok i jak zaczarowany począł przesuwac promyk latarki ku górze, tak że biały krążek rozjaśniał jedną czarną od pyłu blachę po drugiej, wędrując ku lukowi bunkra.

- Będziemy się zmieniać co dwie godziny - powiedział spoglądając na zegarek. - Dochodzi dwunasta. Zluzuję pana o drugiej. - Ni stąd, ni zowąd zaczął się spieszyć.

- Chwileczkę. Ale jak obsługiwać kocioł?

Zniecierpliwiony popatrzył na kocioł i cały zespół wskaźników temperatury, dźwigni otwierających drzwi paleniska, regulatorów ciągu.

- Całkiem po prostu. Raz dwa się pan połapie. - Stał już do mnie tyłem. - Idę spać - mruknął.

Otwarłem usta, by go zawołać, wydało się to jednak bezcelowe. Pewno sam z łatwością dojdę do wszystkiego, jemu zaś sen jest koniecznie potrzebny. Kiedy wychodził, postać jego ostro rysowała się w blasku latarki. Nasłuchiwałem jeszcze odgłosu kroków na stalowych trapach maszynowni, póki od drzwi biła słaba poświata. W końcu znikła, ja zaś zostałem sam wśród niezwykłych hałasów - syku wody, łoskotu fal tłukących o kadłub i nieoczekiwanego chrzęstu węgla toczącego się w korytach zrzutowych. W tym zamknięciu poniżej linii wodnej owładnęła mną klaustrofobia. Za kotłami były belki wspierające gródź, a za rdzawymi blachami morze. Wzdłuż spojeń przeciekała woda.

Ściągnąłem pożyczony sweter i zakasawszy rękawy podszedłem do ledwie ciepłego paleniska. Obudowy jego można było dotknąć dłonią. Lewarem otworzyłem drzwiczki. Czerwony żar bił od garści popiołu. Nie buzowały płomienie, najwidoczniej od wielu godzin nikt nie dorzucał węgla. Znalazionym na ziemi łomem rozgrzebałem jarzącą się masę. Sam popiół.

Wentylatory obu pozostałych palenisk były szeroko otwarte, ogień się wypalił, kotły wygasły. Tylko ten jeden żył, żył zaś dzięki pozamykanym regulatorom ciągu. Przypomniałem sobie, jak powłócząc nogami Patch stanął w drzwiach, gdy po raz pierwszy wołałem z galeryjki w głąb maszynowni. Nie schodził tu... ani wówczas, ani później. Więc skąd ta powłoka pyłu węglowego? Rozmyślałem nad tym wsparty o szuflę, aż łomot fal uświadomił mi istnienie innych, pilniejszych spraw - zabrałem się do palenia.

Usypawszy czarny kopiec zatrzasnąłem drzwiczki, otwarłem natomiast wszystkie regulatory ciągu. Rozpaliło się w kilka minut, zamigotały języki ognia roztaczając ciepły blask, w którym kotły wyłoniły się z mroku, niewyraźne zamazane. Pracowałem tak zaciekle, że tylko szufla i węgiel migają. Wkrótce rozebrałem się do pasa, a pot spływał ze mnie tak obficie, że pod warstwą pyłu lśnił tors i ramiona.

Nie wiem, jak długo to trwało. Sądziłem, że od wielu już godzin haruję i pocę się w przepastnym piekle kotłowni ogień huczał, żar buchał, lecz nieprędko zauważyłem zmianę la manometrze. A potem wskazówka wolno zaczęła się unosić. Z szuflą w dłoni obserwowałem ją, gdy poprzez ryk płomieni doszedł mnie stłumiony dźwięk metalu uderzającego o metal.

Obejrzałem się. Stał nieruchomo w prostokącie drzwi; następnie zrobił kilka kroków zataczając się w rytm przechyłów statku. Ale to nie kołysanie sprawiało, że szedł niepewnie. Śledziłem go urzeczonym wzrokiem. W łunie bijącej z kotła, twarz miał spoconą i wynędzniałą, oczy głęboko zapadnięte.

Moje spojrzenie osadziło go w miejscu.

- O co chodzi? - spytał nerwowo, patrząc w stronę ognia dzikim wzrokiem. - Czemu się pan przygląda?

- Panu - odparłem. - Gdzie pan był?

Milczenie.

- Wcaleś się pan nie kładł! - Ścisnąłem go za ramię. - Co to znaczy? - krzyknąłem.

Wyrwał się.

- Pilnuj własnego nosa! - Wściekle błysnąwszy oczami chwycił szuflę. - A to mi oddaj! - Zabrał się do roboty. Zmęczenie ledwo pozwalało mu utrzymać się na nogach. Ruchy miał coraz powolniejsze.

- Zamiast się gapić - wybuchnął - idź pan spać!

- To pan powinien się przespać - odrzekłem.

- Zmiana co dwie godziny. - Mówił bezbarwnym, wykluczającym dyskusję tonem.

Węgiel potoczył się nagle z koryta tworząc u jego stóp wzniesienie. Przyglądał mu się z jakimś wariackim uporem.

- Proszę stąd wyjść! - I jeszcze głośniejszym głosem powtórzył: - Wyjść stąd! Słyszysz? - Nie odrywał wzroku od toczących się bryłek. Zgarbił się i przetarł twarz. - Idź pan spać, na litość boską! Niech mnie pan tu zostawi! - dorzucił prawie szeptem. I jakby kończąc jakąś myśl, dodał: - Siła wiatru wynosi już dziesięć.

Zawahałem się, lecz w tym niesamowitym świetle wyglądał na obłąkańca. Podniosłem więc sweter i ruszyłem ku drzwiom. Przystanąłem dopiero w progu. Wciąż patrzył za mną;

zar padał na wymizerowane rysy i kładł olbrzymi cień ludzki na korycie zrzutowym za jego plecami.

W mroku maszynowni usłyszałem zgrzyt szufli, stąd też przesłałem mu ostatnie spojrzenie; zagarniał węgiel, jakby to był nieprzyjaciel, którego trzeba zaatakować i zniszczyć choćby ostatkiem energii.

Odgłosy wichury uległy przemianom, w miarę jak wspinałem się coraz wyżej; potężny i donośny łoskot fal ustąpił miejsca wysokiemu zawodzeniu wiatru i rozdierającemu sykowi grzywaczy. Na korytarzu jak obuchem uderzył mnie prąd zimnego powietrza.

W kajucie umyłem się i bez sił padłem na koję. Chociaż znużony zaciskałem powieki, sen nie nadchodził. W tym człowieku było coś niezwykłego... i w statku również - dwa pożary, zatopiona ładownia, ucieczka załogi.

Musiałem zasnąć, bo kiedy znów czujnie rozejrzałem się po mrocznej, obcej kabinie, nie wiedziałem, gdzie jestem. Myśl moja powędrowała natychmiast do tamtej drugiej kajuty i dzięki dziwnej skłonności ludzkiej do notowania szczegółów przypomniały mi się dwa płaszcze wiszące na drzwiach, te dwa płaszcze, które musiały należeć do dwóch mężczyzn. Usiadłem spocony i brudny. Już po drugiej. Ze spuszczone nogami, nieprzytomnie wpatrywałem się w pulpit.

Rice! Tak się nazywał. Niespełna dwadzieścia cztery godziny temu był jeszcze na statku, w swojej kajucie, może za tym pulpitem. A teraz ja noszę jego ubranie, zajmuję jego kajutę - „Mary Deare” zaś płynie dalej.

Podszedłem do pulpitu. Współczucie dla biedaka zrodziło ciekawość, czy dotąd miota się na falach w łodzi ratunkowej, czy też bezpiecznie dotarł do brzegu. A może utonął? Bez zastanowienia podniosłem pulpit. Leżały tu podręczniki nawigacji: Rice był systematycznym człowiekiem o wyróżnionym instynkcie posiadania, gdyż na pierwszej stronie każdej książki wypisał swoje imię i nazwisko - John Rice tym samym drobnym, nieczytelnym charakterem, który dominował w dzienniku okrętowym. Obok znalazłem też tanie broszury - przeważnie powieści kryminalne, zeszyty obliczeniami trygonometrycznymi, suwak i luźne arkusze papieru milimetrowego.

Głębiej natrafiłem na nowiuteńką skórzaną teczkę do listów z bilecikiem w środku: „Dla Johna. Pisz do mnie często, kochanie - Twoja Maggie”. Żona czy sympatia? Nie wiadomo. Ostatni jego list leżał otwarty przede mną. „Droga Maggie...” - Bardziej niż nagłówek zainteresował mnie jednak drugi ustęp: „Teraz, kiedy najgorsze już minęło, mogę Ci opowiedzieć, kochana, o tym piekielnym rejsie. Wszystko szło na opak”.

Kapitan umarł; pochowali go na Morzu Śródziemnym. Na Atlantyku złapały ich burze. Szesnastego marca stanęli w dryf - „prawdziwy huragan” - pompy nie nadążają, pierwsza i druga ładownia zalana, pożar w radiokabinie, gdy usiłowali podeprzeć gródz kotłowni, załoga bliska paniki, „bo ten drań Higgins powiedział, że manifest jest sfalszowany i część ładunku stanowią materiały wybuchowe”. Niejaki pan Dellimare - którego nazywał „właścicielem”

- wypadł tej nocy za burtę.

Patch, pierwszy oficer, został przyjęty w Adenie na miejsce „starego Adamsa, który zachorował. I Bogu dzięki - komentował Rice - gdyż w przeciwnym razie nie pisałbym tego wszystkiego. Dobry marynarz, żeby nie wiem co o nim gadali, choć podobno parę lat temu wpakował »Belle Isle« na skały. Zakończenie brzmiało: „Obecnie pierwszym oficerem jest Higgins i szczerze mówiąc, Maggie, nic nie rozumiem. Wspominałem Ci, jak mnie dręczył od chwili wyruszenia z Jokohamy. Ale to mało. Za bardzo trzyma z niektórymi członkami załogi, i to najgorszymi. A poza tym »Mary Deare« czasem wygląda, jakby staruszka wiedziała, że idzie na rozbiórkę. Niektóre statki przeznaczone na złom”...

Tu list się urywał. Dlaczego? Czy zawołano: „Pożar!”? Dręczyły mnie pytania, na które tylko Patch mógłby odpowiedzieć. Wsadziłem zapisany arkusz papieru do kieszeni i pospieszyłem na dół.

Dopiero w maszynowni pomyślałem o człowieku, którego miałem zamiar wybadać. Był sam na pokładzie. Wszyscy inni uciekli. A Taggart nie żyje... i właściciel także. Wstrząsnął mną zimny dreszcz; przystanęłam na dolnej galeryjce, nasłuchując, wytężając słuch - notując każdy odgłos statku walczącego z falami, spotęgowany jeszcze w tej ponurej czeluści przez rezonans. Mimo to oczekiwany dźwięk nie doleciał - nie słyhać było zgrzytu szufli po podłodze.

Schodziłem więc powoli, przystając na każdym szczeblu i nasłuchując - nasłuchując tego dźwięku. Ale na próżno, bo kiedy wreszcie znalazłem się w kotłowni, szufla leżała porzucona na węglu.

Na moje wołanie odpowiedziało tylko echo, słabe wśród ryku fal. Wystarczyło natomiast spojrzeć w palenisko, by zwątpić, czy Patch istniał kiedykolwiek poza moją wyobraźnią. Pod kotłem był tylko rozżarzony do białości popiół i wyglądało tak, jakby po moim odejściu nikt już nie podtrzymywał ognia.

Jak szalony wziąłem się do roboty, usiłując zmęczeniem zagłuszyć obawy, a zadowolenie czerpać z huku płomieni i szmeru węgla toczącego się korytem zrzutowym.

Ale w ten sposób nie da się zabić lęku. Tkwił we mnie głęboko. Nagle upuściłem szufłę i zatrzasnąwszy drzwiczki pogałem przed siebie. Muszę go znaleźć. Muszę się przekonać, czy istnieje.

Nie zapominajcie, że byłem bardzo zmęczony.

Nie znalazłem go na mostku. Za to na mapie oznaczono nową pozycję. Uspokoił mnie również widok morza. Było przynajmniej dostatecznie realne. Mój Boże, realne! Czepiając się parapetu pod oknami sterówki, jak urzeczony obserwowałem falę, która wezbrała po lewej stronie, załamała się i zwała na burtę wznosząc wysoki słup spienionej wody i grzebiąc pod nim cały przedni pokład. Zielonkawy grzywacz przetoczył się nad dziobem. A kiedy zarys burty wychynął z toni i „Mary Deare” otrząsnęła się z tysiąca on wody, na dziobie zamiast pokrywy luku ział czworokątny otwór.

Nie pozostało ani drzazgi. Zniknął wszelki ślad po pokrywach. Były zerwane już od dłuższego czasu. Kiedy statek się przechylał, z ładowni chlustała woda, lecz gniewne ale z większą jeszcze szybkością wpadały do środka. Dziób nie wynurzał się właściwie nad powierzchnię, a pod stopami czułem ciężkie, ospałe ruchy statku. Wyglądało na to, że długo już nie pociągnie.

Patrzyłem dokoła, przykuty dziwną pustką, jaka tu panowała, i przekonany wreszcie, że statek musi zatonać. Szprychy koła sterowego zataczały rozpaczliwy krąg, lśnił mosiądz kompasu, telegraf maszynowy zaś wskazywał niezmiennie: „Cała naprzód”. Ta pustka... Zawróciłem do kabiny kapitańskiej. Leżał w fotelu bezwładnie, z zamkniętymi oczami. Na pulpicie tuż obok zobaczyłem pół butelki rumu, a na dywanie wokół przewróconej szklanki brązową wilgotną plamę. Sen wygładził mu rysy i Patch wydał mi się młodszy, jakby mniej zahartowany, choć nadal mizerny. Prawa ręka drgała mu nerwowo, wsparta o ciemną skórzaną poręcz fotela. Dwa granatowe płaszcze jak przedtem wisały na drzwiach obok siebie, bez żadnego sensu. Dziewczyna ze srebrnej ramki przesłała mi ten sam promienny uśmiech.

Duża fala załomotała o burtę i przysłoniła iluminatory. Uniósł powieki.

-- Co to? - Natychmiast się rozbudził, tylko twarz miał nabrzmiąłą od snu i zaczerwienioną pod wpływem alkoholu.

- Już po pokrywach - oznajmiłem z niewytłumaczonym uczuciem ulgi. Więc jednak istniał, i to on ponosił odpowiedzialność, a nie ja. Wbrew wszystkiemu, nie jestem osamotniony.

- Wiem. - Wyprostował się przesuwając dłonią po twarzy i czarnych włosach. - Czego pan właściwie chce? Żeby poszedł skłecić nowe? - mówił niewyraźnie. - Już raz próbowaliśmy. - Wstał ociężale i podszedł do iluminatora. Odwrócony do mnie plecami, lekko przygarbiony, z rękami w kieszeniach patrzył na morze. wychynął z toni i „Mary Deare” otrząsnęła się z tysiąca on wody, na dziobie zamiast pokrywy luku ział czworokątny otwór.

- W podobnych warunkach przepłynęliśmy Zatokę... duża fala i statek cały czas brał wodę. - Sączące się iluminatorem światło rzucało zimny, surowy blask na tę znużoną twarz. - A później sztorm! Boże, co za noc! - Nieruchomo spoglądał przez szybę.

- Niech się pan jeszcze trochę prześpi - poradziłem.

- Spać? - Znów przetarł oczy i przygładził włosy. - Może ma pan rację. - Zmarszczył się i uśmiechnął jakby z wyrazem zdziwienia. - Wie pan, nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz spałem. Miałem coś... - dodał unosząc brew. - Boże, nie pamiętam. Miałem coś sprawdzić. - Skierował wzrok na mapę i książki walające się po podłodze koło fotela. Szczegółowa mapa Minków oznaczona była numerem 2100.

Nieswoim głosem zapytał:

- Kim pan właściwie jest? - Był podchmielony.

- Mówiłem już. Nazywam się...

- Do diabła z nazwiskiem! - krzyknął niecierpliwie. - Co pan robił na jachcie? Po co pan przyszedł na statek? - I nim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: - Co pana łączy ze Spółką?

- Jaką Spółką?

- Spółką Handlowo Okrętową Dellimare'a... właścicielami „Mary Deare”. - Zawahał się. - Czy miał pan stwierdzić?... - Potrząsnął głową. - Nie, to niemożliwe. Nie płynęliśmy zgodnie z rozkładem.

- Dopiero wczoraj wieczór dowiedziałem się o istnieniu „Mary Deare”. - Opisałem niedoszłe zderzenie z parowcem. - Co się stało? Czemu przypisać ucieczkę załogi, gdy maszyny były jeszcze w ruchu, a pan na pokładzie? Czy to pożar?

Niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Po chwili milczenia rzekł:

- Statek wcale nie miał przepłynąć Kanału. - Mówił z grymasem przypominającym uśmiech, ale gdy zagadnąłem, co ma na myśli, wzruszył ramionami i znów wyjrzał przez iluminator. - Wszystko było już na dobrej drodze po opłynięciu Ushant - mruknął. - Niech to cholera! Jak na jednego człowieka i jeden rejs, dość mi się oberwało, potem jeszcze ten pożar. - Obrócił się ku mnie, rozmowny ni stąd, ni zowąd. - To pożar mnie pokonał. Wybuchł

wczoraj około wpół do dziesiątej w nocy. Rice wpadł do mnie z meldunkiem, że się pali w trzeciej ładowni, a załogę ogarnęła panika. Kazałem wyciągnąć węże i częściowo zerwać pokrywę luku ładowni Czwartej, żeby można było polewać gródź. Zszedłem do tej ładowni przez luk kontrolny. Tak mi dosunęli. - Wskazał krwawą szramę na szczęce.

- To znaczy, że ktoś pana uderzył... ktoś z załogi? - spytałem zdumiony.

Przytaknął z nieprzyjemnym uśmiechem. - Spuścili klapę włazu, zanim odzyskałem przytomność, i w popłochu spędzili załogę do łodzi.

- A pana zostawili?

- Tak, uratowało mnie tylko to, że zapomnieli o zerwanej pokrywie luku. Ułożywszy na stos bele bawełny...

- Ależ to bunt... morderstwo. Przypuszcza pan, że Higgins...

- Higgins? Skąd pan wie, że to Higgins? - zawołał pochylając się w przyływie pasji.

Zacząłem opowiadać o liście Rice'a, lecz nie dał mi skończyć.

- Co jeszcze pisał? Coś o Dellimarze?

- O właścicielu? Nie, pisał tylko, że Dellimare wypadł za burtę. Kapitan umarł także, prawda? - dodałem.

- Tak, i niech go piekło pochłonie. - Odwracając się, niechący kopnął szklanekę. Podniósł ją i lekko drżącymi dłońmi nalał sobie rumu.

- Napije się pan? - Nie czekając na odpowiedź wyciągnął z szuflady drugą szklanekę i napelnił ją po brzegi.

- Pochowałem go na morzu w pierwszy wtorek marca. Szczęśliwy, że więcej go nie zobaczę. - Pokiwał głową. - A przynajmniej wtedy tak mi się zdawało.

- Na co umarł?

- Na co? - Spod ciemnych brwi rzucił mi przelotne spojrzenie. Znów stał się podejrzliwy. - Kogo, u diabła, obchodzi, na co umarł? - spytał zaczepnie. - Umarł i na mnie spadło to wszystko... - Uczynił niewyraźny gest ręką, w której trzymał szklanekę. A potem, jakby uświadomiwszy sobie moją obecność, rzekł gwałtownie:

- Skąd, u pioruna, wziął się pan tutaj z tym swoim jachtem?

Powtórzyłem historię kupna „Wiedźmy Morskiej” w Morlaix i wspomniałem o zamiarze przerobienia jej w Anglii na bazę nurkową, ale nie słuchał. Zaprzętały go inne sprawy, gdyż niespodziewanie wtrącił:

- To niby przyzwoicie ze strony starego drania ustąpić miejsca komuś młodszemu. - Zaśmiał się jak ze świetnego żartu. - Cóż, teraz to obojętne. Gródź zbyt długo już nie wytrzyma. - Spojrzał na mnie. - Wie pan, ile lat liczy sobie ten statek? Ponad czterdzieści.

Trzykrotnie storpedowany, dwukrotnie tonął. Gnił w portach Dalekiego Wschodu dwadzieścia lat. Boże! Musiał chyba na mnie czekać. - Odślonił zęby w niemiłym grymasie.

Łoskot fali o burtę przywołał go do rzeczywistości. - Zna pan Minki? - Schylił się szybko po książkę. - Strona trzysta osiem, jeśli pan ciekaw opisu cmentarza, na którym: pan spocznie. - Była to „Locja Kanału”.

Na wskazanej stronie odczytałem: „PLATEAU DES MINQUIERS. Znakowanie pławami. - Uwaga. - Plateai des Minquiers to duże skupisko raf i skał wystających nad wodą i podwodnych, jak również liczne ławice kamyków żwiru i piachu... Najwyższa skała, Maîtresse Ile, 31 stóp wysokości, leży prawie pośrodku Plateau. Wybudowane na niej kilka domów...” Ze szczegółowych danych wynika to, że rafy ciągną się na jakieś siedemnaście i pół mil wzdłuż i osiem mil wszerz. Kolejno omawiano także ważniejsze wysepki skalne i system znakowania morskiego.

- Powinienem pana ostrzec, że tak zwane „domy” ni Maîtresse Ile to nic innego, jak opuszczone kamienne szalasy. - Rozłożył mapę na pulpicie i pochylił się nad ni; obejmując głowę rękami.

- A pływy?

- Pływy? - Ogarnęło go podniecenie. - Tak, o to właśnie chodzi. O coś w związku z pływami. Miałem to sprawdzić. - Przeszukał wzrokiem podłogę kołysząc się w takt przechyłów statku. - A zresztą to nieważne. - Wychylił szklankę do dna, po czym nalał sobie i podsunął mi butelkę. - Proszę - powiedział.

Odmówiłem bez słowa. Wewnątrz czułem nadal chłodną »ustkę - alkohol spowodował tylko chwilowy przyływ ciepła. Było mi zimno ze zmęczenia i dlatego, że widziałem nadchodzący koniec. A jednak musi istnieć jakieś wyjście, gdyby był wypoczęty, gdyby coś zjadł i przespał się trochę...

- Kiedy ostatni raz miał pan coś w ustach? - zapytałem.

- Och, zjadłem kawałek wołowiny. Chyba dziś rano. - z nieoczekiwaną, zaskakującą troskliwością dorzucił: - A może pan jest głodny?

Absurdalne byłoby przyznawać się do głodu, kiedy lada moment mogliśmy pójść na dno, ale wystarczyła sama myśl o jedzeniu.

- Tak, jestem głodny. - A nuż uda się odciągnąć go od butelki, a nuż coś przegryzie.

- W porządku. Chodźmy jeść. - Poprowadził mnie do kuchni, ostrożnie niosąc szklankę i przystosowując krok do leniwego kołysania statku. Znaleźliśmy puszkę szynki, chleb, masło, marynaty. - Chce pan kawy? - Wyszukał gdzieś prymus i nastawił czajnik.

Jedliśmy żarłocznie w blasku okapującej świeczki; milcząc napychaliśmy puste żołądki. Wycie wichury docierało do nas z oddali, przygłuszone przez syk prymusa.

Zadziwiająco, jak szybko pokarm przetwarza się w energię przywraca człowiekowi desperackie pragnienie życia.

- Czy jest jakaś szansa? - spytałem.

Wzruszył ramionami. - Zależy od wiatru, morza i grodzi. Jeśli gródz wytrzyma, w ciągu nocy zostaniemy zniesieni na Minki. - Woda zagotowała się, więc zaparzył kawę. Ledwie prymus umilkł, kuchnię wypełniło wycie wiatru i skrzypienie.

- Gdybyśmy uruchomili pompy, dałoby się może wypompować wodę z ładowni dziobowej. Przed moim pójściem na górę ciśnienie w kotle było już dość wysokie.

- Wie pan przecież, że bez pokrywy luku nie wypompuje się wody.

- Rzeczywiście to niemożliwe, jeśli będziemy płynąć z wiatrem. Ale gdyby uruchomić pompy...

- Niech pan posłucha - rzekł. - Ten grat będzie teraz przepuszczał wodę wzdłuż każdego spojenia. Choćby wydusić z pomp ostatnią parę, poradzą sobie najwyżej z tym, co przecieknie, ale nigdy nie opróżnią pierwszej ładowni. Jak pan myśli, ile pary trzeba, aby uruchomić jednocześnie pompy i maszynę główną?

- Nie wiem. A pan?

- Też nie. Jestem natomiast święcie przekonany, że nie wystarczy jeden kocioł; trzeba co najmniej dwu. Jeśli pan sobie wyobraża, że moglibyśmy palić pod dwoma kotłami... - Nalał kawy do blaszanych kubków i osłodził ją.

- Gdyby palić pod jednym kotłem, pompy i maszyna główna mogłyby pracować na zmianę. - To nie miałyby sensu. - Podał mi piekielnie gorący kubek.

- Dlaczego nie miałyby sensu?

- Po pierwsze, wiatr jest zachodni. Płynąc z wiatrem za każdym obrotem śruby zbliżalibyśmy się ku Minkom. Poza tym... - Głos zamarł mu w gardle. Zagubiony w jakichś ponurych rozmyślaniach zmarszczył czarne brwi, usta zaciął w surową wąską linię. - Och, do diabła z tym wszystkim - mruknął mieszając resztę rumu z kawą. - Wiem, gdzie schowano alkohole. Możemy się zalać, a co wtedy człowieka obchodzi?

Rozwścieczony do żywego, nie spuszczałem zeń wzroku.

- Czy i poprzednim razem tak było? Zwyczajnie się pan poddał?

- Poprzednim razem? - Zastygł z kubkiem podniesionym do ust. - Co to znaczy: poprzednim razem?

- Na „Belle Isle” - odparłem. - Czy poszła na dno z powodu... - Ugryzłem się w język, bo w jego oczach zapłonęła furia.

- Więc słyszał pan o „Belle Isle”? Co jeszcze wie pan o mnie? - Głos miał ostry, nie panował nad sobą. - Wie pan, że prawie rok spędziłem na łądzie? Rok w Adenie to... Pierwszy statek od roku i to właśnie „Mary Deare”, przekłeta pływająca kupa złomu z pijanym szyprem, który obie po prostu umiera, i właścicielem. - Przesunął ręką po włosach, patrząc skroś mnie, w przeszłość. - Los potrafi płatać paskudne figle, jak już raz dostanie człowieka w swoje łapy. Po krótkiej przerwie dodał: - Gdyby to stare pudło zechciało utrzymać się na wodzie... - Potrząsnął głową.

Coś takiego nie powinno się przecież przytrafić dwa razy jednej osobie, prawda? - burknął. - Dwa razy! Byłem za młody i za mało doświadczony, by przejrzeć ich zamiary, kiedy objąłem komendę na „Belle Isle”. Ale teraz nie lałem się nabrać. No cóż, wyszukali nieodpowiedniego człowieka. - Zaśmiał się gorzko. - Uczciwość nie popłaca. Oprowadziłem statek przez Zatokę Biskajską. Bóg raczy wiedzieć, jakim sposobem. Opłynąwszy Ushant wziąłem kurs na Southampton. - Znów przywarł do mnie wzrokiem. - już mi to obojętne. Nie można stale walczyć. Ten sztorm mnie wykończył. Zdaję sobie sprawę, że zostałem pobity.

Nie odezwałem się, bo nic nie było do powiedzenia. Musi sam zacząć. Nie trzeba go przynaglać. Wiedząc o tym czekałem, milczenie zaś gęstniało w powietrzu. Odstawił tubek i otarł usta wierzchem dłoni. Cisza stała się nieznośna, przepelniona odgłosami przedśmiertnych zmagania statku. - lepiej chodźmy się napić - zaproponował tonem pełnym napięcia.

Nie poruszyłem się. Nie odezwałem.

- Ciężka to będzie dla pana próba, ale nie musiał pan przecież opuszczać jachtu, prawda? - W oczach błysnął mu gniew. - Co ja, u diabła, mogę poradzić?

- Nie wiem. Pan jest kapitanem. Do pana należy wydawanie rozkazów.

- Kapitan! - Zaśmiał się niewesoło. - Kapitan „Mary Deare”. - Słowa te zadźwięczały szyderstwem. - Teraz pójde chociaż na dno ze statkiem. Niektórzy twierdzili, że Best pechowy. - Mówił jakby do siebie. - Byli przekonani, że nie dotrze do celu. Ale każdy z nas ma pecha, kiedy się znajdzie w ciężkiej sytuacji. „Mary Deare” zaś przez wiele lat objała się po świecie. Musiała być kiedyś pierwszorzędnym liniowcem towarowym, choć w tej chwili to tylko. zardzewiała łajba odbywająca swój ostatni rejs. Zostawiwszy ładunek w Antwerpii mieliśmy przeprowić się przez Morze Północne do Newcastle, na złom. - Z przechyloną na bok głową zasłuchał się w huk fal. - Co by to było... statek zawija do Southampton bez załogi, na pół zatopiony. - Wybuchnął śmiechem. To rum tak na niego działał, Patch dobrze o tym

wiedział. - Zastanówmy się - monologował w dalszym ciągu. - Za parę godzin prąd zmieni kierunek. Wiatr i prąd przeciwko nam. Gdyby jednak udało się płynąć rufą do wiatru, może nieco dłużej utrzymalibyśmy się na powierzchni. Wszystko jest prawdopodobne. Wiatr może zmienić kierunek lub stracić na sile. - Nie brzmiało to przekonywająco. Spojrzał na zegarek. Za niecałe dwanaście godzin zacznie nas znosić na skały, jeszcze nim się rozjaśni. Przy dobrej widoczności powinniśmy dostrzec pławy; będzie przynajmniej wiadomo... - Urwał gwałtownie. - Pławy! To o nich myślałem przed pójściem spać. Sprawdzałem na mapie... - Zapalił się, w jego oczach zalśniło podniecenie. Walnąwszy się pięścią po dłoni, skoczył na równe nogi. - Otóż to! Gdyby tak wykorzystać pławy... - Przepchnął się do drzwi i przeskakując po dwa szczeble trapu wybiegł na mostek.

Ruszyłem za nim; stał w kabinie nawigacyjnej pochylony nad grubą księgą „Tablice pływów”. Podniósł wzrok - po raz pierwszy zobaczyłem w nim dowódcę; otrząsnął się ze zmęczenia, alkohol z niego wyparował. - Pozostaje minimalna szansa - rzekł. - Jeśli utrzymamy się na powierzchni, są widoki powodzenia. Ale to oznacza pracę w kotłowni... pracę, o jakiej się panu nie śniło. Na zmianę: kotłownia i sterówka. - Ścisnął mnie za ramię. - Chodźmy sprawdzić, czy starczy pary na uruchomienie maszyn. - O burtę rozbiła się potężna fala. Strumienie wody opadły z hałasem i wdarły się do sterówki przez wyłamane drzwi wiodące na lewe skrzydło mostku. Kącikiem oka dostrzegłem, jak na pół zatopiony dziób ginie pod zieloną nawałą, po czym zszedłem w głąb statku.

Patch wołał: - Na Boga, człowieku, może ich jeszcze wykiwam!

Snop latarki padł na twarz zwróconą w tej chwili ku mnie, pełną jakiejś szalonej żywotności.

III

Mrok maszynowni był ciepły, przesiąknięty zapachem gorącego oleju, zaś syk pary rozpraszał wrażenie panującej tu martwoty. W pośpiechu zeskoczyłem z najniższych szczebli ostatniego trapu; rzuciło mnie kilkanaście stóp dalej, aż wreszcie zatrzymałem się o stalową poręcz. Łapałem jeszcze oddech, gdy rozległ się przeciągły świst pary; tłoki drgnęły, wyciągając ramiona ku połyskliwemu metalowi wału korbowego, obracając go, najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej, aż wszystko błyskało w kręgu latarki, z równomiernym, uspokajającym łomotem maszyn, który dowodził żywotności i siły. Zabrzęczała prądnica, zapłonęły lampy. Im głośniejsze było brzęczenie, tym jaśniej płonęły - wtem rozjarzyły całe wnętrze maszynowni. Lśnił mosiądz i stal. Oświetloną czelusć wypełniały dźwięki.

Patch tkwił na platformie kontrolnej oficera mechanika. Przelazłem po galeryjce między dwiema wielkimi maszynami tłokowymi.

- Maszyny! - krzyknąłem. - Maszyny ruszyły! - Nie posiadałem się z podniecenia. W tej sekundzie myślałem, że potrafimy zawinąć prosto do portu.

Ale on już zamykał dopływ pary i stuk maszyn, coraz powolniejszy, ustał wraz z ostatnim jej świstem.

- Niech pan tu nie sterczy - rzekł. - Trzeba brać się do roboty. Potrzebujemy jak najwięcej pary. - Po raz pierwszy sprawiał wrażenie człowieka, który panuje nad sytuacją.

Palenie pod kotłem było obecnie trudniejsze, a także bardziej niebezpieczne. Ruchów statku nie dało się przewidzieć. Albo rzucałem węgiel wysoko, pokonując siłę ciężkości, albo znów zataczałem się w kierunku płonącej paszczy paleniska, węgiel zaś spadał z szufli, jakby pozbawiony ciężaru.

Nie wiem, ile czasu pracowałem sam. Wydawało mi się, że długo. Nie zauważyłem jego wejścia, całą uwagę skoncentrowawszy na węglu i rozwartych drzwiczkach paleniska; musiałem wyczuwać przechyły statku, by nie polecieć w ogień. Podniosłem wzrok, gdy dotknął mego] ramienia. Stał nade mną. Wyprostowałem się zdyszany, ociekający potem.

- Pompy uruchomione - oznajmił.

Skinąłem głową, zbyt zasapany, by mówić.

- Byłem teraz na mostku - podjął. - Dziób prawie stale znajduje się pod wodą. Gródź może puścić lada moment. Czy dosłyszysz pan stąd dzwonek telegrafu?

- Nie wiem, ale raczej tak.

Zaprowadził mnie do maszynowni i pokazał zawory sterujące maszyny oraz rurę głosową połączoną z mostkiem.

- Idę na górę - wyjaśnił. - Niech pan wraca do kotłowni i bierze się do roboty. Nastawię telegraf. Jeśli pan nic nie usłyszysz, proszę po Upływie dwu minut podejść do rury. Okay?

Wyraziwszy zgodę wróciłem do kotłowni, podczas gdy on wspinał się po trapie. Już przez tę krótką chwilę zeszywniały mi barki i ramiona. Zmusiłem się, by ponownie chwycić za szufłę. Ogarnęło mnie silne zmęczenie i ciekawość, czy długo uda nam się pociągnąć. Poprzez ryk paleniska i hałasy maszynowni dobiegł cichy dźwięk telegrafu. Zatrzasnąłem drzwiczki i pośpieszyłem na platformę mechanika. Wskazówka ustawiona była na: „Cała naprzód”. Obróciłem kołem regulacyjnym i otworzyłem dopływ pary, teraz dopiero zdolny zrozumieć radość i dumę, jaką odczuwa każdy oficer mechanik. Syk pary, ruch tłoków, równ

- mierny, pulsujący, nabrzmiały mocą łoskot maszyn - sei statku ożyło dzięki mnie. A to przynosi zadowolenie.

W kotłowni szufla wydała mi się nadspodziewanie lekka. Nie zwracałem prawie uwagi na ból ramion. Wiara i gotowość do walki opanowały mnie znowu, przepełniła energia.

Okazało się, że maszynę należy uruchamiać przeciętnie co dziesięć minut, a jakieś trzy minuty trwało, zanim rufa ustawiła się do wiatru. Przez te trzy minuty na manometrze zaznaczał się poważny spadek ciśnienia. Jedynie dzięki temu, że pod kotłem stale huczał ogień, wzrastało na czas, bym mógł wypełnić kolejny rozkaz z mostka.

O wpół do czwartej przywołał mnie do steru.

- Proszę obserwować pył wodny - powiedział. - Zorientuje się pan po tym, jaki jest kierunek wiatru. Trzeba utrzymywać kurs idealnie zgodny z kierunkiem wiatru. Przy najmniejszym odchyleniu natychmiast zarzuca rufą. Niech pan uważa na ster od momentu, kiedy każe mi pan uruchomić maszynę... i niech pan pamięta, że będziemy szli rozpędem dobre pięć minut po jej zatrzymaniu.

Odszedł. Zostałem sam.

Co za ulga nie mieć do roboty nic cięższego jak obracanie kołem. Ale w kotłowni huk paleniska i okresowo powtarzający się łoskot maszyny stwarzały wrażenie bezpieczeństwa i normalności, tu zaś musiałem stanąć w obliczu prawdy. Poprzez ponury mrok widać było dziób do tego stopnia zanurzony, iż ledwie unosił się nad przeciągające w marszu grzbiety fal, nawet gdy statek szedł z wiatrem; gdy zaś zboczył z kursu i musieliśmy uruchamiać maszynę, cały przedni pokład aż do mostka zamieniał się w skłębioną kipieli. Pot ostygł, tworząc na mojej skórze lodowatą wilgotną powłokę, pod którą zacząłem dygotać. Włożyłem znaną w kabine nawigacyjnej kurtę z grubego sukna. Na mapie widniała wykreślona nowa pozycja, gdzieś w połowie drogi między Minkami a Les Roches Douvres. Obszar gęsto rozsianych podwodnych raf rysował się coraz bliżej.

Zmieniliśmy się o wpół do piątej. Przez chwilę spoglądał ponad dziobem w światło dnia zmierzającego nad tą ponurą, smaganą wiatrem scenerią. Twarz i szyja lśniły mu od potu, oczy miał zapadnięte, szczęki i kości policzkowe sterczały twardo i ostro.

- Niech pan wstąpi do kabiny nawigacyjnej - rzekł ujmując moje ramię... nie wiem, czy to z potrzeby fizycznego kontaktu, czy też, by złapać równowagę. - Wiatr mamy zachodni - oznajmił i wskazał naszą pozycję na mapie.

- Później powinien się zmienić na południowozachodni. Przy niedostatecznej ostrożności znieś nas w sam środek Minków. Cał za całem musimy teraz posuwać się na południe. Maszynę trzeba będzie wykorzystywać w całej pełni.

Przytaknąłem. - Bierze pan kurs na... Saint Mało?

Popatrzył na mnie.

- Nie biorę żadnego kursu - odparł. - Staram się tylko utrzymać na powierzchni. - A po krótkim wahaniu dorzucił: - Za cztery godziny zacznie się odpływ. Wiatr będzie wiał przeciw prądowi, i to prawie całą noc. Morze diabelnie się wzburzy.

Z zamartwionym sercem wyjrzałem przez okno; większych fal nie sposób było sobie wyobrazić. Obserwowałem, jak wykonawszy zliczenie stawia nowy krzyżyk około pięciu mil na zachód i trochę na południe od poprzedniego. - Nie mogliśmy chyba tyle przepłynąć w ciągu godziny - zaprotestowałem.

Cisnął ołówek. - Niech pan sam zlicza, jak pan nie wierzy. Przyptyw znosi nas z szybkością trzech węzłów na południowy wschód. Dodając dwie mile na wiatr i maszynę, uzyska pan wynik.

Nie odrywałem wzroku od mapy. Minki były już bardzo blisko.

- A za dwie godziny? - spytałem.

- Za dwie godziny przyptyw osłabnie. Sądzę jednak, że znajdziemy się mniej więcej o milę od pławy na południowozachodnim skraju Minków. Pozostaniemy tam do północy. A kiedy zacznie się odpływ... - wzruszył ramionami i zajął miejsce za sterem. - Zależy, czy w ogóle udało nam się posunąć na południe.

Z tak radosną perspektywą powróciłem na dół, do swojskiego kieratu i buchającego żaru kotłowni. Godzina w kotłowni, godzina w sterówce. Zmiana po zmianie, aż weszło nam to w nawyk. Otepiali z wysiłku działaliśmy jak automaty, podświadomie przystosowując się do silniejszego kołysania na mostku, potem zaś do szybszych, nie dających się tak łatwo przewidzieć, a daleko bardziej niebezpiecznych przechyłów w kotłowni.

Stałem właśnie za kołem, gdy zapadł mrok. Podkradł się omal niedostrzegalnie, aż nagle dziób zniknął mi z oczu i nie potrafiłem już określić kierunku wiatru, nie widząc piany unoszonej z grzbietów fal. Tylko ciemność upstrzona białymi plamami grzywaczy. Przechył dziobowy „Mary Deare” i bryzgi wokół burt sprawiały wrażenie, iż płyniemy bystrym spadkiem rzeki olbrzyma - suniemy w dół z ogromną prędkością. Sterowałem według kompasu i na wycucie, zmierzając wciąż na południe, wykorzystując każdy zryw maszyn.

Niebawem po północy poprzez skłębiony, smagany wichurą mrok przedarł się promyk światła. Łudziłem się, że to przywidzenie. Byłem wszak bardzo zmęczony, a ten ognik zamigotał niewyraźnie i zgasł po chwili. Nieco później jednak znów go ujrzałem, mniej więcej dwa rumby na prawo od dziobu. Mrugał przesłaniany przez falę.

Pod koniec wachty mogłem już stwierdzić, że to pława oznaczona Gp. fi. (2). Według mapy tak oznaczona była pława na południowozachodnim skraju Minków.

- Należało się tego spodziewać - rzekł Patch. Głos jego nie zdradzał ożywienia; mówił monotonię, połykając sylaby, a w kręgu lampy kompasowej majaczyła wymizerowana twarz.

Odtąd światło towarzyszyło nam stale, coraz bliższe i coraz jaśniejsze, aż w końcu zaczęło się rozpląwać w szarym przedświcie, gdy o wpół do szóstej chwyciłem za ster. Wyczerpany śmiertelnie, ślaniałem się na nogach, kolana pode mną drżały. Noc w kotłowni była piekłem, a ostatnia godzina prawie nie do zniesienia; sypałem węgiel, woda zaś strumieniami ciekła po podłodze i zataczając łuk wokół rozżarzonych fundamentów paleniska wzbijała w górę obłok pary..

Był już odpływ; podwójny błysk pławy zbliżał się do nas szybko i ze złej strony. Wkrótce w świetle dziennym zobaczyłem ją samą, jedną z tych dużych francuskich pław wieżyczkowych, a nawet zdawało mi się, że od czasu do czasu słyszę jej żalosne, pogrzebowe zawodzenie. Musieliśmy minąć przynajmniej o pół mili po wewnętrznej stronie, spojrzawszy na mapę, przywołałem Patcha.

Na mostku zjawił się dopiero po dłuższej chwili; ruchy miał zwolnione, nogami powłóczył jak po przebytej chorobie. Kiedy zmienialiśmy się w nocy, był tylko mglistą sylwetką w mdłym blasku lampy. Obecnie doznałem wstrząsu. Za dnia wyglądał upiornie.

- Pan się ledwo trzyma na nogach - powiedziałem.

Patrzył na mnie jakby nie rozumiejąc. I ja musiałem chyba wyglądać dość kiepsko.

- Co to? - zapytał.

Wskazałem pławę, która przesunęła się już niemal o cztery rumby w prawo od dziobu.

- Mijamy ją za daleko po wewnętrznej stronie - zauważyłem. - Lada moment wpadniemy na skały Brisants du Sud.

Wszedł do kabiny nawigacyjnej, spodziewałem się więc, że niebawem pośle mnie na dół, upłynęło jednak sporo czasu. Zawołałem go w obawie, że zasnął, lecz odpowiedział natychmiast - obserwuje pławy i coś zlicza. Odpływ dzierzył nas w mocnym uchwycie. Położenie pławy raptownie się zmieniało i gdy wrócił z kabiny, była już prawie na trawersie.

- Dobra jest - rzekł. - W tym stadium odpływu wody jeszcze wystarczy. - Głos miał opanowany.

Wiatr uderzył o rufę i zakołysał statkiem. W odległości niespełna dwu kabli nad podwodną skałą powstał wir, a silne prądy załamywały się o siebie z impetem, wzbijając tumany kropel. Dalej kipiał jak katarakta rozszalały przybój, którego fale przewalały się i

kłębiły na rafach. Ogromna fala załomotała o burtę przetaczając się białą lawiną po przednim pokładzie. Tony wody spływały na mostek. „Mary Deare” dygotała.

- Nie uruchomimy maszyny? - spytałem ostro.

Stał do mnie plecami i patrzył w prawo. Nie słyszał.

- Na litość boską! - krzyknąłem. - Znosi nas wprost na Minki.

- Nic nam jeszcze nie grozi. - Mówił cicho, uspokajająco.

Nie wierzyłem. Czyż to możliwe? Przed nami jak okiem sięgnąć nic tylko rafy i morze pobiełałe na podwodnych skałach. Gdybyśmy uderzyli o te skały...

- Musimy coś zrobić! - zawołałem w rozpacz.

Milczał nie opuszczając lornetki, rozkraczony ,by podczas silnych przechyłów nie stracić równowagi.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Niby to zachowywał spokój i panował nad sytuacją, przekroczył już jednak granicę odporności fizycznej... a może i psychicznej.

- Musimy oddalić się od Minków - powtarzałem. - Jeśli się stąd oddalimy, nic nam nie będzie. - Skierowałem się do trapu. - Uruchomię maszynę.

Złapał mnie za rękę. - Czy pan nie rozumie? - zawołał. - Toniemy. - Twarz miał równie kamienną jak spojrzenie. - Nie wspomniałem o tym, lecz gródź już przepuszcza. Sprawdziłem przed wyjściem. - Zwolnił uchwyt i znów podniósł szkła do oczu szukając czegoś w szarym, zamglonym brzasku.

- Kiedy... - Zawahałem się, niechętnie ujmując tę myśl w słowa. - Kiedy pójdziemy na dno?

- Nie wiem. Za parę chwil, za godzinę, a może dwie. - Opuścił lornetkę z pomrukiem zadowolenia. - No, jest słaba szansa, ale... - Szacował mnie wzrokiem. - Ciśnienie pary musi być przez dziesięć do piętnastu minut bardzo wysokie. Jest pan gotów zejść na dół i wziąć się do roboty? - Po przerwie zaś dodał: - Ostrzegam, że nie ma dla pana ratunku, jeśli gródź nie wytrzyma.

Decyzja była trudna.

- Jak długo trzeba palić?

- Jakies półtorej godziny. - Spojrzał w prawo, skinął głową i poprowadził mnie. - Chodźmy. Pomogę panu przez pierwszą godzinę.

- A co ze statkiem? Jeśli osiądzie na rafie...

- Nie osiądzie - zapewnił. - Znajdujemy się dopiero o milę poza pławą.

W kotłowni niebezpieczeństwo wydawało się dziwnie odległe. Ciepło, odbłask paleniska i światła lamp były kojąco normalne. Ledwie znikły fale rozbijające się na skałach,

ogarnęło mnie złudne poczucie, że nic nam nie grozi. Tylko głuchy odgłos uderzeń o burty i woda sącząca się strumykami przez otwory po nitach uświadamiały nam grozę położenia; a do tego jeszcze pochylenie pokładu w kierunku dziobu i czarna od pyłu węglowego, tłusta od oleju woda, która wyciekała z zęzy.

Pracowaliśmy jak szaleni, ramię w ramię, nie zważając na brak sił. Trwało to wieczność, ale gródź wytrzymała i Patch spojrzawszy wreszcie na zegarek, wypuścił z rąk szufłę.

- Idę na górę - oznajmił. - Zostaje pan sam. Niech pan dorzuca węgla, aż pan usłyszysz telegraf. A jak maszyna ruszy całą naprzód, niech pan przychodzi na mostek. Zgoda?

Przytaknąłem, bo nie miałem odwagi się odezwać. Włożył ubranie, niepewnym krokiem przeszedł przez maszynownię i znikł. Fale jakby donośniej łomotały teraz o kadłub. Było dwadzieścia po siódmej. Znów wziąłem się do roboty nie przestając myśleć o spiętrzonych nade mną blachach poszycia i przechyle dziobowym; o tym, że lada chwila ten rozjaśniony lampami świat może się zapaść w głębiny. W zęzie chlupotała woda, zalewając podłogę, wirując wokół mych stóp.

Wpół do ósmej! Za kwadrans ósma! Czy ten telegraf już nigdy się nie odezwie? Raz przystanąłem wsparty na szufli przekonany, że pokład nachyla się pod ostrzejszym kątem. Wpatrzony w przeciekającą gródź zastanawiałem się, co on, u diabła, robi na tym mostku. O jakiej to słabej szansie wspominał? Wyczerpany, z nerwami nadszarpniętymi przez trwogę i długie oczekiwanie, nagle przestałem mu ufać. Co ja właściwie o nim wiem? Pierwotnie wziąłem go za człowieka wytrąconego z równowagi okolicznościami - wrażenie to powróciło teraz z jeszcze większą mocą.

Wtem poprzez hałasy dobiegło mnie słabe brzęczenie telegrafu. Dochodziła ósma. Cisnąłem szufłę i zatrzasnąwszy drzwiczki paleniska, z ubraniami w garści pośpieszyłem do maszynowni. Na tarczy odczytałem rozkaz: „Cała naprzód” Kiedy wykonałszy go gnałem po trapie, zasnuta stalowymi pajęczynami otchłań rozbrzmiała hukem pracującej maszyny.

Stał za sterem, gdy zziąjany wpadłem na mostek.

- Oddaliliśmy się od Minków? - spytałem.

Nie odpowiedział. Patrzył w dal z dłońmi zaciśniętymi na kole i wyrazem napięcia w całej postawie. Statek trwał w długim, straszliwym przechyle. Zatoczyłem się pod okna. Czerwonobiała pława prześliznęła się na prawo od nas. Dziób „Mary Deare” był kompletnie zanurzony.

- Nieźle. - Głos miał przejęty, ledwie dosłyszalny. Zapadniętymi oczyma wpatrywał się w przestrzeń. Stanąwszy mocno na nogach, obrócił kołem. Nie chciało mi się wierzyć. Kładł ster na lewo. Kierował się w lewo, w stronę skalistych wysepek.

1 - Czy pan oszalał? - krzyknąłem. - W prawo! W prawo, na litość boską! - Błyskawicznym ruchem chwyciłem za szprychy usiłując wyrwać mu ster.

Uderzająca o mostek fala zagłuszyła jego odpowiedź. I tak bym jej zresztą nie dosłyszał. Od St. Mała dzieliło nas marnych dwadzieścia mil, a puls maszyn pracujących ppd pokładem wybijał o podeszwy mych stóp werbel nadziei. Musimy płynąć w prawo, byle dalej od Minków, do St. Malo.

- Na Boga! - wrzasnąłem.

Wczepił mi palce we włosy odciągając mnie za głowę i rozkazując puścić koło; spod przymkniętych z bólu powiek dojrzałem twarz skupioną, surową i lśniąca od potu, połyskujące zęby i twardo zaciśnięte szczęki.

- To nasza jedyna deska ratunku. - Słowa z trudem dochodziły poprzez ryk morza. Odepchnął mnie do tyłu, przy czym omal nie skręciłem karku; poleciałem w dół zatrzymując się na ścianie z takim rozmachem, że aż dech mi zaparło. Za lewą burtą przesunął się skrawek spienionych wód, a prawie na wprost biały grzywacz rozprysnął się o grupę skał, które właśnie wychynęły na powierzchnię. Zrobiło mi się słabo.

- Stanie pan za sterem? - Mówił spokojnie, jakby z oddali. Patrzyłem oszołomiony, nic nie rozumiejąc. - Prędeż, człowieku - powtórzył. - Niech pan stanie za sterem. - Był u siebie na mostku, wydawał komendę, oczekiwał jej wykonania. Sam jego ton wyrażał absolutną pewność, że posłucham. Podeszedłem do steru. - Kurs dziesięć stopni. - Wziął z kabiny nawigacyjnej kompas namiarowy i długo, bez ruchu, obserwował morze po prawej stronie, najwyżej czasem podnosząc przyrząd do oka i biorąc namiar jakiegoś obiektu za nami.

Ja zaś utrzymywałem kurs 10° nieświadom, w imię czego mamy płynąć prosto na rafy. Lecz jeszcze trochę kręciło mi się w głowie, byłem otumaniony i za wielkiego miałem stracha, by coś przedsięwziąć; wypełniałem rozkaz wiedząc, że znajdujemy się wśród skał i że wszelka próba zawrócenia z drogi oznacza niechybną katastrofę. Za oknami ze jkłębionych wirów na horyzoncie wyłaniały się stopniowo i z każdą minutą stawały coraz bliższe zarysy nowych skał, całych skupisk skalnych.

- Teraz kurs zero stopni. - Wciąż zachowywał spokój, choć za dziobem fale wznosiły się i w kaskadach przewalały przez częściowo wynurzone rafy. Najbliżej leżała pojedyncza wysepka, a gdy była już niedaleko, Patch podeszedł do mnie. - Proszę oddać mi ster -

powiedział łagodnie; ustąpiłem bez sprzeciwu, bez pytań, bo na twarzy miał wyraz dziwnego skupienia, jak gdyby zamknął się w sobie, poza zasięgiem istot ludzkich.

I wówczas statek osiadł - nie towarzyszył temu gwałtowny wstrząs, lecz powolny miękki posuw po dnie, dopóki nie utknęliśmy w miejscu. Znow rzuciło mną o ścianę. Tarcie stępki o skały raczej wyczułem po drganiach, niż zdołałem usłyszeć w tej wichurze. Przez moment „Mary Deare” zerwawszy więzy zdawała się zataczać na fali, lecz zaraz z nagłym szarpnięciem osiadła na dobre. Maszyna pracowała bez wytchnienia, jakby serce statku nie chciało poddać się śmierci.

Chwila była niesamowita. Patch nie odrywając się od steru utkwiał wzrok w dali, z palcami pobielalymi od zaciskania na szprychach. W sterówce nic się nie zmieniło, a za oknami grzywacze wciąż przewalały się przez dziób. Pod stopami pokład jeszcze pulsował życiem. Wszystko wyglądało jak dawniej, tylko nie posuwaliśmy się naprzód.

Drżąc otarłem zimny pot z czoła. Osiedliśmy na Minkach.

Zaszło coś nieodwołalnego. Zwróciłem się ku niemu. Był półprzytomny. Pod warstwą pyłu twarz miał kredowobiałą. Ciemnych, nieruchomych oczu nie odrywał od spienionego bezkresu morza.

- Zrobiłem, co w mojej mocy - szepnął. I głośniejszym głosem powtórzył: - Bóg mi świadkiem, zrobiłem, co w mojej mocy. - Nie było to bluźnierstwo, jedynie wyraz ludzkiej udręki. W końcu bezwładnie opuścił ręce i jakby zrzekłszy się dowództwa - powolnym, ostrożnym krokiem lunatyka przeszedł do kabiny nawigacyjnej.

Wziąłem się w garść i podążyłem za nim.

Trwał pochylony nad mapą, nie unosząc głowy. O burtę rozprysnęła się fala i płynna masa przysłoniła światło. Gdy opadła, sięgnął po dziennik okrętowy i ołówek i zaczął pisać. Skończył, zatrzaskał dziennik i wyprostował się, jak gdyby pod tym rozdziałem życia kładąc słowo: Finis. Teraz napotkał mój wzrok.

- Bardzo mi przykro - rzekł. - Powinienem być wytłumaczyć, co robię. - Przypominał człowieka zbudzonego ze snu, który nagle odzyskuje przytomność. - Chciałem utrafić na odpływ.

- Trzeba było płynąć w stronę Saint Malo. - Trochę jeszcze oszołomiony i otępiwały nie mogłem zrozumieć.

- Za dwie godziny, gdybyśmy je przetrwali, prąd pływowy zmienia kierunek i zniósłby nas na północ, na rafy. - Podsunął mi mapę. - Niech się pan sam przekona. Mieliśmy jedno wyjście: osiąść tutaj. - Wskazał ołówkiem pozycję „Mary Deare”.

Utknęliśmy o milę na południe od głównego członu raf, na obszarze, gdzie przy najniższym poziomie wody głębokość wynosi dwa i ćwierć sążnia. - Ta skała na lewo od dziobu to GruneàCroc - podjął. - Ukazuje się podczas odpływu, przy średniej głębokości trzydziestu sześciu stóp. A przypuszczalnie Maîtrese Ile będzie słabo widoczna na prawo. - Czubek ołówka spoczął na wschód od skupiska wysepek. - Podczas niskiej wody powinno tu być dość zacisznie.

- Rzucił ołówek, przeciągnął się i otarł oczy. - Cóż, to wszystko - powiedział jakby stwierdzając rzecz ostateczną.

I godząc się z klęską.

- Idę spać. - Bez dalszych wyjaśnień przeszedł obok mnie do sterówki. Na trapię wiodącym w dół zatupały kroki. Nie odzywałem się ani nie próbowałem go zatrzymać. Byłem za bardzo zmęczony, Łeby teraz zadawać pytania. W głowie mi huczało, a wzmianka o śnie wzbudziła silne pragnienie, by z zamkniętymi oczami pogрузić się w niepamięć.

I ze sterówki popatrzyłem na skały i bryzgi pian składające się na ten szary, smutny pejzaż. Dziwnie było stać za Kołem, czuć pod stopami rytm maszyny, a jednocześnie wiedzieć, że osiedliśmy na najgorszych rafach Kanału. Wszystko wydawało się tak normalne. Dopiero zobaczywszy (wyłaniające się z morza skały i dziób statku, niewyraźnie (zarysowany wśród skłębionych nurtów, pojąłem, co się stało. I Ale przez sześć godzin albo nawet i więcej nic nam nie grozi, póki przyplływ nie uderzy w nas z całą siłą. Obróciłem się i jak we śnie, jak lunatyk, zacząłem zstępować po stopniach trapu. Niejasne wrażenia docierały do mnie z oddali, gdy szedłem kołysząc się lekko i podświadomie przystosowując krok do przechyłów statku, nieruchomego już teraz jak skała. W kajucie poczułem, że maszyny zwalniają tempo i wreszcie milkną zupełnie. Albo zabrakło pary, albo też Patch sam je zatrzymał. A zresztą to bez znaczenia. Nie będą już potrzebne - ani maszyna główna, ani pompy. Jeden sen ma znaczenie.

Wydaje się nieprawdopodobne, bym w tych okolicznościach w ogóle mógł zasnąć, lecz najpierw wzięwszy go za szaleńca, a później przekonawszy się, iż to człowiek nie tylko przy zdrowych zmysłach, lecz także zdolny dokonać cudu sztuki żeglarskiej, nabrałem wiary w jego słowa, że podczas odpływu będziemy tu osłonięci. Tak czy owak nic nie da się zrobić - żaden z nas nic nie wymyśli; nie mamy łodzi ani nadziei, że pośród tych raf przyjdzie ratunek - a natężenie wichury sięga szczytu.

Zbudziłem się w kompletnych ciemnościach: woda czarną strugą płynęła po korytarzu. Dostała się przez stłuczony iluminator w mesie, a pewno i nie tylko tędy. Fale bębniły o burty, ilekroć zaś statek przesunął się po dnie, dobiegał zgrzyt i chrzęst kamyków.

Pośpieszyłem do Patcha. Leżał na koi w ubraniu, a kiedy zaświeciłem mu w twarz latarką, nawet nie drgnął, choć spał już z górą dwanaście godzin. Dwukrotnie schodziłem do kuchni po jedzenie, wodę i prymus, lecz dopiero za drugim razem przykuł moją uwagę biały prostokąt wizytówki na mahoniowych drzwiach sąsiadujących z kabiną kapitańską od strony rufy. Był to bilet wizytowy biznesmena: „J.C.B. Dellimare, Spółka Handlowo Okrętowa z o.o.”. Firma mieściła się przy St. Mary Axe w londyńskiej City. Nacisnąłem klamkę, i drzwi były jednak zamknięte.

Powtórnie obudziłem się już w biały dzień. Wiatr ucichł i fale przestały tłuc o burty. Mdły promień słońca sączył się przez pokryty skorupą soli iluminator. Patch spał, ale już bez butów, częściowo rozebrany i otulony kocem. Zejście do mesy i na dolny pokład przypominało czarną, niezmaconą powierzchnię studni, po której pływają najrozmaitsze przedmioty. Na mostku powitał mnie obraz całkowitego spustoszenia. Woda opadła i skały jak pieńki spróchniałych zębów, bure i pokruszone, a u dołu ciemne od wodorostów, sterczały dokoła. Siła wiatru nie przekraczała 5 czy 6° i mimo że daleko na horyzoncie grzywacze w białych kaskadach przetaczały się przez rafy, bliżej nas morze było względnie spokojne i wygładzone, jakby odpoczywało.

Stałem dobrą chwilę obserwując, jak ostatnie podmuchy wichury rozsnuwają pierzaste jasnoszare pasma obłoków w poprzek słońca, wpatrując się w labirynt i w grzywacze i na widnokregu. Owładnęła mną pełna, głęboka radość płynąca z prostego faktu, że żyję, że widzę, jak woda mieni się w słońcu, że spoglądam w niebo i czuję wiatr na policzkach. Ale żurawiki wznosiły nad burtą nagie żelazne ramiona, zaś łódź, która zwisała z wyciągu, była tylko potrząskanym w drzazgi kawałkiem drewna u końca wystrzępionej liny.

Zjawił się Patch. Nie interesowało go morze, niebo ani skały. Popatrzył na dziób, wystający teraz nad powierzchnię, i na ziejącą mrokiem czeluść zalanej ładowni. Następnie przeszedł na rozbite lewe skrzydło mostka i przebiegł oczami wzdłuż statku. Umył twarz; był blade i mizerny w migotliwym blasku słońca, szczęki rysowały mu się twardo, a dłonie zaciskały na mahoniowym słupku relingu.

Czułem, że wypada coś powiedzieć - na przykład, że nie miał szczęścia, ale przynajmniej może być z siebie dumny, bo osadzając „Mary Deare” na rafach wykazał niewiarogodną znajomość marynarskiego rzemiosła. Zmrożony jego ponurym wyglądem pośpieszyłem jednak na dół, a on pozostał sam.

Kiedy po dłuższym czasie ukazał się w kabinie kapitańskiej, rzekł tylko:

- Radzę panu coś przegryźć. Za godzinę lub dwie można już będzie odpływać. - Nie pytałem, jak sobie to wyobraża, skoro łódź jest pogruchotana. Najwyraźniej nie pragnął

rozmowy. Usiadł na koi i zgarbiwszy się zaczął przerzucać swe rzeczy w jakimś odrętwieniu, zatopiony w myślach.

Podczas gdy rozpalałem prymus i nastawiałem czajnik, otwierał i zamykał szuflady pulpitu, a wyciągnięte z nich papiery upychał do żółtej nieprzemakalnej torby. Z wahaniem spojrział na fotografię i zabrał ją także. Nim skończył, zaparzyłem herbatę i otwarłem puszkę wołowiny. Jedliśmy w milczeniu: nieustannie zastanawiałem się, co zrobimy i jak zbudujemy łódź.

- Nie warto czekać na pomoc - zaryzykowałem wreszcie. - Nikt nas tu nie odnajdzie.

Podniósł wzrok, zaskoczony, że ktoś przerywa martwą ciszę statku.

- Rzeczywiście prędko nas nie odnajdą. - Skinął głową w zadumie.

- Będziemy musieli sklecić łódź.

- Łódź? - Zdziwił się. - Łódź przecież mamy.

- Gdzie?

- W kabinie obok. Nadmuchiwaną gumową dingi.

- Gumową dingi... w kabinie Dellimare'a?

- Tak. Dziwne, prawda? Chowaj ją... na wszelki wypadek. - Zaśmiał się cicho. - A teraz my się nią posłużymy.

Dellimare już nie żył, fakt zaś, że nie skorzystał z własnej dingi, nie wydawał mi się komiczny.

- I pana to bawi? - spytałem ze złością.

Zamiast odpowiedzi wziął z pulpitu klucze i wyszedł na korytarz; zgrzytnęły drzwi sąsiedniej kajuty. Usłyszałem, że przesuwają coś ciężkiego, więc pośpieszyłem z pomocą. Kabina wyglądała, jakby ją splądrował szaleniec - szuflady były powyciągane, walizki pootwierane na siłę. Zawiasy kufereków ktoś poodrywał, a zawartość rozrzucił po podłodze; wszędzie wałała się odzież i papiery. Jedyne koja górowała nad tym chaosem - z pościelą schludnie zasłaną, nie zburzoną, i poduszką noszącą ślady tłustych włosów.

Miał klucze. Musiał sam przetrząsać kajutę.

- Czego pan tu szuka? - spytałem.

Popatrzył na mnie bez słowa, po czym odepchnął z drogi wielki kufer, który z hałasem przewróciwszy się na bok leżał jak bryła pokryta kolorowymi naklejkami hotelowymi - Tokio, Jokohama, Singapur, Rangun.

- Niech mi pan pomoże. - Ciągnął duży brązowy pakunek owinięty w płótno. Razem wywlekliśmy go na korytarz, a stamtąd na pokład. Patch wrócił jeszcze i zamknął na klucz kajutę Dellimare'a. Przyniósł nóż. Przecieliśmy paski i wydostaliśmy żółtą dingi z pokrowca.

Po nadmuchaniu mierzyła około dwunastu na pięć stóp; miała wiosła, ster i wysuwany teleskopowo maszt z nylonowym olinowaniem i małym nylonowym żagielkiem, a nawet i sprzęt rybacki.

- Czyż był aż tak nerwowy? - zagadnąłem. Dziwne, jeśli właściciel statku zabiera w rejs składaną dingi: całkiem jakby trapiły go przecucia, że zginie na morzu.

Ale Patch ograniczył się do stwierdzenia:

- Czas w drogę.

Zdumiewał mnie sam pomysł zamiany względnie bezpiecznego pokładu „Mary Deare” na wątłą gumową dingi.

- Kiedy oddalimy się od raf, fala będzie dużo większa. Czy nie lepiej poczekać, aż wiatr jeszcze trochę przycichnie?

- Wiatr jest nam potrzebny. - Pociągnął nosem wyczuwając kierunek wiatru na twarzy.

- Już wykręcił o jakieś dwa rumby. Jak dalej tak pójdzie, będziemy mieli wiatr p[ółnocnozachodni. - Spojrzał na zegarek. - Chodźmy, przez cztery godziny prąd pływowy będzie nam sprzyjał. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że, powinniśmy zaczekać wykorzystać pełne sześć godzin następnego przyływu, lecz nie słuchał.

- Zrobi się prawie ciemno. A jeśli wiatr się zmieni? W takiej łodzi nie sposób lawirować pod wiatr. Poza tym grozi nowy niż - dodał. - Nie chce pan chyba przeżyć tu drugiej wichury. Nie wiem, co by się stało w czasie przyływu. Mogłoby znieść cały mostek kapitański.

Oczywiście miał rację, więc w pośpiechu zgromadziliśmy niezbędny ekwipunek - żywność, mapy, kompas i tyle ubrania, ile dało się wciągnąć na grzbiet. Mieliśmy zbudowane gumowe buty; brakło nam ubrań sztormowych. Wzięliśmy oba płaszcze z drzwi kajuty.

O dziewiątej czterdzieści pięć spuściliśmy dingi z dziobowej części dolnego pokładu. Odbiwszy na wiosłach, postawiliśmy żagiel. Słońce już się skryło i wszystko dokoła szarzało w deszczowej mgle; skały jakby odleglejsze, jak zamazane kontury blanków, majaczyły na horyzoncie, wiele zaś całkiem znikło z pola widzenia. Skierowaliśmy się ku Les Sauvages - pława świetlna oznaczająca rafy wychynęła wkrótce z mroku, „Mary Deare” natomiast zmieniła się w niewyraźną plamkę tuż nad powierzchnią, a gdy minęliśmy Les Sauvages, rozplynęła się zupełnie.

Po huraganie morze było nadal wzburzone, więc porzuciwszy zaciszny obszar Minków stawialiśmy czoło ogromnym falom. Za nami jedna po drugiej wznosiły się przewalały spadziste ściany wody; w wilgotnym, dojmującym chłodzie tego ponurego dnia zatraciłem poczucie czasu.

Z górą cztery godziny miały nami ostatnie podmuchy wichury - przemoczeni do nitki, stłoczeni w wąskim przesmyku między opasłymi, żółtymi kichami burt dingi, rzadko dostrzegaliśmy Cap Freichel, nasz drogowskaz. Jakoś po południu wyłowił nas kursujący w Kanale pocztowiec, który płynął właśnie z Peter Port. Musieli wypatrywać rozbitków, inaczej bowiem nigdy by nas nie dostrzegli z odległości dobrej pół mili. Niespodzianie zmieniawszy kurs statek podszedł do dingi od zachodu, z dziobem okrytym pianą. Stał niedaleko, pod wiatr, silnie kołysany, a gdy zdryfował, przerzucono przez burtę sztormtrap. Śpiesząc z pomocą, po angielsku dodawano nam otuchy; wyciągnęły się ręce.

Na pokładzie otoczyli nas tłumem pasażerowie i załoga. Zadawano pytania, wciskano nam do rąk papierosy i czekoladę. Następnie jakiś oficer zabrał nas do siebie i pocztowiec ruszył powoli - maszyny pracowały cicho, bez wysiłku. Idąc na dół, kątem oka dojrzałem dingi, żółtą na tle białej smugi za rufą, jak wspinała się po stromiznie fali.

IV

Po gorącym prysznicu zeszliśmy przebrani do mesy oficerskiej, gdzie krzątał się steward nalewając herbatę podając jaja na boczku. Takie to zwyczajne - niewiarygodne zwyczajne! Czuję się jak wyrwany z koszmarne snu. „Mary Deare”, wichura i zębate skały stanowiły fragment innego życia, nie mającego związku z chwilą obecną. Zjawił się kapitan.

- Więc to panowie byli na pokładzie „Mary Deare”, prawda? - Popatrzył na nas. - Który z panów jest właścicielem jachtu „Wiedźma Morska”?

- Ja - odparłem. - Jestem John Sands.

- Świetnie. Nazywam się Fraser. Zaraz nadam wiadomość do Peter Port. Niejaki pułkownik Lowden, który przyprowadził jacht do portu, bardzo się o pana niepokoił. On Duncan słuchali wczoraj u nas radiowego sprawozdania poszukiwań. Brały w nich udział także samoloty. - Teraz wrócił się do Patcha, surowiej, z wyraźnym szkockim akcentem:

- A pan jest jednym z oficerów „Mary Deare”, prawda?

Patch wstał. - Tak, jestem jej dowódcą. Kapitan Patch. - Wyciągnął rękę. - Z całego serca dziękuję za ocalenie.

- Niech pan podziękuje mojemu pierwszemu oficerowi. To on was wypatrzył. - Z pooranej twarzy śledziły Patcha małe niebieskie oczy. - To pan nazywa się Patch?

- Tak.

- I pan jest kapitanem „Mary Deare”?

- Tak.

Stalowszare brwi uniosły się lekko, tworząc zmarszczkę na czole. - O ile mi wiadomo, dowódcą „Mary Deare” był kapitan Taggart?

- Tak, był. Ale umarł.

- Kiedy? - ostro zapytał Fraser.

- Ledwie opuściliśmy Port Said... na początku tego miesiąca.

- Rozumiem. - Kapitan miał wzrok kamienny. A potem z udaną swobodą dorzucił: - No, proszę sobie nie przeszkadzać. Muszą panowie być głodni. Proszę siadać. - Zerknąwszy na zegarek poprosił stewarda o filiżankę herbaty. - Zdążę jeszcze wypić, nim zawiniemy do Saint Malo. - Wsparł się łokciami na stole; niebieskie oczka obserwowały nas zaintrygowane. - Co to się stało, kapitanie Patch? Przez ostatnią dobę w eterze aż się roiło od komunikatów o „Mary Deare”. - Odczeka parę sekund. - Ucieszy pana wiadomość, że wczoraj po południu na Ile de Brehat wylądowała łódź pełna rozbitków. - Patch milczał uparcie. - Och, przepraszam nie potrafię oprzeć się ciekawości. - Głos Frasera zabrzmiał przyjaźnie. - Ocaleni twierdzą, że w ładowni wybuchł pożar, pan zaś rozkazał im opuścić statek To było w czwartek wieczorem, a jednak Lowden mówi mi...

- Ja kazałem im opuścić statek? - We wzroku Patch odmalowało się zdumienie. - Tak mówią?

- Tak podaje raport francuski. Zeszli do łodzi ratunkowych wkrótce po godzinie dwudziestej drugiej trzydzięci Lecz nazajutrz o godzinie dziewiątej trzydzięci rano Lowden widział „Mary Deare”... - Zawahał się pod wpływem surowego, nieprzejednanego spojrzenia Patcha. - Do diabła człowieku! - wybuchnął rozzłoszczony. - Czy „Mary Deare” pływa, czy zatonała, czy...

Patch nieprędko się odezwał. Jak gdyby przemyśliwa odpowiedź. Wreszcie rzekł:

- Oświadczenie złożę na ręce władz. Do tego czasu... - Wciąż patrzył na Frasera. - Do tego czasu, wybaczy pan będę milczał.

Fraser zawahał się, jakby nie chcąc na tym poprzestać; sprawdził znów godzinę, dopił herbatę i wstał.

- Bardzo słusznie, panie kapitanie. - Przez oficjalny ton przebijała uraza. - Muszę już iść. Wchodzimy do portu chwilowo proszę się tu rozgościć. Jeśli będą panowie czegoś potrzebowali, proszę zwrócić się do stewarda. - przystanął w drzwiach. - Powiniennem chyba powiedzieć panu, kapitanie, że na pokładzie znajduje się młoda dama... panna Taggart, córka kapitana Taggarta. Przyleciała wczoraj do Peter Port, a kiedy okazało się, że rozbitkowie zostali wyrzuceni na brzeg francuski, wsiadła na statek. - Urwał cofnął się kilka kroków. - Nie

wie jeszcze o śmierci ojca. spodziewa się go odnaleźć. - Po krótkim wahaniu dodał: - Niewątpliwie zawiadomił pan właścicieli?

- Oczywiście.

- Cóż, szkoda, że nie uważali za stosowne powiadomić najbliższej rodziny - rzucił z gniewem Fraser. - Steward przyprowadzi ją tutaj. - I łagodniej już dokończył: - Niech się pan stara być delikatny. Takie to sympatyczne stworzenie musiała uwielbiać ojca. - Po jego wyjściu mesę zaległa cisza. Patch jadł ze skupieniem, dosłownie jakby ładował w siebie energię. Miał nadal wyraz twarzy pełen napięcia.

- Na co umarł? - spytałem.

- Kto? - Na czole Patcha zarysowała się bruzda.

- Taggart.

- Ach, Taggart. Z przepicia. - Podniósł do ust widelec, tak gdyby już więcej o tym nie myślał.

- O Boże! Przecież tego jej pan nie powie!

- Pewno, że nie - odparł zniecierpliwiony. - Powiem jej, że umarł na zawał serca. Z medycznego punktu widzenia to było prawdopodobnie bezpośrednią przyczyną śmierci.

- Będzie chciała poznać szczegóły.

- Ale ich nie pozna. - Wydał mi się całkiem niewrażliwy. Podeszedłem do iluminatora. Na zmniejszonych obrotach zbliżaliśmy się do redy. Turystyczne hotele Dinard, puste i zagubione wśród ulewy, pięły się po wzgórzu nad mołem.

- Biegał po pokładzie wrzeszcząc jak potępieniec. - Patch odsunął talerz. - Musiałem zamknąć go w kabinie, a rano już nie żył. - Wyciągnął paczkę darowanych papierosów i rozerwał ją drżącymi z irytacji palcami. W blasku zapałki twarz miał trupioblada.

- Delirium tremens?

- Nie, nie delirium tremens. Stwierdziłem dopiero później... - Zaciągnął się dymem i przesunął ręką po włosach. - Teraz nie ma to już znaczenia. - Podniósł się z trudem. - Dobijamy, prawda?

Ruch statku był coraz wolniejszy. Mijaliśmy komorę śluz. Po pokładzie nad naszymi głowami dudniły krok i rozlegał się stuk parowego kołowrotu.

- Zdaje mi się, że wchodzimy do basenu - odparłem.

- Ma pan szczęście. Cała historia z „Mary Deare” jest dla pana skończona. - Zaczął niespokojnie przechadzać się z kąta w kąt. Boże, wolałbym chyba pójść na dno z statkiem.

- Więc jednak to prawda... Rozkazał pan załodze spuścić łodzie. Ta bajeczka o uderzeniu...

Posiniał z wściekłości. - Nie rozkazywałem nic podobnego. Ale jeśli będą się trzymać tej wersji... - Gwałtownie rzuć się w stronę drugiego iluminatora i zapatrz się w szarzejące dzień.

- Cóż by im z tego przyszło? Jeśli to nieprawda...

- A co prawda może mieć z tym wspólnego? - W jego oczach malował się gniew. - Te łajdaki stchórzyły, a teraz opowiadają, że to ja kazałem im opuścić statek, bo muszą się czymś zasłonić. Szajka przeklętych tchórzów... bęc trzymali razem. Zobacz pan. Podczas rozprawy... - Wzruszył ramionami. - Wszystko to już kiedyś przeżyłem. Mówił powoli, na pół do siebie, spoglądając na zaniedbany plac za iluminatorem i pokryte rdzą wagony kolejowe. Mamrotał, że to dziwny zbieg okoliczności, gdy wtem rozległo się trzaśnięcie drzwiami i rozmowa prowadzoną mieszaniną języków francuskiego z angielskim. Powędrował oczami ku wejściu. - Naturalnie ograniczył się pan do stwierdzenia, co spowodowało pana na pokład „Mary Dean” - rzekł szybko, nerwowo. - Był pan pasażerem i wszelkie komentarze...

Drzwi się otwarły; stanął w nich kapitan Fraser i dwaj urzędnicy Francuzi. Uśmiechy, ukłony, potok francuszczyzny. Wreszcie niższy wzrostem urzędnik odezwał się po angielsku:

- Bardzo mi przykro, monsieur le capitaine, ale mam złe nowiny. Pół godziny temu nadano przez radio, że fala wyrzuciła kilka trupów u wybrzeża Les Heaux. I jakieś szczątki.

- Szczątki z „Mary Deare”? - spytał Patch.

- Mais oui. - Nieznacznie uniósł ramiona. - Latarnicy Les Heaux ich nie zidentyfikowali, lecz żaden inny statek nie był w niebezpieczeństwie.

- Les Heaux to wyspa na północ od Ile de Bréhat... stąd o jakieś czterdzieści mil na zachód - wyjaśnił Fraser.

- Wiem. - Patch o krok zbliżył się do urzędnika. - Czy wśród ocalonych nie było człowieka nazwiskiem Higgins?

Francuz potrząsnął głową. - Nie wiem. Nie sporządzono jeszcze oficjalnej listy ocalonych. - Po chwili dodał niezdecydowanie: - Monsieur le capitaine, będę bardzo obowiązany, jeśli zechce pan pójść ze mną do biura. uprości. to sprawę. Rozumie pan, kwestie formalne... - tłumaczył się, choć najwyraźniej powziął już decyzję.

- Oczywiście - powiedział Patch, ale poznałem, że jest niezadowolony. Spojrzawszy na drugiego funkcjonariusza przeciął mesę i skierował się do drzwi, oni zaś rozstąpili się przed nim.

Francuz zamierzał właśnie podążyć w jego ślady, gdy wtem przystanął i spytał:

- Monsieur Sands?

Przytaknąłem.

- O ile mi wiadomo, jacht pański czeka w Saint Peter Port. Niech pan zostawi mojemu przyjacielowi niezbędne dane i swój angielski adres, żebyśmy nie musieli dłużej pana zatrzymywać. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Bon 'oyage, mon ami.

- Au revoir, monsieur - odparłem. - Et merci, mille fois. Jego pomocnik zanotował, co trzeba, i po paru pytaniach również się oddalił. Siedziałem sam, nieco oszołomiony, i choć docierał do mnie ruch i zamieszanie wywołane przez schodzących na nabrzeże pasażerów, nie miałem pewności, czy te odgłosy są rzeczywiste. Widocznie się zdrzemnąłem, bo następną rzeczą, która dotarła do mej świadomości, było, że steward potrząsa moim ramieniem.

- Nie chciałem pana budzić, sir, ale przyprowadziłem pannę Taggart. Rozkaz kapitana, sir.

Stała w drzwiach, drobna, zgrabna dziewczyna, której włosy tak jak na fotografii rozjaśniał blask bijący od iluminatora.

- Pan Sands, prawda?

Uniosłem się. - Tak. A pani chciała mówić z kapitanem Patchem? - Nim zdążyłem wyjaśnić, że zszedł na ląd, przerwała:

- Niech mi pan powie, co się stało z ojcem?

Nie potrafiłem znaleźć właściwej odpowiedzi. Powinna spytać nie mnie, tylko Patcha.

- Kapitan Patch zaraz wróci - odrzekłem.

- Czy mój ojciec był na pokładzie „Mary Deare”, kiedy pan się tam dostał? - Tkwiła w miejscu, wyprostowana i chłopięca, pełna determinacji.

- Nie.

Docierało to do niej stopniowo, a przez ten czas nie spuszczała ze mnie oczu, szarych oczu z zielonymi cętkami, szeroko rozwartych i zdumionych.

- To ten kapitan Patch dowodził statkiem?

Skinąłem głową. Wargi jej lekko drżały, gdy po dłuższej przerwie podjęła:

- Mój ojciec nigdy by nie opuścił statku. - Łagodny ton wskazywał, że odgadła prawdę i zbiera siły, by stawić jej czoło. - On nie żyje... prawda?

- Tak.

Nie rozplakała się. Drobna figurka wciąż stała sztywnie przede mną.

- A przyczyna śmierci? - Miało to wypaść oficjalnie bezosobowo, lecz kiedy się zawałem, niespodziewany typowo kobiecy odruch popchnął ją ku mnie.

- Bardzo proszę, niech mi pan powie, co się stało. Na co umarł? Czy był chory?

- Dostał chyba ataku serca. - I pośpiesznie dodałem: - Powinna pani zrozumieć, panno Taggart, że mnie tam nie było. Powtarzam tylko słowa kapitana Patcha.

- Kiedy to się stało?

- Na początku miesiąca.

- A ten kapitan Patch?

- Był pierwszym oficerem.

Zmarszczyła brwi. - Ojciec wcale o nim nie wspominał. Pisał do mnie z Singapuru i Rangun; spośród oficerów wymieniał jedynie Rice'a, Adamsa i jakiegoś Higginsa.

- Patch zaciągnął się w Adenie.

- Aden? - Z gestem niedowierzania szczerzej otuliła się w płaszcz, jak gdyby było jej zimno. - Ojciec pisał do mnie z każdego portu, do którego zawijał... z każdego portu na świecie. - Później dorzuciła: - Ale nie dostałam listu z Adenu. - Łzy zalśniły w jej oczach; obróciła się, nieporadnie udając, że szuka krzesła. Ani drgnąłem, więc powiedziała:

- Bardzo przepraszam, to ten wstrząs. - Popatrzyła na mnie, ale nie próbowała już nawet otrzeć łez. Tatusia nigdy nie było w domu. Nie powinno aż tak boleć. Nie widzieliśmy się od pięciu lat. - I pośpiesznie zapewniła: - Ale był taki cudowny. Teraz dopiero to widzę. Wie pan, moja matka nie żyje... - Zamilkła onieśmielona. - Zawsze wracał i wracał do Anglii, żeby się ze mną zobaczyć. I nigdy nie wrócił. A ostatnim razem obiecał. Dlatego tak mi ciężko. Wracał i... - Z westchnieniem przygryzła wargi, żeby ukryć ich drzenie.

- Napije się pani herbaty? - zapytałem.

Skinęła na znak zgody i wyciągnawszy chusteczkę obróciła się do mnie plecami. Wiedząc, że coś powinienem zrobić, niepewny jednak co, wyruszyłem na poszukiwanie stewarda. Dopiero kiedy zaparzył herbatę, sam wziąłem dzbanek w nadziei, że panna Taggart zdążyła przez ten czas przyjść do Ciebie. Była opanowana, a choć twarz miała bladą i ściągniętą, odzyskała częściowo żywość przebijającą z fotografii. Zadała mi kilka pytań, a ja, aby skierować jej myśli w inną stronę, zacząłem opowiadać, co wydarzyło się na „Mary Deare” od momentu mojego pojawienia się na pokładzie.

Do mesy wszedł Patch. Nie od razu ją zauważył.

- Muszę jechać - rzekł. - Kwestia identyfikacji zwłok. - Wyłowili dwunastu. - Mówił twardo, gwałtownie, a w jego rysach malowało się napięcie. - Rice nie żyje. Jedyny, na którym mogłem polegać...

Przerwałem mu. - To panna Taggart - przedstawiłem.

Spojrzał na dziewczynę. W pierwszej chwili nie poznał jej, nie skojarzył osoby z nazwiskiem; zaprzętały go wyłącznie własne sprawy. Ale stopniowo łagodniał. Zrobił parę niezdecydowanych kroków naprzód.

- Oczywiście. Twarz pani... - Zabrakło mu słów. - Była u niego na pulpicie. Nie chowałem jej. - I jak oczarowany, wciąż patrząc na nią, powiedział raczej do siebie: - Towarzyszyła mi pani w ciężkich chwilach.

- Czy to prawda, że mój ojciec nie żyje?

Zaskoczyła go bezpośrednio tego pytania; szeroko otworzył oczy.

- Tak.

- Pan Sands twierdzi, że pana zdaniem był to atak serca.

- Tak. Oczywiście... atak serca - odparł machinalnie, bez zastanowienia, wyrażając swe myśli wzrokiem, chłonąc ją oczyma niby zjawę, która nagle przybrała realne kształty.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Co się stało? Proszę mi powiedzieć, co się stało? - Spoglądała mu prosto w twarz, a ton jej zdradzał, jak jest zdenerwowana. Wyczułem, że się go boi. W powietrzu unosiło się napięcie. - Chcę wiedzieć, co się stało - powtórzyła. Zadźwięczało to niepewnie wśród panującej ciszy.

- Nic się nie stało - rzekł powoli. - Umarł. I na tym koniec. - Mówił w sposób monotony, beznamiętny.

- Ale na co? Kiedy? Może mi pan przecież podać szczegóły...

Przyglądził włosy. - Tak. Tak, oczywiście. Przepraszam. Było to drugiego marca. Na Morzu Śródziemnym. - Zawahał się, jakby szukając odpowiedniego wyrażenia: - Nie ukazał się rano na mostku. A potem zawołał mnie steward. Leżał na koi. - Po nowej przerwie dorzucił: - Pochowaliśmy go na morzu tego samego popołudnia.

- A więc zmarł we śnie?

- Tak. Oczywiście. Zmarł we śnie.

Długo nikt się nie odzywał. Pragnęła mu wierzyć. Z całych sił pragnęła mu wierzyć, ale nie wierzyła. Oczy miała rozwarłe, ręce kurczowo splecione.

- Znał go pan dobrze? - spytała. - Pływał pan z nim poprzednio?

- Nie.

- Czy chorował... podczas rejsu, może jeszcze nim pan zaciągnął się w Adenie?

I tym razem chwila wahania.

- Nie, nie chorował. - Patch wziął się w garść. - Bardzo mi przykro, że właściciele nie zawiadomili pani o jego śmierci. Natychmiast przekazałem drogą radiową tę wiadomość, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Powinni byli panią zawiadomić. - Zabrzmiało to tak, jak gdyby sam się nie spodziewał, że zostanie zawiadomiona.

- A jak wyglądał... przed śmiercią? Proszę mi o nim opowiedzieć. Rozumie pan, nie widziałam go... - Błagalny szept rozpląnął się w ciszy. Niespodziewanie mocnym głosem dokończyła: - Czy mógłby mi pan opisać, jak wyglądał?

Zmarszczył czoło.

- Tak, jeśli pani sobie tego życzy - przystał z niechęcią. - Tylko że nie bardzo wiem, co mam opowiadać.

- Po prostu jak wyglądał. Nic więcej.

- Aha. No cóż, spróbuję. Był niski, bardzo niski... całkiem niepozorny. Twarz miał czerwoną... od opalenizny. Choć był łysy, jak włożył czapkę i stanął na mostku, wydawał się dużo młodszy niż...

- Łysy? - Była wyraźnie zaskoczona.

- Och, miał jeszcze trochę siwych włosów - zmieszał się Patch. - Niech pani zrozumie, panno Taggart, że nie był już młody i długie lata spędził w krajach tropikalnych.

- Miał jeszcze włosy. Dużo jasnych włosów - powtórzyła niemal z rozpaczą, czepiając się wspomnienia sprzed pięciu lat. - A pan robi z niego starca.

- Chciała pani wiedzieć, jak wyglądał - bronił się Patch.

- Nie mogę uwierzyć. - Głos jej się załamał, lecz niebawem znów zwróciła się ku niemu, blada, z podniesioną do góry głową. - Jest jeszcze coś... co pan zataił, prawda?

- Nie, ręczę pani - bąkał speszony.

- Tak. Jest coś takiego. Wiem o tym. W jej głosie narastała nuta hysterii. - Dlaczego nie napisał do mnie z Adenu? Zawsze pisał... z każdego portu... i umarł, a statek zatonął... Nigdy w życiu nie stracił statku.

Patch obserwował ją z twarzą surową i zagniewaną.

- Muszę już iść - rzucił raptownie pod moim adresem i wykręciwszy się na pięcie, nie patrząc na dziewczynę, szybko wyszedł z mesy.

Obejrzała się, gdy trzasnęły drzwi; jej szeroko rozwarte załzawione oczy napotkały próżnię. Z głową ukrytą w ramionach, wstrząsana paroksyzmem lkań, osunęła się na krzesło. Nie miałem pojęcia, jak ją pocieszyć, stopniowo jednak odzyskiwała spokój.

- Pięć lat to kawał czasu - perswadowałem. - On mógł pani mówić tylko to, co sam wiedział.

- Nie o to chodzi - zaprzeczyła impulsywnie. - Dopóki był tutaj, czułam... - Urwała i przyłożyła do oczu chusteczkę. - Bardzo przepraszam - szepnęła. - To strasznie głupio z mojej strony. Chodziłam jeszcze do szkoły... kiedy ostatni raz widziałam ojca. Wyobrażałam go sobie pewno trochę zbyt romantycznie.

Dotknąłem jej ramienia.

- Niech pani pamięta go takim, jaki był wtedy.

Przytaknęła w milczeniu.

- Dolać pani herbaty?

- Nie, dziękuję. - Wstała. - Muszę już iść.

- Może mógłbym być w czymś pomocny? - spytałem, bo wydawała się całkiem bezradna.

- Nie. Dziękuję. - Ułożyła wargi w konwencjonalny uśmiech. Była więcej niż oszołomiona; obolała i zraniona do żywego.

- Pójdę gdzieś... sama - powiedziała wymijająco, jednym tchem i machinalnie wyciągnęła rękę. - Do widzenia. Dziękuję.

Nasze dłonie się spotkały: Po nagich deskach pokładu zadudniły kroki; ciszy nie mąciło teraz nic oprócz hałasów portowych. Za iluminatorem nagie, popielate mury St. Mała lśniły wilgocią w przeblaskach słońca - stare mury miejskie, ponad nimi zaś świeży kamień i dachy budynków wiernie zrekonstruowanych z ruin i gruzu, które pozostawili tu Niemcy. Szła po kocich łbach prędko, nie zwracając uwagi na pasażerów i Francuzów ani na surowe piękno podobnego do fortecy miasta; mała, zgrabna istota, uczipiona myślą dziewczęcych wspomnień o zmarłym ojcu.

Zapaliwszy papierosa, bez sił opadłem na krzesło. Dźwig, trap, podróżni w płaszczach nieprzemakalnych i francuscy dokerzy w niebieskich bluzach i spodniach - wszystko to takie powszednie, podczas gdy Minki i „Mary Deare” to senne majaczenia.

- Co tam się stało, nie wie pan? - zagadnął wchodząc kapitan Fraser. Jego niebieskie oczy wyrażały nie ukrywaną ciekawość. - Załoga twierdzi, że kazał opuścić statek. - Milczałem, więc dodał: - Nie jeden, lecz wszyscy tak twierdzą.

Miałem jeszcze w uszach słowa Patcha: „Będą trzymali razem... bo muszą się czymś zasłonić”. Kto ma rację? On czy załoga? Przypomniało mi się, jak osiedliśmy na rafach i Patch wypuścił z rąk koło sterowe pośród bezmiaru morza i skał.

- Wie pan przecież, jak tam było naprawdę?

Znów uprzytomniłem sobie obecność Frasera i po raz pierwszy w pełni zrozumiałem, na jak ciężką próbę wystawiony jest Patch;

- Nie mam pojęcia. - Sztywno uniosłem się z krzesła. Wyczuwając jednak, że Patch budzi w kapitanie pewną niechęć, dorzuciłem pośpiesznie. - Ale jestem głęboko przekonany, że nie rozkazywał spuszczać łodzi. - Stwierdzenie to było bardziej instynktowne niż przemyślane. Oznajmiłem, że idę rozejrzeć się za hotelem; Fraser nie chciał o tym słyszeć.

Nalegał, bym się rozgościł na statku. Zadzwoił na stewarda i oddał kabinę do mojej dyspozycji.

Zobaczyłem Patcha jeszcze przed moim odlotem na Guernsey, w Paimpol, jakieś dwadzieścia do trzydziestu mil na zachód od Saint Mało, w skromnym biurze koło basenu portowego. Przy nabrzeżach stały po dwa lub trzy rzędy kutrów rybackich - łodzie te, o zaokrąglonych dnach, smoliście czarne, poszturchiwały się wzajem jak kumoszki, kiwały barwnie pomalowanymi wierzchołkami masztów. Powierzchnię basenu marszczyły z sykiem drobne fale, bo wiatr był znowu gwałtowny. Ledwie samochód policyjny, którym przyjechałem z Saint Mało, zdążył zahamować, dojrzałem Patcha we framudze upstrzonego przez muchy okna - samą twarz, oderwaną od ciała i bladą jak zjawa, twarz więźnia spoglądającego na morze.

- Tędy proszę, monsieur..

W pierwszym pokoju, pełniącym rolę poczekalni, na ławkach pod ścianami siedziało dwunastu ludzi, niemych, apatycznych i obojętnych - szczątki ciśnięte na brzeg. Wyczułem jakoś, że z załogi „Mary Deare” ocaleli jedynie oni, a ich pożyczone ubrania wskazywały od razu, że są rozbitkami. Skupili się ciasno jak garstka przelękłych, ogłupiałych owiec; byli wśród nich typowi Anglicy, inni za to należeć mogli do każdej rasy pod słońcem. Jeden i tylko ten jeden mężczyzna wyróżniał się na tle owej zbieraniny: zwalista bestia z karkiem i łbem byka - grube kości i fałdy mięśni. Tkwił na szeroko rozstawionych nogach, masywny jak rzeźba na piedestale własnych stóp, z wielkimi, tłustymi łapami w kieszeniach spodni, które podtrzymywał szeroki skórzany pas, zbieleły od soli, spięty dużą, kwadratową mosiężną klamrą, niemal całkiem pozieleniałą. Mężczyzna ten nie opuszczał rąk, jakby w obawie, iż brzuch - ogromny jak dętka gumowa zwał tłuszczu - do reszty wymknie się spod pasa. Miał na sobie pożyczone ubranie - przyciasną granatową bluzę i za krótkie, granatowe spodnie. Uda i łydki zwęzły się ku dołowi jak zadnie nogi bulteriera, grożąc, że lada moment ugną się pod ciężarem baryłowego ciała.

Wystąpił naprzód, jak gdyby chciał zagrozić mi drogę. Małe oczka, twarde jak krzemień, patrzyły bez mrugnięcia sponad obwisłych worków skóry. Przystanąłem pewien, że się odezwie, milczał jednak, a tymczasem żandarm otworzył drzwi prowadzące do biura.

Gdy wszedłem, Patch odwrócił się od okna. Wyrazu jego twarzy nie dało się odczytać. Głowa i ramiona zarysowane były w kwadracie światła, ja zaś widziałem jedynie łodzie rybackie poruszające się bez ustanku w basenie i ludzi na drodze.

Wzdłuż ścian, pod wyblakłymi planami portu stały szafy na akta, w rogu duża staromodna kasa ogniotrwała, a przy zarzuconym papierami biurku siedział podobny do łasicy człowieczek z błyszczącymi oczami i rzadkimi włosami.

- Monsieur Sands?

Podał mi szczupłą, bladą dłoń. Nie uniósł się na powitanie; zauważyłem kulę wspartą o drewnianą poręcz jego fotela.

- Proszę wybaczyć, że naraziłem pana na tę podróż, ale było to konieczne. - Wskazał mi krzesło. - Alors, monsieur. - Nie odrywał wzroku od arkusza pokrytego drobnym, wyraźnym pismem. - Przeszedł pan na pokład „Mary Deare” z jachtu, c’est ça?

- Oui, monsieur.

- Nazwa pańskiego jachtu, monsieur?

- „Wiedźma Morska”.

Zaczął notować powoli, z pedantyczną starannością, marszcząc czoło, przygryzając dolną wargę i skrobiąc stalówką po papierze.

- Pańskie nazwisko... pełne imię i nazwisko.

- John Henry Sands - przedyktowałem litera po literze.

- Adres?

Podąłem nazwę i adres mego banku.

- Eh bien. Ile czasu po opuszczeniu „Mary Deare” przez załogę przeszedł pan na pokład statku?

- W dziesięć czy jedenaście godzin później.

- A monsieur le capitaine? - Spojrzał na Patcha. - Był tam jeszcze, co?

Skinąłem głową.

Urzędnik nachylił się ku mnie. - Alors, monsieur. Muszę zadać panu takie pytanie: jak pan sądzi, czy monsieur le capitaine wydał rozkaz opuszczenia statku, czy nie wydał?

Patch był nadal tylko sylwetką we framudze okna.

- Nie umiem powiedzieć, monsieur - rzekłem. - Nie było mnie przy tym.

- Oczywiście. Jasne. Ale co pan sądzi? Chcę poznać pańskie zdanie, monsieur. Musi pan wiedzieć, co się stało. Na pewno panu mówił. Spędziliście razem wiele strasznych godzin. Niewątpliwie obaj braliście śmierć pod uwagę. Czy na podstawie jego słów nie mógł pan wyrobić sobie zdania o tym, co zaszło naprawdę?

- Nie - odparłem. - Rozmawialiśmy niewiele. Nie starczyło czasu. - Aby zaś nie wydało mu się dziwne, że przez tyle godzin nie mieliśmy czasu na rozmowę, wyjaśniłem szczegółowo, co było do zrobienia.

Kiwał małą główką, trochę zniecierpliwiony. Zdawał się w ogóle nie słuchać, bo ledwo skończyłem, zapytał:

- Ale pańskie zdanie, monsieur? O to mi chodzi.

Zdażyłem już powziąć decyzję. - Bardzo proszę. Jestem najzupełniej przekonany, że kapitan Patch nie polecił załodze opuszczać statku. - Wytłumaczyłem, że nie sposób w to uwierzyć, skoro sam jeden został na pokładzie i własnymi rękami stłumił pożar w ładowni rufowej. Pióro skrzypiało bez przerwy, a kiedy wreszcie zamilkłem, urzędnik podsunął mi arkusz papieru, uważnie przebiegłszy go wzrokiem.

- Rozumie pan po francusku, monsieur?

Potaknąłem.

- A więc proszę przeczytać i podpisać się pod zeznaniem. - Podał mi pióro.

- Niech pan nie zapomina - ostrzegłem - że nie było mnie przy tym. Nie wiem, co się stało.

- Naturalnie. Czy nie zechciałby pan uzupełnić swego oświadczenia? - zwrócił się do Patcha, a gdy ten odmowni« potrzęsął głową, dodał wychylony zza biurka: - Wie pan monsieur le capitaine, postawił pan bardzo ciężki zarzut załodze... i oficerom. Monsieur Higgins przysięga, że od pana otrzymał rozkaz, a sternik... Yules... twierdzi, że tak słyszał. - Patch nie zaprotestował. - Może najlepiej będzie poprosić tu monsieur Higginsa i tego drugiego, żebym mógł...

- Nie! - Głos Patcha zadrżał nieoczekiwaną gwałtownością.

- Ależ, monsieur - perswadował łagodnie urzędnik. - Muszę wyjaśnić, co...

- Na Boga, mówię, że nie! - Patch zrobił dwa kroki w jego stronę. - Nie życzę sobie, by w ich obecności kwestionowano moje oświadczenie.

- Musi jednak istnieć jakaś przyczyna...

- Nie, powtarzam! - Huknął pięścią w blat biurka. - Macie moje oświadczenie i to wystarczy. We właściwym czasie wyznaczą przesłuchanie. Do tej pory ani pan, ani nikt inny nie będzie mnie badał przy załodze.

- Ależ, monsieur le capitaine, czy pan wie, o co ich pan oskarża?

- Naturalnie, że wiem.

- Wobec tego muszę pana prosić...

- Nie. Słyszysz pan? Nie! - Znów rąbnął pięścią o blat i nagle odezwał się: - Na litość boską, chodźmy się napić. Siedzę tu w tym nędznym biurze... - Ujął mnie za ramię. - Chodźmy. Muszę się napić.

Urzędnik wzruszył tylko ramionami i gestem rezygnacji rozłożył ręce. Patch szarpnął za klamkę. Przeszedł środkiem drugiego pokoju nie oglądając się, jak gdyby nie dostrzegał zebranych tam mężczyzn. Podążyłem za nim, lecz drogę zatarasował mi ten gruby.

- No i co im pan mówił? - spytał gardłowo, jak gdyby z sykiem wypuszczał parę z wielkiego kotła swego brzucha. - Pewno mówił pan, że nie rozkazał opuścić statku. Tak im pan mówił?

Usiłowałem go wyminąć, błyskawicznie jednak chwycił mnie łapą za rękę. - No, dalej, posłuchajmy. Tak im pan mówił?

Zwolnił uścisk. - Boże Wszechmogący! - warknął. - A co, u diabła, pan może o tym wiedzieć? Widział pan, jak spuszczaaliśmy łodzie, co? - Uśmiechnął się z wyrazem - Tak okrucieństwa; jego szczeciniasty zarost był jeszcze szary od soli i brudu. Jak na rozbitka, człowiek ten był dziwnie z siebie zadowolony. Dufność tryskała z niego niczym tłuszcz z beczki, a małe przekrwione ślepka połyskiwały wilgocią niby dwie ostrygi, kiedy powtarzał: - Widział pan, co? - Ordynarnym rechotem zareagował na własny ciężki żart.

- Nie - powiedziałem. - Jasne, że nie. Ale nie...

- A ja tam byłem - mówił podniesionym tonem. Jego oczka wybiegły ku nie domkniętym drzwiom za moimi plecami. - Myśmy tam byli i aż za dobrze wiemy, jakie dawał rozkazy - rzucił pod adresem francuskiego urzędnika w głębi biura. Ten rozkaz był słuszny, bo się paliło, a statek mieliśmy do połowy załadowany materiałem wybuchowym. Tak żeśmy wtedy myśleli... ja i Rice, i Stary... wszyscy.

- Jeśli rozkaz był słuszny - wtrąciłem - jak kapitan sam jeden mógł ugasić pożar?

- Niech pan lepiej jego zapyta. - Popatrzył na Patcha, który powoli wracał się od wyjścia.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Higgins? - rzekł spokojnie, choć pięści miał zaciśnięte, a głos lekko drżący.

- Co się już raz zrobiło, zrobi się i drugi. - W oczach Higginsa błysnął triumf.

Myślałem, że Patch go uderzy. To samo myślał Higgins, gdyż zrobił krok do tyłu i ocenił wzrokiem dzielącą ich przestrzeń. Ale Patch nie podniósł ręki.

- Zaslugujesz na stryczek, morderco. Zabiłeś Rice's i tamtych, zupełnie jakbyś z zimną krwią wystrzelał ich z karabinu - wycedził przez zaciśnięte zęby, po czyn gwałtownie opuścił biuro.

Tknięty do żywego Higgins zawołał ochryple w idąc za nim:

- Nie wymigasz się podczas przesłuchania... z twoją przeszłością.

Patch obrócił się, blady, roztrzęsiony, ogarniając tę żalną gromadę spojrzeniem, wędrując oczami od twarzy do twarzy.

- Panie Burrows - wybór padł na wysokiego szczupłego mężczyznę o zgorzkniałej fizjonomii rozpustnika - wie pan doskonale, że nie rozkazywałem opuszczać statku.

Burrows nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Nie wiem nic ponad to, co usłyszałem przez nawiewnik - wymamrotał. Wszyscy w zdenerwowaniu nie odrywali wzroku od ziemi.

- Yules. - Patch mówił teraz do karłowatego, zapyziałego spoconego wymoczka o rozbieganych oczach. - Byłeś przy sterze. Słyszałeś, jakie wydawałem rozkazy. No, jakie?

Marynarz z wahaniem zerknął na Higginsa.

- Kazał pan przygotować łodzie do spuszczenia i szykować się do zejścia - wyszeptał.

- Przekłęty łgarzu! - Patch ruszył w jego stronę, lecz Higgins wystąpił naprzód, Yules zaś powiedział:

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. - W jego głosie zabrzmiała nagle nuta pogardy.

Patch przyjrzał mu się jeszcze, z trudem chwytając oddech po czym szybko wyszedł z pokoju. Czekał na ulicy rozdygotany i całkiem wykończony.

- Musi się pan przespać - zauważyłem.

- Muszę się napić.

Bez słowa dotarłszy do placu zajęliśmy stolik w małym bistro, którego specjalnością były naleśniki.

- Ma pan pieniądze? - spytał, gdy zaś odparłem, że pożyczyłem od Frasera, dodał z goryczą: - Jestem rozbitkiem na opiece konsula. Nie mam forsy na picie. - Gdy zamówiliśmy już koniak, odezwał się znieca: - Ostatnie zwłoki znaleziono dopiero dziś, o drugiej nad ranem. - Był mizerny jak na pokładzie „Mary Deare”, a na białym tle wygolonej twarzy blizna wzdłuż szczęki wydawała się jeszcze bardziej sina.

Drżącymi rękami zapalił papierosa, którym go poczęstowałem.

- Zostali schwytani przez falę przyływu u wejścia do Lezardrieux. - Podano koniak. Wypił jednym haustem i za mówił następną kolejkę. - Czemu, u diabła, musiała to być akurat łódź Rice'a? - Gniewnie uderzył dłonią w stół. - Gdyby to był Higgins... - Westchnął i znów pogrążył się w milczeniu.

Nie przerywałem ciszy czując, że jest mu potrzebna.

Patch nie pił, tylko od czasu do czasu spozierał na mnie, jakby ważąc coś w myśli. Mały placyk tętnił życiem, słyszeliśmy klaksony samochodów i prędkie, podniecone trajkotanie Francuzów spieszących po chodniku. Po prostu cudownie było siedzieć i pić

koniak ze świadomością, że się żyje. Mimo to nie mogłem odegnąć wspomnienia „Mary Deare”. Spoglądając na Patcha, który wpatrywał się w kieliszek, głowiłem się, co zaszło na tym statku przed moim przybyciem. I ta garstka rozbitków w biurze, którego okna wychodziły na basen...

- Co rozumie Higgins pod... pańską przeszłością? - zapytałem. - Incydent z „Belle Isle”?

Nie patrząc na mnie skinął głową.

- Co się z nią stało?

- Eh, osiadła na mieliźnie i skrzyła stępkę... a ludzie gadali. I na tym koniec. W grę wchodziły duże pieniądze. Zresztą to nieważne.

Wiedziałem jednak, że jest ważne. Wciąż o tym mówił; utrzymywał, iż coś podobnego nie może dwa razy przytrafić się temu samemu człowiekowi.

- Czy między „Belle Isle” a „Mary Deare” istnieje jakiś związek?

- O co panu chodzi?

- No... - Niełatwo było sformułować pytanie pod jego badawczym wzrokiem. - Widzi pan, to dość dziwna historia... Załoga twierdzi, że wydał pan rozkaz opuszczenia statku, pan temu zaprzecza. I śmierć Taggarta - dodałem. - I Dellimare.

- Dellimare?! - Wstrząsnęła mną gwałtowność jego wybuchu. - A cóż Dellimare mógł mieć z tym wspólnego?

- Nic - odparłem. - Chociaż...

- Proszę, niech pan mówi. Co jeszcze?

Prześladowało mnie to już od dawna. - A pożar... - zacząłem.

- Sądzi pan, że to ja podłożyłem ogień?

- Na Boga, nie - odrzekłem zaskoczony.

- Więc co pan sądzi? - Spojrzenie miał złe i podejrzliwe, Zawahałem się w obawie, czy nie jest zbyt wyczerpany by odpowiadać do rzeczy. - Nie pojmuję, czemu stłumił pan pożar, a nie pofatygował się i nie uruchomił pomp? Myślałem początkowo, że palił pan pod kotłem. Ale nie. - Urwałem stropiony niesamowitym wyrazem jego twarzy. - Co pan tam robił?

- Do diabła! - Oczy mu nagle rozbłysły. - A co panu do tego?

- Nic. Tylko...

- Tylko co? Do czego pan zmierza?

- Ten pył węglowy. Był pan nim pokryty, przypuszczałem... - Zacisnął pięść, więc dorzuciłem pośpiesznie: - No, po prostu nie umiem opanować ciekawości...

Odprężał się stopniowo. - Tak, to zrozumiałe. - Wbił wzrok w pusty kieliszek. -
Przepraszam. Jestem trochę zmęczony.

- Wypije pan jeszcze?

Skinął głową i znów zatopił się w milczeniu.

Dopiero gdy przyniesiono koniak, powiedział: - Będę wobec pana całkiem szczery.
Znalazłem się w cholernej sytuacji. - Nie patrzył na mnie. Obserwował, jak alkohol osiada na
ściankach kieliszka, który delikatnie obracał dokoła.

- Przez Higginsa?

- Po części. Higgins to łgarz i kawał drania. Ale nie mogę tego udowodnić. Maczał w
tym palce od samego początku, lecz i tego nie mogę udowodnić. - Nagle spojrzał na mnie. -
Muszę się jeszcze raz tam dostać.

- Na „Mary Deare”? - Dziwne, że i to uważał za swój obowiązek. - Po co? Właściciele
na pewno zatroszczą się...

- Właściciele? - Wybuchnął pogardliwym śmiechem. - Gdyby właściciele wiedzieli,
gdzie jest ich statek... - Ni stąd, ni zowąd zmienił temat; zaczął rozpytywać o moje plany. -
Wspomniał pan, że trudnicie się ratownictwem i zamierzacie przerobić jacht na bazę
nurkową. - Mówiłem to u niego w kabinie, gdy był podpity i prawie nieprzytomny ze
znużenia. Zaskakujące, że o tym pamiętał. - Macie sprzęt, prawda... pompy powietrzne i
skafandry?

- Jesteśmy pletwonurkami - odparłem. Ten nieoczekiwany przyływ zainteresowania
kazał mi pomyśleć o przyszłości: o przeróbce, wyposażeniu i całym kramie związanym z
pierwszą akcją ratowniczą.

- Ciekaw jestem... - Nerwowo bębnił palcami po marmurowym blacie stolika. - A ten
wasz jacht... jak długo potrwa przeróbka?

- Blisko miesiąc. - Nagle zaświtało mi podejrzenie. - Nie zaproponuje pan chyba,
byśmy razem wrócili na „Mary Deare”...

- Muszę tam wrócić.

- Ale, mój Boże, po co? Właściciele zajmą się wydobyciem wraka...

- Do cholery z właścicielami. Nie wiedzą jeszcze, gdzie go szukać. - Pochylony ku
mnie, powtórzył z naciskiem: - Mówię panu, że muszę się tam dostać.

- Ale po co?

Powoli spuścił wzrok.

- Tego nie mogę powiedzieć - wymamrotał. Po chwili zaś dodał: - Niech pan posłucha. Nie jestem ratownikiem, jako marynarz natomiast twierdzę, że statek da się ściągnąć na wodę.

- Nonsens. Jedna taka wichura i zatonię... rozleci się w kawałki.

- Wątpię. Nabierze wody, lecz nie pójdzie na dno. Jest zresztą różnica - tłumaczył. - W czasie odpływu moglibyście ustawić pompy na pokładzie, a po zatkaniu szczelin... - Urwał. - Proponuję panu interes. Tylko my dwaj wiemy, gdzie znajduje się statek.

- Och, na litość boską! - zawołałem wytrącony z równowagi jego bezczelnością. Zupełnie jakby nie rozumiał, że istnieją przepisy prawne o ratowaniu statków, że nawet gdyby dało się ściągnąć „Mary Deare” na wodę, wymagałoby to porozumienia między właścicielami, towarzystwem ubezpieczeniowym, armatorem... i tak dalej.

- Proszę się zastanowić - nalegał. - Może dopiero po upływie kilku tygodni trafi tam jakiś rybak. - Chwycił mnie za ramię. - Pańska pomoc jest mi potrzebna. Muszę się dostać do ładowni dziobowej i przekonać...

- O czym?

- Tę ładownię zalało nie dlatego, że statek niezdatny był do żeglugi. A przynajmniej ja w to nie wierzę - dorzucił. - Muszę jednak mieć dowód.

Milczałem, on zaś pochyliwszy się patrzył mi w oczy surowo, rozkazująco.

- Jeśli pan odmówi - zaczął ochryplym głosem - nikt inny mi nie pomoże. Niech to diabli, człowieku! Zawdzięcza mi pan życie. Zawisł pan na końcu liny, prawda? Pomogłem panu. A teraz ja proszę o pomoc.

Wyjrzałem na plac, lekko skłopotany, nie pojmując źródła jego troski. I wtedy właśnie wóz policyjny, którym przyjechałem do Paimpol, zahamował przy krawężniku. Z ulgą zobaczyłem wchodzącego do bistro żandarma.

- Monsieur... jeśli chce pan złapać samolot...

- Tak. Naturalnie. - Wstałem. - Przepraszam. Muszę już iść.

Patch nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Jaki jest pana angielski adres? - zapytał.

Podaliśmy mu nazwę stoczni w Lymington. Ze zmarszczonymi brwiami spoglądał na pusty kieliszek. Życząc mu szczęścia, odwróciłem się.

- Jedną chwileczkę. Ma pan chyba sejf w banku? - Kiedy skinąłem głową, sięgnął do kieszeni i rzucił na stół paczkę.

- Czy nie zechciałby pan złożyć tego do sejfu?

- A co to jest?

Podniósł dłoń gestem zniecierpliwienia. - Trochę papierów osobistych. Boję się, żeby nie zginęły. - Unikając mego wzroku, dokończył: - Odbiorę je, jak się zobaczymy.

Chciałem mu powiedzieć, że to spotkanie na nic się nie zda, najwyraźniej jednak zatonął we własnych myślach. Siedział przygarbiony, z twarzą ściągniętą, mizerną i ze śmiertelnym znużeniem malującym się w całej postawie. - Niech się pan prześpi - poradziłem mu tylko i te słowa znów przypomniały mi „Mary Deare”. Nie odpowiedział nic ani nie spojrzał na mnie. Wziąłem pakiet i podszedłem do samochodu. Gdyśmy odjeżdżali, Patch nadal tkwił pochylony na swoim miejscu.

Dwie godziny później byłem już w samolocie. Z góry morze wyglądało jak blacha falista, za prawym skrzydłem zaś leżał obszar pokryty białymi plamami.

Mój sąsiad, Francuz, wyjrzał przez okno. - Regardez, regardez, monsieur - szeptał podniecony. - C'est le Plateau des Minquiers. - Gdy zdał sobie sprawę, że mówi do Anglika, z przepaszającym uśmiechem wyjaśnił: - Nie zrozumiał pan oczywiście. Tam w dole są skały... dużo, dużo skał. Très formidable! Chyba lepiej, że podróżujemy samolotem. Niech pan spojrzy, monsieur - rzekł pokazując francuską gazetę. - Nie czytał pan, prawda? - Wcisnął mi ją do ręki. - To straszne! Straszne!

Gazeta rozłożona była na stronie z fotografiami - fotografiami Patcha, Higginsa, pozostałych rozbitków, zwłok leżących w wodzie i funkcjonariuszy zajętych przeszukiwaniem szczątków wyrzuconych przez fale na skały. Wielki, tłusty nagłówek brzmiał: MYSTÈRE DU VAISSEAU BRITANNIQUE ABANDONNÉ.

- Prawda, że zajmująca historia, monsieur? A także bardzo dziwna. Wszyscy ci ludzie... - Cmoknął współczująco. - Nie ma pan pojęcia, jaki to niebezpieczny obszar. Straszny, monsieur!

Ogarnęła mnie przemożna pokusa, by się roześmiać i opowiedzieć mu, jak tam było. Zacząłem już czytać oświadczenie złożone władzom przez le capitaine Gideon Patch, gdy nagle zaświtało mi, że nie określił przecież pozycji „Mary Deare”. Nie wspomniał nawet, że osiadła na skałach, „...tylko my dwaj wiemy, gdzie znajduje się statek” - zadźwięczały mi .w uszach jego słowa. Siedząc tak nad gazetą pojąłem nagle, że historia z „Mary Deare” jeszcze się nie skończyła.

- Niezwykły wypadek, prawda, monsieur?

Przytaknąłem, teraz już bez uśmiechu. - Tak. Bardzo niezwykły.

Część druga

I

Urzędowe przesłuchanie w sprawie „Mary Deare” wyznaczono wreszcie na poniedziałek, 3 maja; odbyć się miało w Southampton. Jak na przesłuchanie prowadzone przez Ministerstwo Transportu, termin był niesłychanie krótki, później jednak dowiedziałem się, że zaproponowano go na wyraźne żądanie towarzystw ubezpieczeniowych. W grę wchodziły duże pieniądze, więc od samego początku ubezpieczenie stanowiło czynnik decydujący.

Upłynęło zaledwie parę dni od naszego przybycia do Lymington, a już odwiedził mnie pan F.T. Snetterton, przedstawiciel Towarzystwa Ubezpieczeniowego H.B. & K.M. w San Francisco. Interesowała go tylko ta część ładunku, którą nadało Towarzystwo Handlowe Hsu w Singapurze. Czy wiem, co to był za ładunek? Czy zaglądałem do ładowni? Czy Patch mi coś mówił?

Dokoła panował piekielny rwetes. „Wiedźmę Morską” właśnie wciągnięto na pochylnię, robotnicy wyjmowali bolce kilu do inspekcji, Mike i ja rozbieraliśmy stary silnik. Odciągnąłem Snettertona na brzeg, gdzie można było porozmawiać spokojnie.

- Rozumie pan - tłumaczył przejęty. - Muszę się upewnić, że ładunek był istotnie taki, jak utrzymuje Towarzystwo Handlowe Hsu. Muszę jak gdyby odtworzyć manifest okrętowy. No, a pan niewątpliwie widział coś, co pozwoli panu określić, jaki to był ładunek. Niech się pan zastanowi, sir. Bardzo proszę.

Pochylał się mrużąc oczy w blasku słońca, przejęty pilnością sprawy. Opowiedziałem, jak przez luk kontrolny dostałem się do trzeciej ładowni i jak wyglądały zwęglone >ele bawełny.

- Przepraszam, panie Sands. - Niecierpliwie potrząsnął głową. - Chodzi mi o silniki samolotowe. Tylko o silniki.

Po raz pierwszy usłyszałem wtedy o silnikach.

- Podobno statek wiozł materiały wybuchowe?

- Nie, nie... silniki. - Schludny, zwawy człowieczek w czerni, z teczką w ręce, przysiadł na relingu jednego z pontonów, przy którym ustawiono łodzie. Całkiem tu nie masował.

- Sam statek - mówił dalej z charakterystyczną dla siebie ścisłością - nie jest ważny... dwukrotna wartość domu, to wszystko. A bawełnę ubezpieczyła firma z Kalkuty. ‘Jam chodzi o silniki samolotowe. Było ich sto czterdzieściosiem... Nadwyżki amerykańskie z czasu

wojny w Korei... ubezpieczone na dwieście dziewięćdziesiąt sześć tysięcy funtów. Muszę wiedzieć, czy znajdowały się na statku, kiedy tonął.

- A czemu miałyby być inaczej?

Ogarnąwszy mnie przelotnym spojrzeniem, niezdecydowany zaczął bawić się teczką.

- To dość skomplikowane - mruknął. - Ale może... skoro nie jest pan stroną zainteresowaną... może, jeśli udzielę wyjaśnień... przypomni pan sobie... jakiś drobiazg... jakieś nierozważne słowo. - Znow popatrzył mi w oczy. - Wkrótce po wniesieniu skargi dowiedzieliśmy się od naszego agenta w Adenie, że niejaki Adams opowiadał o „Mary Deare” i jej ładunku w jednym z barów portowych. Wyraził się podobno, że w chwili kiedy statek tonął, w ładowniach były tylko bele bawełny. Ale proszę pamiętać, że mówię w największym zaufaniu - dodał śpiesznie i po raz wtóry zapytał, czy nie przychodzi mi na myśl żaden drobny szczegół, który dla niego miałby znaczenie. - Przez te czterdzieści osiem godzin spędzonych na pokładzie musiał pan przecież słyszeć coś o ładunku.

- Był sztorm - odrzekłem. - Statek tonął.

- Tak, tak. Naturalnie. Ale chyba rozmawialiście z Patchem. Przeżyliście razem krytyczny okres. W takich warunkach człowiek często mówi rzeczy, których nie chciałby... - Urwał nie przestając śledzić mnie spoza okularów. - Na pewno nie wspominał o ładunku?

- Na pewno.

- Szkoda! Myślałem... - Wzruszył ramionami. Wstał, zagadnąłem więc, czy uważa za możliwe, by towar zniknął już po załadowaniu na statek.

Popatrzył na mnie.

- Wszystko jest możliwe, tam gdzie w grę wchodzi duże pieniądze, panie Sands. - To samo mówił Patch w związku ze stratą „Belle Isle”, a teraz Snetterton całkiem zniechęca rzucił pytanie, czy na pokładzie „Mary Deare” Patch nie wymienił nazwy żadnego innego statku.

- Chyba nie - odparłem natychmiast. Jeśli chce się dowiedzieć o „Belle Isle”, niech się dowiaduje gdzie indziej.

Nie dał się jednak zbyć byle czym. - Chyba nie? - Bada mnie wzrokiem. - Powinien pan być absolutnie pewien panie Sands. To może mieć zasadnicze znaczenie.

- Jestem pewien - rzekłem z irytacją.

- Że Patch nie wymienił nazwy innego statku?

Do diabła, ten człowiek nie ma prawa przychodzić tu nagabywać o to, co mówił Patch.

- Nie - powiedziałem i dodałem, że jeśli ciekawi go, na jakich statkach służy Patch, czemu, u licha, sam go nie spyta?

Wytrzeszczył oczy. - Nie o taki statek mi chodzi.

- Więc o jaki?

- O „Torre Annunziata”. A teraz proszę dobrze się zastanowić. Czy Patch wspominał o „Torre Annunziata”?

- Nie. Z całą pewnością. - Odczułem ulgę i gniew zarazem. - A co. tu ma do rzeczy „Torre Annunziata”?

Zawahał się. - To sprawa dość delikatna, wie pan... tylko przypuszczeń... - Powziąwszy nagłą decyzję wyjaśnił: - Spółka Dellimare'a posiadała zaledwie dwa statki: „Mar Deare” i „Torre Annunziata”. „Torre Annunziata” był. akurat w Rangunie, gdy „Mary Deare” zawinęła tam po ładunek bawełny. - Spojrzał na zegarek. - No, nie będę już dłużej pana nudził.

Zawrócił w stronę pochylni, kiedy zaś ostrożnie stąpaliśmy o wąskich kładkach pontonów, dodał: - Wolę być z panem zupełnie szczery. W pewnych okolicznościach może to... - umilkł, jak gdyby zmienił zdanie. - Czekam jeszcze na wiadomość od naszego agenta w Rangunie. Ale... - Potrząsnął głową. - Wszystko to wygląda bardzo niewyraźnie, panie Sands. „Torre Annunziata” sprzedano na Wschód. Zniknął nie tylko statek, ale i załoga. Po Adamsie też ślad zaginął. Jesteśmy prawie pewni, że wsiadł na stateczek płynący do Zanzibaru. Może dopiero za kilka tygodni uda się nawiązać z nim łączność. A te dwa pożary na „Mary Deare” i śmierć pana Dellimare'a... Pożar w radiokabinie to już dość niezwykle, pan Dellimare zaś służył kiedyś w marynarce wojennej. Możliwość samobójstwa... mała firma, wie pan... mógł mieć kłopoty... - Mocniej przycisnął teczkę ramieniem. - Wie pan, o co mi chodzi. Rzeczy same w sobie mało istotne, lecz razem wzięte... - Popatrzył na mnie znacząco. - Zależy nam na czasie. Firma H.B. & K.M. dokłada wszelkich starań, by rozszerzyć interesy na Pacyfiku. pan Hsu jest ważną osobistością w Singapurze - ma wielkie wpływy w portach wschodnich. Moi pracodawcy uważają, że należałoby jak najszybciej wypłacić stratę, chyba że... - Wzruszył ramionami.

Doszliśmy do pochylni; przystanął zachwycony linią „Wiedźmy Morskiej” i zaczął wypytywać o nasze plany, aparaty do nurkowania i głębokości, na jakich można pracować. Zdradzał żywe zainteresowanie, opowiedziałem przeto, jak zdobyliśmy pieniądze wyciągając szczątki zbiornikowca na Morzu Śródziemnym, a obecnie chcemy się zabrać do wraka dużej barki desantowej w zatoce Worbarrow u wybrzeży hrabstwa Dorset. Życzył nam powodzenia, a mnie zostawił swój bilet wizytowy.

- Niech pan przemyśli moje słowa, panie Sands. Jeśli coś się panu przypomni... no, ma pan wizytówkę z adresem.

Dopiero po jego odejściu, zastanowiwszy się dłużej, pojąłem, do czego doprowadzi wreszcie historia z „Mary Deare”. Nie jeden Snetterton, ale i inni będą mnie indagować. On był jakby szkwałem poprzedzającym sztorm. Gazety twierdziły jednogłośnie, że statek zatonął - tak samo sądził Snetterton i dwaj reporterzy, którzy po moim powrocie zjawili się na „Wiedźmie Morskiej”. Tę opinię podzielali wszyscy. Lecz prędzej czy później zaczną się dociekania. Muszę przedtem zobaczyć Patcha i wykryć, dlaczego zataił pozycję „Mary Deare”.

Miało to chyba jakiś związek z jego przeszłością, więc dwa dni później, będąc w Londynie, gdzie podpisywałem umowę na wydobywanie wraka, zebrałem trochę informacji o „Belle Isle”. Zatonęła przy wyspach Anambas, na północny wschód od Singapuru, niecałe dziesięć lat temu i figuruje w rejestrze pod rubryką całkowitych strat. Jej kapitanem był Gideon S. Patch. W Singapurze, podczas przesłuchania sędziowie uznali, że niedbalstwo kapitana spowodowało osadzenie statku na mieliźnie. Zawieszono mu ważność patentu na pięć lat. To wszystko. Żadnych szczegółów. Ze to mój przyjaciel, pracownik działu ubezpieczeń morskie! Lloyd, specjalista od zagadnień Dalekiego Wschodu opowiedział mi, że dokoła tej sprawy krążyły później paskudne plotki, a osadzenie na mieliźnie jakoby z góry ukartowano. Statek ubezpieczony był na poważną sumę.

Przechodząc w pobliżu St. Mary Axe postanowiłem zajrzeć do biur Dellimare’a. Z jednej strony powodowali mną ciekawość, co to za towarzystwo, z drugiej zaś chciałem nawiązać kontakt z Patchem. Przy Houndsditch, na czwartym piętrze brudnego budynku gnieździło się mnóstwo drobnych firm handlowych. Trafiłem do obskurnego pokoiku z biurkiem, maszynką gazową i szafami na akta. Maszyny do pisania osłaniał pokrowiec, a zalepione kurzem okna poprzez gęstwą kominów spozierały na białe płyty zdobiące tył wielkiego biurowca. Na kontuarze dostrzegłem dzwonek a wśród porozrzucanych papierów kartki z naddrukiem Spółki. Figurowali tam dyrektorzy: J.C.B. Dellimare, Han Gundersen i A. Petrie. Kiedy zadzwoniłem, w drzwiach ukazała się tęga, piersiasta kobieta w czerni, obwieszona; sztuczną biżuterią, o blond włosach zadziwiających niewątpliwie naturalnym kolorem.

Ledwo się przedstawiłem, spytała:

- Och, czy to ten sam pan Sands, który był na pokładzie Mary Deare”? Jeśli tak, pewno potrafi mi pan pomóc.

Poprowadziła mnie do drugiego pokoju, o wiele jaśniejszego, z kremowymi ścianami, czerwonym dywanem potężnym niklowanym biurkiem, którego blat zaścielały wycinki z prasy, przeważnie francuskiej.

- Usiłuję odgadnąć, co mu się naprawdę przydarzyło. mam na myśli pana Dellimare'a.
- Wzrok jej bezwiednie powędrował ku dużej fotografii, która w ozdobnej srebrnej ramce stała na biurku. Był to portret ukazujący dość surową, pobrużdżoną twarz o wąskich, zaciśniętych wargach od kreską wąsów.

- Dobrze go pani znała?

- O, tak. Założyliśmy Spółkę. Oczywiście, z chwilą gdy przystąpił do niej pan Gundersen, wszystko się zmieniło. Naszą centralą został Singapur. Pan Dellimare i ja prowadziliśmy tylko filię londyńską. - To „pan Dellimare i ja” zabrzmiało jakoś bardzo intymnie. Kobieta zasypała mnie pytaniami. Czy kapitan Patch mówił coś o śmierci pana Dellimare'a? Czy rozmawiałem z którymś z rozbitków? Służył kiedyś w marynarce wojennej. Nie mógł przecież tak po prostu wypaść za burtę. - Głos jej drżał lekko.

Kiedy uświadomiła sobie, że wiem jedynie to, co już i jej było wiadome, przestałem ją interesować. Poprosiłem o adres Patcha, lecz go nie znała.

- Był tu ze trzy dni temu i złożył sprawozdanie - dorzuciła. - Przyjdzie znów w piątek zobaczyć się z panem Gundersenem. - Zostawiłem więc adres stoczni z prośbą, czy Patch dał znać o sobie. Pożegnałem się. Odprowadziła mnie do wyjścia. - Powiem panu Gundersenowi o pańskiej wizycie - rzekła z przelotnym uśmiechem. - Na pewno będzie ciekaw.

Pan Gundersen! Może z intonacji wyczułem, iż trochę się go boi, jak gdyby był całkiem obcy w biurze Spółki, które miała, z tą fotografią w srebrnej ramce i kominami za oknem.

Nie spodziewałem się nigdy spotkać Gundersena, lecz w piątek po południu goniec z dyrekcji stoczni zawiadomił mnie, że telefonuje pani Petrie z Londynu. Natychmiast poznałem jej niski głos. Pan Gundersen przyleciał właśnie z Singapuru i chciałby się ze mną zobaczyć. Wybiera się jutro do Southampton. Czy wobec tego mógłby być w stoczni o jedenastej?

Nie potrafiłem odmówić. Ten człowiek przybył aż z Singapuru i miał prawo interesować się stratą statku należącego do Spółki. A mimo to pod wpływem aluzji Snettertona zrodziły się we mnie wątpliwości. Mój czas i całą energię pochłaniała zresztą przeróbka „Wiedźmy Morskiej”, toteż drażniło mnie wszystko, cokolwiek odwracało uwagę od pracy, którą zaplanowaliśmy wraz z Mike'em, a podjąć mogliśmy dopiero po kilku latach polowań na wraki. Nie byłem również zdecydowany, co mu powiedzieć, czym wytłumaczyć fakt, że pozycja statku została zatajona.

Następnego dnia wczesnym rankiem zadzwonił z Londynu Patch. Nie, nie przekazano mu ode mnie żadnej wiadomości. Pomyślałem więc, że chodzi o paczkę, którą mi oddał i

która, jak sobie uświadomiłem, w dalszym ciągu spoczywała w teczce na pokładzie „Wiedźmy Morskiej”. Myliłem się jednak. Chodziło o Gundersena. Czy był u mnie? Na wzmiankę, że spodziewam się go o jedenastej, Patch zawołał: - Dzięki Bogu! - Próbowałem złapać pana wczoraj wieczór... i ostrzec. Nie zdradził pan nikomu pozycji „Mary Deare”, prawda? - dodał po przerwie.

- Nie, jeszcze nie. Nawet Mike'owi.

- A był u pana niejaki Snetterton... agent ubezpieczeń morskich?

- Tak.

- Nie mówił mu pan?

- Nie. Nie pytał. Uważał statek za stracony. To dotychczas jeszcze nie powiadomił pan władz? - dorzuciłem. - Jeśli nie, sądzę, że już pora...

- Niech pan słucha. Dziś nie mogę przyjechać. Mam spotkanie. W poniedziałek muszę być w Ministerstwie Transportu, będę wolny dopiero we wtorek. Zgodzi się par milczeć do wtorku?

- Ale dlaczego? Po co taić pozycję statku?

- Wszystko wyjaśnię.

- A co z Gundersenem? Co mam mu powiedzieć?

- Co pan chce. Tylko, na litość Boską, proszę nie mówić, gdzie znajduje się statek. Niech pan nie mówi nikomu. Bardzo o to proszę.

- Zgoda - odparłem nie przekonany.

Podziękował mi i odłożył słuchawkę.

Godzinę później zjawił się Gundersen. Przez gońca zawiadomił mnie, że jest już w dyrekcji stoczni. Duża limuzyna z szoferem czekała przed drzwiami, Gundersen zaś siedział na krawędzi biurka z papierosem w ustach, na wprost dyrektora, który stał milczący i skrepowany.

- Pan Sands, prawda? - zapytał Gundersen. Nie podał ni ręki, nie uniósł się, nie ruszył z miejsca. Dyrektor wycofał się, oddając pokój do naszej dyspozycji. Kiedy zostaliśmy sami, Gundersen rzekł:

- Domyśla się pan chyba, po co tu przyjechałem? - Skinąłem głową. Po chwili dodał: - Wczoraj widziałem Patcha. spędził pan z nim podobno ostatnie czterdzieści osiem godzin na „Mary Deare”. Naturalnie chciałbym usłyszeć pańską wersję wydarzeń. - Prosił, bym opowiadał wszystko po kolei. - Interesuje mnie każdy szczegół, panie Sands.

Powtórzyłem całą historię pominąwszy tylko zachowanie Patcha i to, co zaszło na koniec. Słuchał nie przerywając w zupełnej ciszy. Jego pociągła, nieruchoma, ogorzała od

słońca twarz nie zdradziła go ani na moment, a oczy wciąż śledziły mnie zza rogowych okularów.

Zadał mi parę pytań - bezpośrednich, rzeczowych pytań - dotyczących kursu, siły wiatru i czasu pracy maszyn. Żróba, jaką przeszliśmy, nie miała dla niego znaczenia. Czulem chłód bijący od tego człowieka.

Odezwał się wreszcie: - Nie rozumie pan, o co mi chodzi, panie Sands. - Obcy akcent wyraźniej zabrzmiał w jego »łosie. - Chcę ustalić dokładną pozycję statku przed jego pójściem na dno.

- Nie zdaje pan sobie sprawy, w jakiej byliśmy wówczas sytuacji - odparłem. - Mogę jedynie stwierdzić, że znajdował się w pobliżu Les Roches Douvres, gdy przeszedłem na jego pokład.

Wstał. Był bardzo wysoki, ubrany w jasny garnitur z gładkiego materiału, według amerykańskiej mody. - Nie chce mi pan pomóc, panie Sands. - Sygnet na jego palcu błysnął w białych promieniach kwietniowego słońca. - Dziwne, że ani pan, ani Patch nie umiecie określić pozycji statku, w chwili gdy opuszczaliście pokład. Rozmawiałem także z Higginsem - dodał. - Może i nie ma patentu kapitana, jest za to doświadczonym marynarzem. Jeśli pan chce wiedzieć, Higgins na podstawie siły wiatru, przybliżonego dryfu i kierunku prądu pływowego wyliczył, że „Mary Deare” powinna znajdować się dużo dalej na wschód od miejsca, które wskazujecie wraz z Patchem. Co pan na to? - Wpatrywał się we mnie, zwrócony do okna plecami.

- Nic. - Zaniepokoił mnie i podrażnił jego sposób bycia. Ponieważ nie spuszczał z mojej twarzy wyczekującego wzroku, zastrzegłem: - Proszę pamiętać, panie Gundersen, że nie jestem stroną zainteresowaną i na pokład pańskiego statku trafiłem przypadkiem.

Zapanowało milczenie. W końcu rzekł:

- Jeszcze się przekonamy - i dorzucił: - No, przynajmniej czegoś się dowiedziałem. Teraz, kiedy znamy już w przybliżeniu czas pracy maszyn i wasz kurs, będzie można z grubsza określić pozycję. Nie zechce pan nic dodać, panie Sands? - zagadnął po krótkiej przerwie.

- Nie, nie zechcę.

- Doskonale. - Przystanął już z kapeluszem w ręku. - Dyrektor wspomniał, że zajmuje się pan ratownictwem. Założyliście spółkę „Sands & Duncan, z o.o.”. - Spojrzał mi w oczy. - Muszę pana ostrzec, że ten Patch ma złą reputację. Niestety, pan Dellimare nie był w tych sprawach doświadczony. Zaangażował go, choć nikt inny by tego nie zrobił. Rezultat okazał się fatalny.

- Za wszelką cenę starał się ocalić statek - odparłem ze złością.

Po raz pierwszy twarz jego przebiegło drgnienie. Uniósł brew. - Ale przedtem wywołał wśród załogi panikę i spowodował ucieczkę. Dotychczas nie rozumiem motywu jego postępowania, lecz jeśli pan jest w to zamieszany, panie Sands... - Wsadził kapelusz na głowę. - Na wypadek, »dyby chciał mi pan udzielić dalszych informacji, proszę mnie szukać w hotelu Savoy. - Wyszedł. Obserwowałem jego odjazd z niejasnym uczuciem, że coraz bardziej wciągają mnie w to wszystko.

Wrażenie to nie ustąpiło i przeszkadzało mi w pracy, tak że nie powitałem Patcha zbyt życzliwie. Mieszkaliśmy wówczas na pokładzie „Wiedźmy Morskiej” i dobrze się złożyło, bo przyjechał dopiero wieczorem. Spodziewałem się, że będzie wypoczęty, że wygładzą się bruzdy na jego policzkach. Ze zdumieniem więc skonstatowałem, że nic się nie poprawił. W ostrym świetle jedynej przenośnej lampy, zawieszanej na grodzi, której jeszcze nie dokończono, wyglądał upiornie, blady, z nerwowym tikiem w kąciku ust.

Zgarnęliśmy ze stołu narzędzia i wióry; podsunąłem gościowi krzesło, poczęstowałem go rumem, papierosami i przedstawiłem Mike'owi. Jednym haustem wypił szklaneczkę czystego rumu i zaciągnął się dymem, jak gdyby od wielu dni nie palił. Ubranie miał stare i wyszarzałe; zastanawiałem się, czy Spółka wypłaciła mu pensję. Ciekawe, że od razu pogodził się z obecnością Mike'a i nie próbując się go pozbyć zapytał otwarcie, czego chciał Gundersen i co mówił.

Opisałem nasze spotkanie. - Gundersen coś podejrzewa - zakończyłem. - Dał mi to do zrozumienia. - Spodziewałem się teraz przyobiecanych wyjaśnień. Patch jednak stwierdził krótko:

- Zapomniałem, że Higgins mógł to obliczyć. - Mówił sam do siebie.

- A wyjaśnienie? - spytałem.

- Wyjaśnienie? - Popatrzył na mnie bez wyrazu.

- Nie przypuszcza pan chyba, że bez słusznej przyczyny będę maczał palce w czymś, co bije we właścicieli statku, towarzystwa ubezpieczeniowe i wszystkich zaangażowanych finansowo w tym interesie? - Zapewniłem go, że zdaję sobie jasno sprawę ze swych obowiązków. - Albo wytłumaczy pan, dlaczego tak istotny szczegół został zatajony, albo zwrócę się do władz.

Jego rysy zdradzały upór i zawziętość.

- Po cóż utrzymywać, że statek poszedł na dno, jeśli w każdej chwili ktoś może wypatrzeć go pośród skał?

- To przyływ mógł go tak osadzić - mruknął.

- Mógł, ale nie osadził. - Wziąłem papierosa i zająłem krzesło naprzeciw niego. Wyglądało na to, że ma już całej historii wyżej uszu. - Niech pan słucha - zacząłem nieco łagodniej. - Znam się na ubezpieczeniach morskich. Wiem, jaka jest procedura po zaginięciu statku. Osoby zamieszane w sprawę będą teraz musiały składać zeznania pod przysięgą u urzędnika awaryjnego. Po złożeniu przysięgi nie będę miał innego wyjścia...

- Nie będzie pan musiał zeznawać - wtrącił szybko. - Nic nie wiąże pana ze statkiem.

- To prawda, ale byłem na jego pokładzie.

- Kwestia przypadku. - Przygładził włosy gestem, na widok którego przeszłość znowu stanęła mi przed oczami. - Nie powinien pan komentować...

- Nie, lecz jeśli będą wymagać oświadczenia pod przysięgą... - Nachyliłem się przez stół. - Niech pan spróbuje popatrzeć na to z mojego punktu widzenia. Uczynił mi pan w Paimpol propozycję; propozycję, która ze względu na to, że nie powiadomił pan właścicieli, gdzie znajduje się statek, jest z gruntu nieuczciwa. Gundersen domyśla się...

- Nieuczciwa? - Śmiech jego zabrzmiał histerycznie. - Czy pan wie, jaki wieźliśmy ładunek?

- Tak - odparłem. - Silniki samolotowe. Mówił mi Snetterton.

- A nie mówił, że drugi statek Towarzystwa cztery dni stał zacumowany obok „Mary Deare” w Rangunie? Te silniki są już teraz sprzedane gdzieś za grubą forszę.

Zaskoczył mnie bezpośredni ton jego oskarżenia.

- Czy ma pan pewność?

Zawahał się. - Dobra. Powiem panu. Dellimare dawał mi pięć kawałków za zatopienie „Mary Deare”. Gotówką... piątakami.

Poprzez ciszę, która nagle zapadła, docierał chłopot fal uderzających o pochylnię.

- Dellimare? Chyba pan żartuje?

- Tak. Dellimare. - W jego głosie przebijał gniew i gorz. - Po śmierci starego Taggarta Dellimare był w krytycznym położeniu. Musiał coś wymyślić, i to szybko. Pech chciał, że ja się nawinałem. Znał moją przeszłość. Sądził, że mnie kupi. - Odchylił się do tyłu i drżącymi dłońmi zapalił papierosa. - Czasami żałuję, że się nie zgodziłem.

Dolałem rumu. - Wciąż jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego ukrywa pan pozycję „Mary Deare”? Dlaczego nie powiadomił pan władz?

- Bo jak Gundersen się dowie, gdzie leży statek, popłynie go zniszczyć.

Był to oczywisty nonsens. Nie można zniszczyć sześciotysięcznika, ot tak, po prostu. Powiedziałem mu to. Wystarczy odwołać się do władz, zażądać ekspertyzy i sprawa będzie załatwiona.

Potrząsnął głową. - Muszę tam wrócić... z kimś takim jak pan, do kogo miałbym zaufanie.

- Więc nie jest pan pewien tego, co pan przed chwilą mówił o ładunku?

Milczał pochylony nad szklaneczką i palił. W ciszy kajuty wyczuwało się jego zdenerwowanie.

- Chcę, żebyście zabrali mnie jachtem - rzekł wreszcie. - Pąn i Duncan. Pan się zna na ubezpieczeniach morskich, prawda, Sands? Potrafi pan ustalić umowę ratowniczą. A teraz proszę posłuchać. Kiedy zakończycie przeróbkę jachtu?

- Nie wcześniej niż pod koniec miesiąca - odrzekł Mike dając mi do zrozumienia, że nie życzy sobie mieć z tym nic wspólnego.

- Świetnie. Koniec miesiąca. Zjawię się tutaj. Macie aparat do zdjęć podwodnych? - Przytaknąłem. - Moglibyście porobić fotografie uszkodzonych ładowni dziobowych - ciągnął przejęty. - Towarzystwo ubezpieczeniowe zapłaciłoby wam furę pieniędzy za to... i za fotografie ładunku. A jeśli się nie mylę - dodał - leżą tam silniki warte ćwierć miliona funtów... taka akcja to niezły start dla was. No i co? - Powiódł niespokojnym wzrokiem po naszych twarzach.

- Orientuje się pan doskonale, że nie mogę przystać na taką propozycję - wybuchnąłem, a Mike dokończył:

- Powinien pan oddać tę sprawę w ręce władz.

- Nie, nie mogę.

- Dlaczego? - spytałem.

- Po prostu nie mogę. - Mówił z rosnącym podnieceniem. - Bo występuję przeciw Spółce. Mam niewyraźną przeszłość, więc wszystko przekręca... Już raz to przeszedłem.

- Krople potu zalśniły mu na czole. - A do tego Higgins izałoga. Wszystko się przeciw mnie sprzysięgło.

- Lecz gdyby urzędnik awaryjny przeprowadził ekspertyzę...

- Powtarzam: nie. Nie chcę tam widzieć urzędnika awaryjnego ani nikogo innego. - Patrzył na mnie jak oszalały. - Czy nie rozumiecie, że muszę wrócić na statek... sam?

- Ja nie rozumiem. Jeśli odrzucił pan ofertę Dellimare'a, nie ma powodu do obaw. Po cóż ukrywać fakt, że osadził pan statek na Minkach? - Nie odpowiedział, więc podjąłem: - Po co ma pan tam wracać? Cóż tam jest, u diabła, na tym statku, że musi pan wracać?

- Nic, nic. - Głos jego drżał ze zdenerwowania.

- Nieprawda - zaprotestowałem. - Coś przyciąga tam pana jak...

- Nic tam nie ma! - krzyknął.

- Więc dlaczego nie zdradzi pan władzom pozycji statku? Czego się pan lęka?

Walnął pięścią w blat. - Dosyć! Pytania... pytania... ciągle pytania. Mam już dość, zrozumiano? - Zerwał się na równe nogi i stał spoglądając na nas z góry. Dygotał.

Niewiele już brakowało do wyznania. Czuł chyba potrzebę zwierzeń, lecz zaraz wziął się w garść. - Więc nie popłyniecie? - W słowach jego przebijała nuta rezygnacji.

- Nie - odparłem.

Zdawał się z tym godzić i bezwolnie patrzył w stół. Nakłoniłem go, by usiadł, i dolałem mu jeszcze rumu. Zjadł z nami kolację, bardzo spokojny i małomówny. Nic więcej nie dało się z niego wydobyć. Jak gdyby zamknął się.

- Orientuje się pan doskonale, że nie mogę przystać na taką propozycję - wybuchnąłem, a Mike dokończył:

- Powinien pan oddać tę sprawę w ręce władz.

- Nie, nie mogę.

- Dlaczego? - spytałem.

- Po prostu nie mogę. - Mówił z rosnącym podnieceniem. - Bo występuję przeciw Spółce. Mam niewyraźną przeszłość, więc wszystko przekręca... Już raz to przeszedłem.

- Krople potu załśniły mu na czole. - A do tego Higgins izałoga. Wszystko się przeciw mnie sprzysięgło.

- Lecz gdyby urzędnik awaryjny przeprowadził ekspertyzę...

- Powtarzam: nie. Nie chcę tam widzieć urzędnika awaryjnego ani nikogo innego. - Patrzył na mnie jak oszalały. - Czy nie rozumiecie, że muszę wrócić na statek... sam?

- Ja nie rozumiem. Jeśli odrzucił pan ofertę Dellimare'a, nie ma powodu do obaw. Po cóż ukrywać fakt, że osadził pan statek na Minkach? - Nie odpowiedział, więc podjąłem: - Po co ma pan tam wracać? Cóż tam jest, u diabła, na tym statku, że musi pan wracać?

- Nic, nic. - Głos jego drżał ze zdenerwowania.

- Nieprawda - zaprotestowałem. - Coś przyciąga tam pana jak...

- Nic tam nie ma! - krzyknął.

- Więc dlaczego nie zdradzi pan władzom pozycji statku? Czego się pan lęka?

Walnął pięścią w blat. - Dosyć! Pytania... pytania... ciągle pytania. Mam już dość, zrozumiano? - Zerwał się na równe nogi i stał spoglądając na nas z góry. Dygotał.

Niewiele już brakowało do wyznania. Czuł chyba potrzebę zwierzeń, lecz zaraz wziął się w garść. - Więc nie popłyniecie? - W słowach jego przebijała nuta rezygnacji.

- Nie - odparłem.

Zdawał się z tym godzić i bezwolnie patrzył w stół. Nakłoniłem go, by usiadł, i dolałem mu jeszcze rumu. Zjadł z nami kolację, bardzo spokojny i małomówny. Nic więcej nie dało się z niego wydobyć. Jak gdyby zamknął się w sobie. Na odchodnym zostawił mi swój adres. Mieszkał w Londynie. Obiecał, że pod koniec miesiąca przyjedzie się upewnić, czy nie zmieniliśmy zdania. Odprowadziłem go przez pogrążoną w mroku stocznię i wróciłem powoli, mijając czarne cienie statków na pochylniach.

- Biedaczysko - odezwał się Mike na mój widok. - Myślisz, że Dellimare istotnie proponował mu pięć tysięcy za zatopienie statku?

- Bóg raczy wiedzieć! - Nie miałem na ten temat wyrobionego sądu. A może Patch jest upośledzony psychicznie: cierpi na zachwianie równowagi po stracie tamtego statku? - Prawie nic o nim nie wiem - burknąłem, lecz nie miałem racji. Przeżywając razem coś podobnego dobrze poznaje się człowieka. Był twardy i powściągliwy. Podziwiałem go. Czuję jakby żal, że odmówiłem... i nie dowiem się prawdy.

Opowiedziałem Mike'owi całą historię, ze wszystkimi szczegółami, które pominąłem w Peter Port, po powrocie na „Wiedźmę Morską”.

- Piekło go czeka, jeśli ładunek rzeczywiście został zamieniony - przyznał, gdy skończyłem.

Łatwo było zgadnąć, o co mu chodzi. Myślał o towarzystwach ubezpieczeniowych. Siedmioletnia praktyka w dziale ubezpieczeń morskich Lloyda nauczyła mnie, że towarzystwo nie rezygnuje ze swoich roszczeń.

Trapiło mnie to przez cały okres przeróbki jachtu. W kilka dni po wizycie Patcha zawiadomiono mnie jednak o terminie urzędowego śledztwa, pocieszałem się więc, że wówczas tajemnica wyjdzie na jaw.

„Wiedźma Morska” była gotowa wcześniej, niż mogliśmy przypuszczać w najśmielszych marzeniach. We wtorek, dwudziestego siódmego kwietnia, na silniku przepłynęliśmy Soient i pod pełnymi żaglami, gnani lekkim wiatrem północnym, skierowaliśmy się na zachód. Nie widziałem wprawdzie Patcha od tamtego wieczoru, lecz sama nasuwała się myśl, że warunki sprzyjają wyprawie na Wyspy Normandzkie. Po dwudziestu czterech godzinach żeglugi byłibyśmy na miejscu, a prognoza pogody brzmiała jak najbardziej zachęcająco - nad Azorami pas wysokiego ciśnienia. Towarzyszył nam znowu stary przyjaciel Mike'a, nurek Ian Baird. We trzech mogliśmy dostać się do ładowni „Mary Deare”, zbadać zawartość skrzyń i jeszcze zdążyć na śledztwo. I chociaż „Wiedźma Morska” szła w przechyle, a słońce bielilo jej nowe żagle, nie ogarnęło mnie uniesienie, jakiego można by się spodziewać u progu przedsięwzięcia, którym Mike i ja śniliśmy tyle czasu.

Zło tkwiło w tym, że na morzu przypominały mi się rzeczy puszczone w niepamięć w wirze przygotowań. Patch ocalił mi życie; nie powoływał się wprawdzie na to w Lymington, ale w Paimpol rozpacz kazała mu sięgnąć po ten argument. Ciężył nade mną dług jeszcze nie spłacony.

Było to coś więcej niż powzięte zobowiązanie. Siedząc za sterem, wyczuwając, jak jacht unosi się na fali, i słysząc szmer pieniącej się wody rozważałem, czy to nie tchórzostwo brać kurs na zachód, w stronę zatoki Worbarrow, zamiast na południe. Widziałem Minki w okolicznościach niezbyt sprzyjających i w głębi serca musiałem przyznać, że się ich boję.

Ironia losu chciała, że przez cztery dni nurkowania w zatoce Worbarrow były idealne jak na Kanał warunki: przejrzysty błękit nieba i morze zmarszczone leciutkim powiewem. Przeszkadzała nam nieco temperatura wody, dokuczliwa na dłuższą metę, choć mieliśmy ciepłe ubrania z grubej gumy piankowej. W ciągu tych czterech dni zlokalizowaliśmy wraka barki i oznaczyliśmy go bojami, po czym wdarliśmy się do maszynowni, by przygotować wszystko do wydobycia głównych silników. A obawialiśmy się, że praca ta może potrwać i miesiąc.

W tym samym czasie, gdyby nie mój strach przed ryzykiem, moglibyśmy pootwierać ładownie na „Mary Deare”. Przychodziło mi to do głowy w zielonych głębinach, gdy kadłub „Wiedźmy Morskiej” majaczył jak cień w przezroczystej wodzie, nocą zaś z wyrzutem myślałem o całodziennym wysiłku i przygnębiony padałem na koję.

W niedzielę po przebudzeniu z ulgą nieomal ujrzałem szary świt zamglony deszczem i usłyszałem przez radio, że głęboki niż znad Atlantyku przesuwa się na wschód. W południe pojawiły się grzywacze; podniósłszy kotwicę brnęliśmy na motorze przeciw silnemu zachodniemu wiatrowi, aż wreszcie znaleźliśmy schronienie w Lulworth Cove.

Nazajutrz wczesnym rankiem wybrałem się do Southampton. Pogoda była burzowa i pagórki, które krzywymi wapiennymi palcami obejmują naturalną lagunę zatoki, zieleniały smętnie spoza firanek siekającej ulewy. U wąskiego wejścia do zatoki piętrzyły się grzywacze i powodowały falowanie wody, która z rykiem waliła na kamienistą plażę. Podmuchy wiatru wirując nadlatywały ze szczytów wzgórz i wygładzały powierzchnię szybkimi, gwałtownymi uderzeniami. W pobliżu nie było nikogo. Cała wapienna niecka - regularna w zarysie jak zatopiony krater wygasłego wulkanu - świeciła pustką. Tylko „Wiedźma Morska” kołysała się gwałtownie, a mewy niczym skrawki papieru unoszone w powietrzu krążyły dokoła.

- Trzymajcie wachtę kotwiczną, jeśli pogoda się zepsuje - poradziłem Mike'owi, który odstawił mnie na brzeg. - Nie najlepsze to miejsce do kotwiczenia.

Przytaknął ukazując spod zbudowanej twarzy niezwykle poważną.

- Co zrobisz, gdy sprawa przybierze dla niego niepomysłny obrót? - zapytał.

- Nic - rzuciłem opryskliwie. Byłem zmęczony. Zresztą obaj byliśmy porządnie zmordowani. Nurkowaliśmy na potęgę przez cztery dni. - Gdybym zamierzał coś zrobić, należało to zrobić tydzień temu, po opuszczeniu Lymington. Najgorsze, co może mu się przytrafić, to ponowne odebranie patentu. - Mike milczał. Jego żółte ubranie sztormowe połyskiwało wilgocią w szarówce, kiedy rytmicznie pochylał się nad wiosłami, a domy Lulworth stały ciche, smutne i odosobnione na zboczu wzgórza.

Dingi z nagłym zgrzytem otarła się o kamienie. Ledwo fala zaczęła się cofać, Mike wyskoczył i podciągnął łódkę, bym mógł zejść na ląd nie przemoczywszy cywilnego ubrania. Przez chwilę rozmawialiśmy na deszczu o powszednich, przyziemnych sprawach, o tym, co mamy do zrobienia na

„Wiedźmie Morskiej”. Dopiero gdy wspiałem się na brzeg, zawołał: - Chciałem ci powiedzieć, John... - A po krótkim wahaniu dorzucił: - Jeśli o mnie chodzi, pozostawiam to do twojej decyzji... nie boję się ryzyka.

- Jesteś przyzwoity facet, Mike, ale nie myślę...

- To nie kwestia przyzwoitości - sprostował z uśmiechem. - Nie lubię pracować z kimś, kogo coś gryzie, i tyle. - Odepchnął dingi, ja zaś po zboczu wydostałem się na szosę, gdzie czekał już autobus.

II

Stawiłem się w sądzie przed jedenastą. Było późno, więc korytarz prowadzący na salę rozpraw świecił pustkami. Wręczyłem wezwanie urzędnikowi, który wskazał mi małe drzwi; wychodził z nich właśnie Snetterton.

- Ach, pan Sands - mrugnął na mnie porozumiewawczo. - Przyjechał pan zobaczyć tę szopkę, co?

- Jestem świadkiem.

- Tak, tak, oczywiście. Szkoda było odrywać się od nurkowania. Podobno pracujecie już nad tym wrakiem z zatoki Worbarrow. - Urwał. - Wie pan, całkiem poważnie zastanawialiśmy się, czy nie pomówić z panem na temat „Mary Deare”. Chcieliśmy przeprowadzić poszukiwania przy pomocy azdyku*, lecz w świetle ostatnich wiadomości okazało się to zbędne.

- Jakich wiadomości? - spytałem ciekaw, czy „Mary Deare” nie została przypadkiem odnaleziona. Prawie cały kwiecień pogoda była kiepska, lecz zawsze istnieje możliwość...

- Zobacz pan, panie Sands. Interesująca sprawa, ogromnie interesująca. - Rozstał się ze mną w pośpiechu.

Urzędnik otworzył drzwi. - Miejsca dla świadków są po prawej stronie, sir - szepnął. Niepotrzebnie jednak zniżał głos. Na sali rozlegał się szmer rozmów. Przystanąłem lekko oszołomiony, gdyż nie spodziewałem się zobaczyć

*Azdyk - urządzenie hydroakustyczne służące do wykrywania zanurzonych okrętów podwodnych.

tyłu ludzi. Tłok panował wszędzie okropny i tylko w ławach dla publiczności pozostało trochę wolnego miejsca. Świadkowie cisnęli się w krzesłach zajmowanych normalnie przez sędziów przysięgłych, a niektórzy zawędrowali aż na ławę sędziowską. Patcha dojrzałem momentalnie gdzieś w pierwszych rzędach - z twarzą bladą i ściągniętą, lecz jeszcze bardziej surową, jak twarz człowieka, który przygotował się na to, co go oczekuje. Z tyłu na prawo załoga zbiła się w zwartą grupkę wokół zwalistej postaci Higginsa. Marynarze byli skrępowani i przedstawiali dziwny, trochę egzotyczny widok w nowych cywilnych ubraniach. Obok Frasera, kapitana pocztowca, który nas wyłowił, siedziała Janet Taggart. Nie rozchylając warg przesłała mi przelotny, bezbarwny uśmiech, ja zaś dziwiłem się, po kiego diabła ją właśnie musieli ciągnąć na świadka.

Ktoś dawał mi znaki zza jej pleców, a kiedy wyciągnął szyję, poznałem Hala. Przepchnąłem się do niego między krzesłami.

- Skąd się tu wziąłeś? - szepnąłem.

- Jestem bardzo ważnym świadkiem - odparł. - Nie zapominaj, że to ja pierwszy złożyłem raport o tym bezpiecznym pudle zawierającym osobę mego dość lekkomyślnego eksszypra. - W oczach jego pojawił się uśmiech. - A i tak nie przegapiłbym tego za nic w świecie. Znosi się, na cholernie ciekawą sprawę, jeśli chcesz wiedzieć.

Przez ten czas, głównie po przeciwległej stronie sali, coraz to ktoś wstawał, by podać nazwisko, zawód oraz nazwę reprezentowanej firmy. Było tych ludzi strasznie dużo, gdyż poza towarzystwami ubezpieczeniowymi i właścicielami wysłali tu swych przedstawicieli budowniczości „Mary Deare”, Zrzeszenie Oficerów Marynarki, Radiooperatorów i rozmaite związki; przybył nawet adwokat występujący z ramienia krewnych zmarłego kapitana Taggarta.

W porównaniu z prawdziwym sądem panowała tu duża swoboda - żadnych peruk, tog, policjantów i ławy przysięgłych. Nawet sędzia i trzej ławnicy mieli na sobie codzienne garnitury. Naprzeciw nas zasiedli adwokaci stron zainteresowanych. Wokół nich było tłoczno. Opodal ława świadków stała pusta, a dalej, przy pulpicie prasowym, dojrzałem zaledwie

dwóch reporterów. Po naszej stronie sali zajął miejsce radca Ministerstwa Skarbu wraz z pomocnikiem, młodszy radca Ministerstwa Skarbu i asystenci.

- Wiesz, kto reprezentuje ubezpieczenia? - szepnął nachylając się ku mnie Hal.

Zaprzeczyłem, gdyż znane mi było jedynie nazwisko przewodniczącego, pana Bowen Lodge'a - radcy dworu.

- Sir Lionel Falcett. To chyba najdroższy człowiek, na jakiego mogli sobie pozwolić. - Błysnął niebieskimi oczyma. - Wymowne, co?

Spojrzałem na Patcha pomny, że i ja także mogę zasiąść la ławie świadków, a wszyscy adwokaci będą mieli prawo zadawać mi pytania.

Uciszało się powoli. Przewodniczący, pogrążony dotychczas w poważnej rozmowie z ławnikami, zwrócił się do sali, i gdy zapadło milczenie, wygłosił słowo wstępne:

- Panowie! Jak wam wiadomo, sąd zbiera się tu dzisiaj, żeby rozpatrzyć sprawę zatonięcia parowca „Mary Deare”. Jedziemy musieli poddać analizie nie tylko okoliczności katastrofy, lecz także istotne przyczyny, które mogły ją spowodować. Przedmiotem dochodzenia jest więc stan, „Mary Deare” w chwili, gdy wyruszała w feralny rejs i Jokohamy, dzielność morską, stan maszyn, rodzaj i sposób rozmieszczenia ładunku, a w pierwszym rzędzie stan sprzętu przeciwpożarowego. Równie ważne jest zachowanie i decyzje ludzi odpowiedzialnych za statek, gdyż mogli się oni stać albo nie stać sprawcami tragedii.

Bo była to tragedia, panowie. Spośród trzydziestu dwu mężczyzn aż dwunastu - z górą trzecia część - postradało życie. Co więcej, kapitan zmarł na morzu, dyrektor Spółki, do której należał statek, tajemniczo zaginął. Prowadzimy śledztwo w przykłej sprawie i na tej sali mogą się dziś znaleźć krewni nieżyjących. Dlatego też uważam za swój obowiązek przypomnieć państwu, że jest to przesłuchanie urzędowe; mamy ustalić przyczyny nieszczęścia i choć gorąco pragnę, aby z należnym szacunkiem mówiono o tych, którym śmierć nie pozwoliła zeznawać we własnej obronie, kładę szczególny nacisk na to, że zebraliśmy się tutaj, by zbadać tę potworną sprawę wnikliwie i bezstronnie. Proszę teraz pana Hollanda, by z ramienia Ministerstwa Transportu otworzył postępowanie - zakończył BowenLodge z lekkim ukłonem.

Holland wyglądał na bankiera albo maklera giełdowego. o ile sędzia mimo skwaszonej miny sceptyka potrafi zrozumieć, jaka tragedia kryje się u podłoża sprawy, i wywołać nastrój dramatycznego napięcia, o tyle wysokiego prawnika, gładkiego na twarzy, z ulizanymi czarnymi włosami, cechowała chłodna wyniosłość, która wskazywała na większe zainteresowanie cyframi niż słabostkami ludzkimi.

- Wysoki Sądzie! - Wstał i z rękami w kieszeniach kurtki popatrzył na sędziego i trzech ławników. - Na samym wstępie powinienem zwrócić uwagę panów, że w raporcie do ministra urzędnik awaryjny podkreśla pewną niezgodność w oświadczeniach rozbitków. Jak wiadomo w podobnych przypadkach opracowuje on swój raport na podstawie pisemnych zeznań. Zeznania te składa się poc przysięgą. Dlatego też nie zamierzam szczegółowo odtwarzać zajęć poprzedzających katastrofę ani samego jej przebiegu. Ograniczę się do krótkiego przypomnienia faktów, (szczegół) zaś, które stanowią tę historię, wyłonią się z relacji świadków.

Zajrzał do notatek, po czym zwrócony do publiczności monotonnym, dość znudzonym głosem dokonał pod sumowania.

„Mary Deare” została kupiona przez Spółkę Handlowo - Okrętową Dellimare’a w czerwcu roku ubiegłego. Poprzednio stanowiła własność spółki birmańskiej i przez dwa lata stała wycofana w zatoce opodal Jokohamy. Po dokonaniu kupna przyholowano ją do Jokohamy i poddane gruntownemu przeglądowi. Osiemnastego listopada statek uzyskał świadectwo klasyfikacyjne na jeden rejs do Antwerpii, a stąd do Anglii, gdzie miał pójść na złom. Drugiego grudnia zabunkrowano węgiel, a czwartego rozpoczęto załadunek towaru - stu czterdziestu ośmiu silników samolotowych amerykańskiej produkcji, w tym pięćdziesięciu sześciu silników odrzutowych do specjalnego typu myśliwców stanowiących wyposażenie wojsk NATO. Ich portem docelowym była Antwerpia. Rozdzielono je pomiędzy cztery ładownie. Prócz tego statek wiozł dużo japońskiej bawełny sztucznego jedwabiu do Rangunu, wobec czego ułożono bele na skrzyniach z silnikami. Wszystko to bez wyjątku należało do Towarzystwa Handlowego Hsu, wielkiej wpływowej chińskiej firmy w Singapurze.

„Mary Deare” wyruszyła z Jokohamy ósmego grudnia. Szóstego stycznia w Rangunie wylądowano towary japońskie. Transport surowej bawełny przeznaczonej dla Anglii, będącej również własnością Towarzystwa Hsu, nadszedł opóźnieniem, statek pobrał więc węgiel i odpłynął do ujścia rzeki Irawadi, gdzie zacumował do beczki obok, „Torre Annunziata”, drugiego statku Dellimare’a. W cztery dni później wrócił do doków po bawełnę, którą prawie w całości umieszczono w drugiej i trzeciej ładowni.

Z Rangunu odpłynął piętnastego stycznia, do Adenu zawinął czwartego lutego. Tu zachorował i wysiadł na ląd pierwszy oficer pan Adams. Na jego miejsce przyjęto pana Patcha. „Mary Deare” podniosła kotwicę szóstego lutego, drugiego marca zmarł kapitan James Taggart i komendę objął pan Patch. Stało się to na Morzu Śródziemnym, cztery dni drogi od Port Saidu. Dziewiątego marca minęli Cieśninę Gibraltarską. Na Atlantyku niemal

natychmiast złapała ich burza. Statek brał trochę wody; pompy pracowały na zmianę. Szesnastego marca pogoda się popsowała i siła wiatru doszła do 10° w skali Beauforta.

- A teraz... - Holland podniósł głos i w mniej bezbarwny monotony niż dotychczas sposób zwrócił się do sądu - teraz rozpatrzmy serię wypadków, które można nazwać nieomal tajemniczymi, a które stanowią przedmiot tego śledztwa.

Streścił je zwięźle; uszkodzenia ładowni dziobowych, woda przybierająca mimo pracy pomp, podparcie grodzi w kotłowni, pożar w radiokabinie, zniknięcie Dellimare'a, i potem, kiedy opłynęli Ushant, pożar w trzeciej ładowni, opuszczenie pokładu przez załogę z wyjątkiem kapitana, następnego dnia rano spotkanie statku z jachtem, ostateczne porzucenie „Mary Deare”. Wbijał te szczegóły jeden po drugim, rzeczowo, bezlitośnie, do głów ludzi stłoczonych na sali, wywierając tym większe wrażenie.

- Dwunastu ludzi poniosło śmierć, panowie - dodał po chwili bardzo cicho. - Poniosło ją w szalonej ucieczce ze statku, któremu w rzeczywistości nie groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo. Już to ma swoją wymowę. - Spojrzał na przewodniczącego. - Nie będę próbował nic sugerować, przedstawię tylko fakty. Mam jednak prawo podkreślić pewne momenty, a te momenty, Wysoki Sądzie, to, po pierwsze, zajścia, które zagroziły bezpieczeństwu i zmniejszyły dzielność morską statku, a po drugie ucieczka załogi, choć mimo sztormu „Mary Deare” utrzymywała się jeszcze I przez dwie doby na wodzie. Wyznaję, że jest to jedna z najbardziej niezwykłych spraw rozpatrywanych przed tym sądem, sprawa mogąca w wyniku waszej decyzji silnie zaważyć na losie jednej lub wielu spośród zebranych tu osób. Stwierdziwszy to powiódł dokoła oczami - od prawników reprezentujących zainteresowane strony do parteru i galerii I dla publiczności - aż wreszcie jego chłodny, surowy, oskarżycielski wzrok spoczął na świadkach.

Nie odwracając się podjął: - Mówiłem o rozbieżność: w zeznaniach składanych pod przysięgą przez świadków Ci sami i jeszcze inni świadkowie zeznawać będą przed tym sądem. Ale zachodzi tu pewna różnica: na ławie świadków każdy może być powtórnie pytany przeze mnie albo przez jednego lub wszystkich rzeczników stron zainteresowanych. - Po przerwie uzupełnił: - Przypominam, że krzywoprzysięstwo to poważne wykroczenie przeciw prawu.

Spoglądał na nas w kompletnej ciszy; paru członków załogi „Mary Deare” poruszyło się niespokojnie na krzesłach i Usiadł. Przez jakieś pół minuty milczenie wywołane jego słowami wisiało nad sądem. W końcu podniósł się z wolna i zawołał:

- Gideon Patch!

Patch siedział bez ruchu, zapatrzony w przeciwległy kącik sali, w próżnię - i nawet nie drgnął. Myślałem już, że nie dosłyszał swego nazwiska, gdy właśnie skierował wzrok na Hollanda i wstał spokojnie jak człowiek, który nie może wierzyć, że oczekiwana chwila wreszcie nadeszła. Zebrał ię w sobie i mocnym, zdecydowanym krokiem podszedł do ławy świadków.

Napięcie zostało rozładowane, a salę przebiegł nagły szmer rozmów i szuranie butami. Hałasy te trwały podczas przysięgi; zamarły stopniowo, gdy Patch ledwie dosłyszalnym szeptem zaczął odpowiadać na pytania Hollanda.

Nazywa się Gideon Stefan Patch. Do szkoły uczęszczał w Pangboume, w roku 1935 wstąpił do marynarki handlowej jako uczeń Szkoły Morskiej, patent oficera uzyskał w roku 1941, kapitana w 1944, pierwszym statkiem dowodził w 1945 roku, historia z „Belle Isle”, lata na wybrzeżu - marnowane, stracone lata. Holland wydobyl z niego wszystko, fakt po fakcie, znudzony tak samo, jakby jadał los przesyłki pocztowej. Z kolei zainteresował się szczegółami technicznymi: Jaka była zdaniem Patcha Izielność morska „Mary Deare”? W jakim stanie był przed przeciwpożarowy? Czy Patch osobiście dokonał przeglądu łodzi? Czy uważał załogę za sprawną? Czy oficerowie posiadali dostateczne kwalifikacje?

Patch, skoro już przebrnął przez sprawę „Belle Isle” odebrania patentu, wyraźnie się odprężył; wróciła mu pewność siebie. To wszystko było takie bezosobowe, łodziom nic się nie da zarzucić - sam sprawdzał. Załoga przeciętna - bywały gorsze. Oficerowie? Woli powstrzymać się od komentarzy. Paru złych, paru dobrych.

- A kapitan? - zabrzmiał znowu monotony, znudzony głos.

Patch zawahał się. - Był chyba dobrym marynarzem.

- Chyba? - Ciemne brwi Hollanda uniosły się lekko.

- Kapitan Taggart był chory, sir.

- Więc dlaczego nie zszedł na ląd?

- Nie wiem.

- Pierwszy oficer Adams został na lądzie z powodu choroby. Dlaczego nie wysadzono także kapitana Taggarta?

- Właściciele firmy uważali go widocznie za zdolnego do dalszej pracy.

- Właściciele, to znaczy pan Dellimare?

- Tak.

- Proszę mi powiedzieć, na co chorował kapitan Taggart?

Patch musiał spodziewać się tego pytania, lecz teraz skępowany popatrzył na czekających świadków. Odszukawszy wzrokiem Janet Taggart, ponownie zwrócił się do Hollanda.

- Przykro mi, sir, ale nie mogę na to odpowiedzieć.

Holland uczynił gest zniecierpliwienia. Najwidoczniej zamierzał nalegać, przeszkodził mu jednak przewodniczący.

- Panie Holland - rzekł pochylając się do przodu. - Dłuższe roztrząsanie tej sprawy wydaje się zbędne. Nie sądzę, by rodzaj choroby kapitana Taggarta miał jakikolwiek wpływ na przedmiot śledztwa.

Holland spoglądał na sędziego ująwszy w dłonie klapy marynarki, jakby to była toga. - Wysoki Sądzie, każdy szczegół związany z „Mary Deare” ma wpływ na przebieg śledztwa. Usiłuję odtworzyć pełny obraz wydarzeń. W tym celu muszę zebrać fakty... wszystkie fakty.

- Oczywiście. - BowenLodge zagryzł wargi. - Ale widzę - przebiegł oczami notatki - że panna Taggart znajduje się na sali w charakterze świadka. Proszę o tym nie zapominać, panie Holland, i w miarę możliwości oszczędzi jej dalszych cierpień.

- Niestety... - Holland urwał, powstrzymany zimnym oficjalnym spojrzeniem BowenLodge'a. - Na razie wystarczy, jeśli spytam, czy naprawdę wiedział pan, co dolegali kapitanowi Taggartowi? - rzucił w stronę Patcha.

- Tak, wiedziałem - odparł Patch i szybko dokończył: Lecz nie miałem pojęcia, że okaże się to tak fatalne w skutkach.

- Rozumiem. - Następne pytania dotyczyły już ładunku. - Jako pierwszy oficer powinien pan ponosić odpowiedzialność za stan ładowni. Czy osobiście nie prze prowadzał pan kontroli?

- Uznałem, że ładunek rozmieszczony jest prawidłowo.

- We wszystkich czterech ładowniach?

- Tak.

- Schodził pan do nich?

- Do pierwszej i czwartej. Dwie pozostałe były wypełnione, ile o sposobie załadunku przekonałem się zaglądając przez luki kontrolne.

- Przed opuszczeniem Adenu czy już później?

- W Adenie.

- Proszę nam opisać, jak rozmieszczono ładunek.

Patch zaczął od ładowni pierwszej, a skończył na dwóch rufowych. Podał wymiary każdej - szerokość i głębokość. Na samym spodzie leżały skrzynki, których wielkość znał

tylko w przybliżeniu, oznaczone według specjalnego klucza Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

- Wiedział pan, że skrzynie zawierają silniki samolotowe? - podjął Holland.

- Tak.

- Sam pan do tego doszedł? Chodzi mi o to, czy osobiście sprawdzał pan kiedyś ich zawartość?

- Nie. Jakoś się nie złożyło. A poza tym trudno byłoby otworzyć taką skrzynię; stały ciasno upakowane i, z wyjątkiem ładowni pierwszej i czwartej, przykryte belami bawełny.

- Rozumiem. Mówiąc przeto o ich zawartości opiera się pan wyłącznie na manifeście?

- Patch skinął głową. - Czy kapitan Taggart pokazał panu manifest, zanim dokonał pan inspekcji?

- Przejrzałem manifest przed inspekcją.

Holland nie spuszczał z niego oczu. - Moje pytanie brzmiało inaczej: Czy kapitan Taggart pokazał panu manifest, zanim dokonał pan inspekcji?

- Nie - odrzekł Patch zmieszany.

- Widział się pan wówczas z kapitanem Taggartem?

- Tak.

- Prosił pan o manifest?

- Nie.

- Dlaczego? Przecież jeśli zamierzał pan zejść do ładowni...

- Kapitan Taggart był chory.

Holland zawahał się i wzruszywszy ramionami zmienił temat. Prawie pół godziny indagował o szczegóły techniczne - wymiary statku, konstrukcję, datę budowy, remonty, przeróbki, cechy charakterystyczne, właściwości morskie i historię.

„Mary Deare” zbudowana została na rzece Clyde w roku 1910 i przeznaczona do handlu atlantyckiego. Patch odgrzebał jej dzieje w jakimś starym notatniku i wykrył nawet, skąd pochodzi jej nazwa - rezultat ograniczonej pomysłowości zmarłego już dawno prezesa, który połączył imię żony ze swoim drugim imieniem. Dwukrotnie storpedowany podczas pierwszej wojny światowej statek wciąż pływał w konwojach, a w roku 1922 zderzył się z górą lodową u wejścia do Zatoki Św. Wawrzyńca; sprzedano go i przez dziesięć lat włączył się po morzach. Kryzys przyłapał go na Dalekim Wschodzie. Gnił w porcie, dopóki cień nowej wojny nie wywołał podwyżki opłat przewozowych. „Mary Deare” zmieniła wtedy właścicieli i zaczęła kursować po Oceanie Indyjskim i Morzu Chińskim. Storpedowana z transportem wojska tuż pod Singapurem w roku 1941, dowlokła się do Rangunu, a po

remontu znalazła się w San Francisco. Tam poddano ją pierwszemu od lat dwudziestu gruntownemu przeglądowi, po czym wróciła na Daleki Wschód. Przed zakończeniem wojny z Japończykami utknęła na rafie koralowej pod ogniem artyleryjskim. Poszycie dna miała do połowy zerwane, stępkę skręconą, nadbudowę zniszczoną przez pociski.

- Każdemu nowoczesnemu statkowi już by wystarczyło - stwierdził z odcieniem dumy Patch.

Opowiadał dalej, że w roku 1947 „Mary Deare” znów przeszła w obce ręce, tym razem jakiegoś Birmańczyka; objała się po wszystkich portach Dalekiego Wschodu, z przetrąconym kręgosłupem, niezdarnie połatana. Po czterech latach wycofano ją z eksploatacji i niszczała w Jokohamie, dopóki nie zakupiło jej Towarzystwo Dellimare’a.

Streszczając losy statku Patch potrafił jakoś tchnąć w niego osobowość. Gdyby podkreślał, że „Mary Deare” była starym poharatany pudłem przeznaczonym na złom, wykazałby, iż dzięki swym umiejętnościom przeprowadził przez Zatokę Biskajską w jeden z najcięższych sztormów go roku. Ale on wmawiał sądowi, że była dobrym statkiem, twym do prowadzenia, i brała wodę tylko dlatego, że remontowano ją w marnie wyposażonych portach wschodnich. Lojalność ta, choć imponująca, pozbawiła go jednak współczucia, które tak łatwo mógł sobie zaskarbić.

Dalsze pytania Hollanda dotyczyły szczegółów rejsu - Morza Czerwonego przez Kanał Sueski i Morze Śródziemne. Ani na sekundę nie przestawała interesować go załoga, oficerowie, stosunek Dellimare’a do Taggarta. odpowiedzi Patcha wyłonił się obraz niezbyt przyjemny - załoga niezdyscyplinowana, pierwszy mechanik niedołęga, pokerzysta, który do gry wciągał marynarzy i oficerów, kapitan stale przesiadujący w swojej kajucie, nieobecny na mostku, i Dellimare krążący niespokojnie po pokładach, pozywający posiłki u siebie, czasem w towarzystwie Higginsa, kiedy indziej znów godzinami zamknięty z kapitanem. A później komendę objął Patch.

Sąd zaległa głęboka cisza, gdy Holland rzekł:

- Zgodnie z pańskim zapisem w dzienniku okrętowym kapitan Taggart zmarł drugiego marca we wczesnych godzinach rannych. Czy to prawda?

- Tak.

- Na statku nie było lekarza?

- Nie.’

Janet Taggart, podana do przodu, bardzo blada, zacisnęła palce na oparciu stojącego przed nią krzesła, aż pobielaly.

- Dawał pan może kapitanowi Taggartowi jakieś lekarstwa?

- Zrobiłem, co się dało.

- Co mianowicie?

- Położyłem go do łóżka. Namawiałem, by zażył środek uspokajający, ale nie chciał. -

Ściszywszy głos Patch posłał Janet Taggart przelotne spojrzenie.

- Zamknął go pan pod kluczem?

- Tak - wyszeptał.

- Dlaczego?

Brak odpowiedzi.

- Pisze pan w dzienniku okrętowym, że pańskim zdaniem kapitan Taggart zmarł na zawał serca. Może wytłumaczy pan przed sądem, dlaczego serce przestało bić, jeżeli w ogóle ono było przyczyną śmierci?

- Panie Holland - przerwał BowenLodge ostro i wyniośle. - Muszę panu przypomnieć, co mówiłem. Nie uważam tego pytania ani za związane ze sprawą, ani za konieczne.

Tym razem jednak Holland okazał się uparty. - Wysoki Sądzie, z zachowaniem należnych względów podkreślę, że jest ono ściśle związane ze sprawą. Świadek okazuje chwalebłą powściągliwość, jeśli chodzi o rodzaj choroby kapitana Taggarta. Ta choroba jednak wywarła decydujący wpływ na późniejsze dowodzenie statkiem i. dlatego należy, by sąd o niej wiedział. - Nie czekając na pozwolenie zwrócił się do Patcha: - Teraz, kiedy rozumie pan, w jakim celu zadaję to pytanie, proszę powiedzieć: co było główną przyczyną śmierci?

Patch zaciął się i nagle Holland stracił cierpliwość.

- Kapitan zmarł zamknięty w swojej kajucie, mam rację?

Brutalność tych słów była dla Patcha zaskakująca; skinął głową.

- Dlaczego go pan zamknął? Czy istotnie zachodziła potrzeba, dlatego że bredził? - dorzucił podchwytliwie Holland.

- Był w delirium, to prawda - wymamrotał Patch.

- Wprowadzał zamęt na statku?

- Tak.

- Robił szalone zarzuty?

- Tak.

- Jakie?

Patch rozejrzał się bezradnie po sali. - Oskarżał oficerów, że wykradają mu trunki.

- Więc może teraz odpowie pan - rzekł pochylając się Holland - co pańskim zdaniem było główną przyczyną śmierci kapitana Taggarta?

Patch mógłby trwać w uporze, gdyby BowenLodge nie przemówił z wyżyn sędziowskiego fotela:

- Świadek zechce łaskawie odpowiedzieć na pytanie radcy. Powtórzę je dla ułatwienia.

Co było główną przyczyną śmierci?

Patch zawahał się.

- Alkohol, sir - odparł z niechęcią.

- Alkohol. Twierdzi pan, że to alkohol był powodem śmierci?

- Powodem... tak.

W wywołaną oszołomieniem ciszę, która zaległa sąd, wdarł się przejmujący, wysoki, rozedrgany głos dziewczyny:

- To nieprawda! Jak można mówić coś podobnego... kiedy on nie żyje...

- Panno Taggart - odezwał się łagodnie, prawie po ojcowsku Holland. - Świadek zeznaje pod przysięgą.

- Nic mnie to nie obchodzi. On kłamie. - Załkała rozpaczliwie. Patch pobladł. Fraser usiłował z powrotem wsadzić ją na krzesło. - Proszę mu przerwać - wyjąkała przez łyzy w stronę przewodniczącego i odrzuciwszy do tyłu głowę oświadczyła: - Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Ze znajomości z nim każdy z was byłby dumny.

- Rozumiem panią, panno Taggart - powiedział BowenLodge tonem perswazji. - Muszę jednak pani przypomnieć, że badamy źródła katastrofy, w której wielu ludzi poniosło śmierć. Świadek złożył przysięgę. Nie jest też jedynym świadkiem. Zapewniam panią, że przeanalizujemy ten zarzut, by wykryć prawdę. A teraz pani będzie łaskawa usiąść. Chyba że wolałaby pani zaczekać na korytarzu, dopóki pani nie wezwiemy.

- Zostanę tutaj - odrzekła słabym, zdławionym głosem. - Bardzo przepraszam.

Usiadła powoli, z twarzą kredowobiałą, nieporadnie szukając chusteczki do nosa.

Holland odchrząknął:

- Jeszcze jedno pytanie i na tym koniec. Mniej więcej ile dziennie wypijał kapitan Taggart?

- Nie potrafię powiedzieć. Nie wiem. - Głos Patcha stał się prawie niedosłyszalny.

- To znaczy nie zauważył pan, by wypijał pewną określoną ilość?

Patch zaprzeczył.

- Ale musiał się pan orientować choć w przybliżeniu. Co pił: whisky?

- Tak.

- Nic innego?

- Czasem koniak. Kiedy indziej rum.

- Ile?

- Nie wiem.

- I tak było od początku rejsu?

- Tak, myślę, że tak.

- Niewątpliwie odbijało się to na panu jako na pierwszym oficerze, z pewnością więc interesował się pan, ile pije. Ile to mogło być dziennie?

Po chwili wahania Patch odezwał się niechętnie: - Steward mówił, że butelkę, półtorej... czasem dwie. - Zebrany aż dech zaparło.

- Rozumiem. - W zalegającej salę ciszy dało się słyszeć tłumione łkanie. - Był więc całkiem niezdolny do kierowania statkiem?

- Och, nie - zaprzeczył Patch. - Pod koniec dnia bywał lekko wstawiony. Ale poza tym nieźle panował nad sytuacją.

- Chce pan powiedzieć, że znajdował się w pełni władz umysłowych, choć regularnie wypijał jedną do dwu butelek dziennie?

- Tak, sir. To znaczy na ogół.

- Przyznał pan jednak, że należało go zamknąć w kabinie, bo był w delirium. Jeśli miał atak, niewątpliwie... - Przewodniczący uniósł brwi.

- Ataku nie spowodowało nadużycie alkoholu - odparł Patch z wolna.

- A więc co takiego?

- Brak alkoholu.

Sąd zaległo zgorszone milczenie. Janet Taggart już nie łkała. Siedziała sztywno, spoglądając na Patcha jak porażona.

- Chciałbym definitywnie rozstrzygnąć tę kwestię, zanim przejdziemy do następnej - BowenLodge mówił cicho, z opanowaniem. - Sugeruje pan, iż kapitan Taggart zmarł nie wskutek przepicia, lecz wskutek braku alkoholu. Mam rację?

- Tak, sir.

- Czy rzeczywiście uważa pan, że brak alkoholu może się stać przyczyną śmierci?

- Nie wiem - odpowiedział Patch zgnębiony. - Wiem tylko, że alkohol trzymał go przy życiu, a gdy nie mógł pić, zmarł w delirium. Nigdy chyba nie brał do ust jedzenia.

BowenLodge w zadumie kreślił ołówkiem linie na papierze. Po dłuższej przerwie odszukał wzrokiem radcę. - Według mnie, panie Holland, rozstrzygnąć o tym powinien lekarz.

Holland przytaknął. - Już to załatwiłem... wydawało mi się to konieczne, kiedy przeczytałem zeznanie.

- Dobrze. Sprawa może więc na razie pozostać w zawieszeniu - stwierdził z ulgą przewodniczący. - Proszę dalej przesłuchiwać świadka.

Kolejny etap rejsu nie obfitował w wydarzenia, lecz Patch musiał przytaczać wszystkie szczegóły. Odmalował siebie jako odpowiedzialnego oficera dokładającego ogromnych starań, by utrzymać w garści załogę, mimo że obecność właściciela statku powodowała ciągle zadrażnienia. Fakty, które wyciągnął na jaw systematyczny Holland, same w sobie były dość błahe - w mesie dla załogi nie sprzątno ze stołu, karaluchy, paru marynarzy zawoszonych, brudna kuchnia, łódź ratunkowa bez zapasów, ktoś tam obrywa w bójce, maszyna zatrzymana, bo wymieniali łożysko, któremu pozwolono się przegrzać. W sumie jednak odnosiło się wrażenie, że była to wina dowództwa.

Okazało się również i co innego. Dziennik okrętowy prowadzony nie jak należy, poziom wody w zbiornikach nieregularnie mierzony i brak ograniczeń w jej spożyciu, a odpowiadać za to powinien Higgins będący wówczas pierwszym oficerem. Patch nabierał coraz większego zaufania do drugiego oficera, Johna Rice'a, i zacieśniając się przyjaźń między tymi dwoma przewijała się w zeznaniach stanowiąc ważny ich wątek.

Patch dwukrotnie wspominał Dellimare'a, z czego raz bez pytania - gdy mówił o braku kontroli nad załogą maszynową.

- Zachęcał Burrowsa, pierwszego mechanika, do gry w pokera. Musiałem zażądać, by nie zapraszał więcej Burrowsa do swej kajuty. Grali do późna w nocy, a odpowiedzialność całkowicie spadała na Rafta, drugiego mechanika.

- Czy pan Dellimare usłuchał? - zainteresował się Holland.

- Nie.

- Co powiedział?

- Że to jego statek, więc będzie robił, co mu się żywnie podoba, i zapraszał tych oficerów, których zechce, i wtedy, kiedy zechce.

- A jak pan zareagował?

- Stwierdziłem, że godzi to w bezpieczeństwo statku i nadwątlą morale mechaników. Dodałem, że nie on, ale ja jestem kapitanem, wobec czego statek będzie dowodzony tak, jak ja zechcę.

- Innymi słowy, doszło do awantury?

- Tak.

- I zgodził się nie grywać w pokera z pierwszym mechanikiem?

- W końcu tak.

- W końcu? Spróbował pan metody perswazji?

- Tak. Zapowiedziałem, że dam Burrowsowi wyraźny rozkaz, a jeśli go nie wykona, potrafię podjąć odpowiednie kroki. I rzeczywiście dałem taki rozkaz.

- Został wykonany?

- Tak.

- Zechce pan może scharakteryzować stosunki, jakie łączyły w tym okresie pana z Dellimare'em?

Patch był niezdecydowany. Wyjaśnił już, że stosunki między nim a właścicielem statku źle się układały. Mógł jednym zdaniem wyjawić powód i zapewnić sobie przychyłność sądu. Ale nie skorzystał z tej okazji. - Różniliśmy się w zapatrywaniach na niektóre sprawy - rzekł po prostu, a Holland nie pytał dalej.

Patch dwukrotnie wspominał Dellimare'a, z czego raz bez pytania - gdy mówił o braku kontroli nad załogą maszynową.

- Zachęcał Burrowsa, pierwszego mechanika, do gry w pokera. Musiałem zażądać, by nie zapraszał więcej Burrowsa do swej kajuty. Grali do późna w nocy, a odpowiedzialność całkowicie spadała na Rafta, drugiego mechanika.

- Czy pan Dellimare usłuchał? - zainteresował się Holland.

- Nie.

- Co powiedział?

- Że to jego statek, więc będzie robił, co mu się żywnie podoba, i zapraszał tych oficerów, których zechce, i wtedy, kiedy zechce.

- A jak pan zareagował?

- Stwierdziłem, że godzi to w bezpieczeństwo statku i nadwątła morale mechaników. Dodałem, że nie on, ale ja jestem kapitanem, wobec czego statek będzie dowodzony tak, jak ja zechcę.

- Innymi słowy, doszło do awantury?

- Tak.

- I zgodził się nie grywać w pokera z pierwszym mechanikiem?

- W końcu tak.

- W końcu? Spróbował pan metody perswazji?

- Tak. Zapowiedziałem, że dam Burrowsowi wyraźny rozkaz, a jeśli go nie wykona, potrafię podjąć odpowiednie kroki. I rzeczywiście dałem taki rozkaz.

- Został wykonany?

- Tak.

- Zechce pan może scharakteryzować stosunki, jakie łączyły w tym okresie pana z Dellimare'em?

Patch był niezdecydowany. Wyjaśnił już, że stosunki między nim a właścicielem statku źle się układały. Mógł jednym zdaniem wyjawić powód i zapewnić sobie przychyłność sądu. Ale nie skorzystał z tej okazji. - Różniliśmy się w zapatrywaniach na niektóre sprawy - rzekł po prostu, a Holland nie pytał dalej.

Druga wzmianka o dyrektorze firmy była nieomal przypadkowa. Patch mówił właśnie, że sam przeprowadzał inspekcję we wszystkich czterech ładowniach, kiedy u wybrzeży Portugalii złapała ich burza. Holland, znów całkiem bezstronnie, podkreślił fakt, że chcąc się upewnić, czy nie nastąpiło jakieś przesunięcie ładunku, Patch nie poprzestał na raporcie pierwszego oficera.

- Innymi słowy: nie miał pan do niego zaufania?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Czy pan Higgins przeprowadził tę inspekcję?

- Nie wiem.

- Tak niskie miał pan o nim mniemanie, że nie spytał pan nawet, czy ją przeprowadził?

- Tak. Chyba tak.

- Czy oprócz pana jeszcze ktoś sprawdzał stan ładunku?

Patch zamilkł na mgnienie oka. - Chyba pan Dellimare.

- Myśli pan, że przeprowadzał inspekcję?

- W każdym razie był w pierwszej ładowni, kiedy zszedłem przez luk kontrolny. Sądziłem, że zamierza zrobić to samo co ja.

- Rozumiem - odparł Holland po krótkim zastanowieniu.

- Ale to należało do obowiązków któregoś z oficerów. Dziwne, żeby właściciel musiał osobiście sprawdzać stan ładunku. Czy może pan to wytłumaczyć?

Patch potrząsnął głową.

- A jakim człowiekiem był pan Dellimare? Jakie zrobił na panu wrażenie?

„Teraz - myślałem - teraz powie im prawdę”. Dotąd brakło mu sposobności. On jednak stał bez słowa, bardzo błądy, z nerwowym tikiem w kąciku ust.

- A oto, do czego zmierzam - podjął Holland. - Mamy noc szesnastego marca. Tej nocy Dellimare znika... za burtą. Czy było panu wiadome, że podczas wojny służył w marynarce wojennej?

Patch przytaknął.

- Pływał na korwetach i fregatach, głównie po Atlantyku. Musiał przeżyć niejedną sztorm. - Po wymownej pauzie Holland uzupełnił: - Jakie wrażenie zrobił na panu, kiedy dowiedzieliście się, że grozi wam sztorm? Czy zachowywał się normalnie?

- Raczej tak - Patch mówił teraz bardzo cicho.

- Ale nie jest pan pewien?

- Niezbyt dobrze go znałem.

- Z górą miesiąc spędziliście na jednym statku. Żeby nie wiem ile przesiadywał w swojej kabinie, musiał się pan zorientować co do jego usposobienia. Czy miał jakieś kłopoty?

- Tak. Chyba tak.

- Finansowe czy osobiste?

- Nie wiem.

- Spytałem więc otwarcie: Czym pan sobie tłumaczył, że przeprowadza inspekcję w ładowni?

- Niczym. - Patch odzyskał głos i udzielał rzeczowych, jasnych odpowiedzi.

- Co mu pan mówił?

- Żeby nigdy więcej nie schodził do ładowni.

- Dlaczego?

- Bo nie powinien. Nie on ponosi odpowiedzialność za ładunek.

- Słusznie. Sformułujemy to inaczej: Czy pana zdaniem jego obecność w ładowni dowodziła strachu, rozstroju nerwowego? Po storpedowaniu okrętu w czasie wojny długo oczekiwał w wodzie ratunku. Czy nie uważa pan, że przeżycia wojenne mogły odegrać tu jakąś rolę?

- Nie, nie uważam... Nie wiem...

Holland zawahał się, wzruszył lekko ramionami. On szukał prawdy traktując zeznania świadków jako podstawę do gruntownej analizy sprawy. Teraz jednak zmienił taktykę. Z całą satysfakcją pozwolił Patchowi odtworzyć historię tej nocy, kiedy to „Mary Deare” utknęła w miotanych wiatrem wodach Zatoki Biskajskiej - nie pytając o nic, nie przerywając, po prostu pozostawiając opowieść Patcha jej własnemu biegowi.

A Patch mówił dobrze; korzystając z podniosłej ciszy, jaka zapanowała na sali, podawał fakty mocnymi, treściwymi zdaniami.

„Mary Deare” wpłynęła na salę sądową pokryta rdzą, zmasakrowana, w kaskadzie fal rozbijających się z hukiem o zanurzony dziób.

Obserwowałem jego twarz, kiedy to mówił wprost z ławy świadków - oko w oko z sędzią - i cały czas miałem niejasne wrażenie, że wokół czegoś kluczy. Spojrzałem na

przewodniczącego. Siedział lekko podany do przodu, z podbródkiem opartym na prawej ręce, słuchając z zaciśniętymi ustami i wyrazem skupienia na twarzy, która w najmniejszym stopniu nie zdradzała jego uczuć.

Fakty, tak jak je Patch podawał, były proste: stały spadek ciśnienia, morze coraz bardziej wzburzone, wzmagający się wiatr i statek, który płynął powoli, ale bez przerwy i według kursu, z zalanymi pokładami, to wydźwigany na grzbiety potężnych fal, to znów ciskany w przepaść.

Był na mostku od zmroku. We dwójkę z Rice'em nie licząc sternika i wachtowego.

Stało się to koło dwudziestej trzeciej dwadzieścia - niewielka eksplozja, wstrząs. Wyglądało tak, jak gdyby następna z kolei fala uderzyła o dziób, z tą różnicą, że nie było widać piany ani nie czuło się charakterystycznego „potknięcia” statku. Po prostu wznosił się powoli jak zwykle. Fala przyszła za chwilę, a wraz z nią typowe wahnięcie, huk uderzenia i nagły obłok bieli, która skryła całą przednią część parowca.

Jakiś czas nikt się nie odzywał, aż wreszcie poprzez ryk szkwału przedarł się głos Rice'a: „Czyśmy w coś uderzyli?”

I wtedy posłał Rice'a, żeby sprawdził zęzy. Meldunek brzmiał: „Woda w obu przednich ładowniach, głównie w pierwszej”, kazał więc uruchomić pompy, sam zaś stał na mostku i obserwował, jak dziób powoli robi się coraz cięższy, a morze stopniowo wdziera się na przedni pokład.

Przyszedł Dellimare, blady, wystraszony. Za nim Higgins. Mówili coś o opuszczeniu statku. Myśleli, że toniemy. Wrócił Rice z wiadomością, że wśród załogi wybuchła panika.

Zostawił na mostku Higginsa i poszli z Rice'em na górny pokład. Czterech ludzi w pasach ratunkowych usiłowało spuścić trzecią szalupę. Byli przerażeni; musiał jednego z nich uderzyć i dopiero wtedy wrócili na stanowiska. Zebrał wszystkich, których mógł znaleźć, coś około dziesięciu, i kazał im pod kierunkiem bosmana i trzeciego mechanika podeprzeć gródź między drugą ładownią a kotłownią. Właśnie kiedy doglądał tych robót, przyszedł meldunek, że sterówka jest pełna dymu. Wziął ze sobą sześciu ludzi; kiedy doszli do sterówki, zastali tylko sternika, który z załzawionymi oczami, dusząc się i kaszląc, prowadził statek poprzez narastający sztorm.

Ogień wybuchł w radiokabinie, trochę powyżej sterówki i za mostkiem. Nie, nie ma pojęcia, jak to się stało. Radiooperator zszedł na dół po kamizelkę ratunkową i został dłużej, żeby napić się kakao. Higgins poszedł na rufę sprawdzić urządzenia sterowe, które wydawały się trochę szwankować. Nie, nie wie, gdzie był wtedy Dellimare. Żałuje bardzo, że wśród uratowanych nie ma sternika.

Do gaszenia używali gaśnic pianowych, ale żar był taki, że nie mogli wejść do środka. Ostatecznie wyręczyła ich fala, która wdarła się przez częściowo zawalony dach i zalała płomienie.

Wiatr wiał wtedy z siłą 12° w skali Beauforta, a chwilami przybierał siłę huraganu. Stanęli w dryf, dziobem do wiatru; maszyny pracowały na wolnych obrotach, a on prosił Boga, żeby walące w dziób kaskady wody nie zmiażdżyły pokryw przednich luków. Stali tak w strasliwym niebezpieczeństwie przez czternaście godzin. Pompy pracowały bez przerwy, podczas gdy oni z Rice'em obchodzili cały statek, by sprawdzić, czy gródź przeciekająca u podstawy, tam gdzie napór wody był silniejszy, została właściwie podparta, by przeciwdziałać ewentualnej panice wśród załogi oraz dopilnować, żeby wszyscy byli na swoich stanowiskach i pomagali statkowi w walce z żywiołem.

Około szóstej, po dwudziestu dwóch godzinach bez snu, Patch poszedł do swojej kabiny. Wiatr już wtedy przycichł, a barometr zaczynał iść w górę. Położył się w ubraniu. Po dwóch godzinach obudził go Samuel King, steward rodem z Jamajki, oznajmiając, że pan Dellimare przepadł.

Cały statek został przeszukany, ale bez skutku. Dellimare po prostu znikł.

- Jedyne, co mi się nasunęło, to to, że go zmyło za bur tę - powiedział Patch i zamilkł, jak gdyby oczekując Hollanda jakiegoś pytania, na co Holland zapytał go, czy przeprowadził dochodzenie w tej sprawie.

- Tak. Każdy z członków załogi musiał złożyć zeznanie przed panem Higginsem, panem Rice'em i przede mną. Zgodnie z tym, co dało się ustalić, ostatnią osobą, która widziała pana Dellimare'a, był steward. Widział on, jak pan Dellimare opuszczał swoją kabinę i szedł na górny pokład wiodący na rufę. Było to około wpół do piątej.

- A potem nikt już go nie widział?

Patch zawahał się:

- O ile wiem, nie.

- Górny pokład był pokładem szalupowym, prawda?

- Tak.

- Czy wychodzenie na ten pokład groziło jakimś niebezpieczeństwem?

- Nie wiem. Byłem wtedy na mostku, przy pożarze.

- Rozumiem, ale jak pan uważa, czy to mogło być niebezpieczne?

- Nie, nie przypuszczam. A zresztą trudno powiedzieć. Woda wdzierwała się na wszystkie pokłady.

- Na rufę też?

- Też.

- A pan Dellimare poszedł na rufę?

- Tak twierdził King.

Holland zrobił pauzę, a następnie zapytał:

- A czy nie domyśla się pan, dokąd mógł pójść pan Dellimare?

- Nie.

- Czy w świetle tego, co pan mówił poprzednio, pan Dellimare mógł pójść na rufę, by sprawdzić zabezpieczenie tylnych luków ładowni?

- Niewykluczone, ale nie było potrzeby. Sprawdziłem je sam.

- Ale jeżeli rzeczywiście poszedł w tym celu, czy oznacza to, że musiał zejść na dolny pokład rufowy?

- Mógł sprawdzić stan tych luków z końca górnego pokładu.

- Jeśli jednak zszedł na dół, czy groziło to niebezpieczeństwem?

- Tak. Myślę, że tak. Obydwa dolne pokłady były zalewane przez fale.

- Rozumiem. I wtedy widziano go po raz ostatni?

Na sali zapanowała cisza. Stary statek z dziobem wymierzonym wprost w huragan i ciało ludzkie ciśnięte w spienione fale na pastwę rozszalałego morza - taki obraz stanął każdemu przed oczami. Jego tajemnica zahipnotyzowała wszystkich. Za mną ktoś szlochał.

Patch podjął opowieść. Głos miał nerwowy i nierówny, nabrzmiały tragedią przeżywaną jedynie w wyobraźni, a nie w oczyszczającej, leczniczej atmosferze słonego wiatru i piany.

Siła wiatru spadła, a wraz z nią fala i o dwunastej czterdzieści trzy, zgodnie z notatką w dzienniku okrętowym, zarządził „pół naprzód” i wrócił na kurs. Następnie kazał uruchomić ręczne pompy i gdy tylko dziób z wolna zaczął się wynurzać, posłał grupę ludzi pod dowództwem Rice’a do naprawy uszkodzonych pokryw przednich luków.

Zastanawiał się, czy nie zawinąć do Brestu, ale wobec poprawy pogody i zadowolającej pracy pomp zdecydował się w końcu płynąć poprzednim kursem i wczesnym rankiem osiemnastego okrążył Ushant. Zwiększył wtedy obroty maszyn do szybkości ekonomicznej. Martwa fala jeszcze ciągle była znaczna, ale morze uspokoiło się prawie zupełnie i wiatr ucichł. Mimo to trzymał się francuskiego wybrzeża na wypadek jakiejś nagłej zmiany w stanie przednich luków. O trzynastej trzydzieści cztery mieli na trawersie Ile de Batz, o szesnastej dwanaście latarnię Triagoz, a o siedemnastej dwadzieścia jeden SeptIles. Odczytywał te czasy z dziennika okrętowego. O dziewiętnastej czterdzieści sześć poprzez lekką mgłę dostrzegli o jakieś cztery rumby w prawo od dziobu grupę świateł na Les Heaux.

Zmienił wtedy kurs na 33°. W ten sposób powinni opłynąć rafy Bamouic i Les Roches Douvres po stronie zewnętrznej, mijając Les Hanois - latarnię na południowozachodnim cyplu Guemsey - w odległości około czterech mil z prawej burty. Zmieniwszy kurs poinformował oficerów, że zdecydował zawinąć do Southampton celem poddania statku inspekcji i naprawom. Około dwudziestej pierwszej dwadzieścia, kiedy steward właśnie zbierał naczynia po wieczornym posiłku, który Patch spożywał jak zwykle sam, w swojej kabinie, usłyszał krzyki i po chwili wpadł Rice z wiadomością, że rufowa ładownia w ogniu, a cała załoga ogarnięta paniką.

- Czy był jakiś szczególny powód do paniki? - zapytał Holland.

- Oni uważali, że statek jest pechowy - odpowiedział Patch. - W ciągu ostatnich dwóch dni często słyszałem to słowo.

- A co pan myślał? Czy pan też tak uważał?

Patch zwrócił się do przewodniczącego sądu i ławników.

- Nie - odparł. - Ja przypuszczam, że była to celowa próba zniszczenia statku.

Szmer zainteresowania przebiegł salę. Ale Patch nie zakończył swojej myśli żadnym konkretnym zarzutem. Powiedział po prostu:

- To byłby zbyt dziwny zbieg okoliczności: uszkodzone ładownie i jednocześnie pożar w radiokabinie...

- Jest pan przekonany, że to była eksplozja, tam w pierwszej ładowni? - zapytał Holland.

Patch odparł z wahaniem:

- Tak, myślę, że tak.

- No, a radiokabina?

- Jeżeli to była eksplozja, należało unieruchomić radiokabinę, to był mój jedyny środek łączności ze światem.

- Rozumiem. - Holland zamilkł na chwilę; następnie podjął: - A więc konkretnie: twierdzi pan, że na statku był ktoś, kto usiłował go zniszczyć, tak?

- Tak.

- A kiedy usłyszał pan, że płonie trzecia ładownia, czy od razu pan pomyślał, że to następna akcja zmierzająca do zniszczenia statku?

- Tak, od razu.

- I trwa pan w tym przekonaniu?

Patch skinął głową.

- Tak.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że to bardzo poważny zarzut?

- Tak, zdaję sobie sprawę.

Przez chwilę panowała absolutna cisza. Następnie odezwał się Holland:

- Na pokładzie „Mary Deare” było trzydziestu dwu ludzi. Celowe wywołanie pożaru narażało ich wszystkich na śmierć. A to jest równoznaczne z usiłowaniem morderstwa.

- Tak.

- Czy mimo to w dalszym ciągu pan twierdzi, że ogień został podłożony celowo?

- Tak twierdzę.

Następne pytanie było nieuniknione.

- Kogo pan podejrzewa? - rzucił Holland, a Patch zawahał się.

Wyciągać teraz tę historię z propozycją Dellimare’a było bezcelowe. Dellimare nie żył. Nie mógł więc wywołać pożaru i jedyne, co Patch był w stanie powiedzieć, to to, że pochłonięty ratowaniem statku nie zdążył sprecyzować swego podejrzenia.

- Od tej pory jednak musiał pan przecież o tym myśleć?

- Owszem, myślałem. - Patch patrzył teraz wprost na sędziego i ławników. - Ale uważam, że decyzja należy do sądu.

BowenLodge potakująco skinął głową i Holland powrócił do wypadków, które nastąpiły po wybuchu pożaru.

A więc obydwaj z Rice’em zorganizowali ekipę przeciwpożarową. Nie, Higginsa nie było. Miał akurat wachtę. Był tylko drugi mechanik, radiooperator i bosman. Wyciągnęli węże i przez luk kontrolny skierowali strumień na płomień usuwając jednocześnie część pokrywy głównego luku. Zdjęli również część pokrywy luku czwartego, na wypadek gdyby trzeba było doprowadzić wodę do grodzi między dwiema ładowniami. Później włazem kontrolnym zszedł do ładowni czwartej.

- W jakim celu?

- Żeby zobaczyć, jak dalece rozgrzana jest gródź. Nie chciałem, żeby ogień rozszerzył się i na rufę. A poza tym ponieważ ta ładownia była wypełniona tylko częściowo przypuszczałem, że na podstawie stopnia rozgrzania blach będę mógł wywnioskować, jak groźny jest pożar i jakie przybrał rozmiary.

- No i cóż pan stwierdził?

- Że pożar wybuchł niedawno. Gródź nie była nawet jeszcze gorąca. Ale o tym przekonałem się dopiero później.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Wyjaśnił następnie, jak został ogłuszony, właśnie w momencie, gdy stanął na ostatnim stopniu pionowego trapu. Mówił tymi samymi słowami, którymi opowiadał tę historię mnie, w swojej kabinie na „Mary Deare”. Kiedy skończył Holland zapytał:

- I jest pan pewien, że to nie wypadek? Może... pan się pośliznął?

- Jestem pewien.

- A może coś spadło panu na głowę? Jakiś kawał metalu?

Patch wskazał świeżą jeszcze bliznę na szczęce i stwierdził że wypadek był wykluczony.

- A kiedy pan odzyskał przytomność, czy leżała w pobliżu pana jakaś broń, którą napastnik mógł się posłużyć?

- Nie, nie przypuszczam. Ale nie jestem pewien. Wszędzie unosiło się pełno dymu, byłem oszołomiony, na wpół uduszony.

- Przypuśćmy, że ktoś z członków załogi, kto żywił do pana niechęć, zszedł za panem aż na dół i... uderzył pana pięścią. Załóżmy...

- Musiał to być w każdym razie ktoś bardzo silny. Patch spoglądał wprost na Higginsa. Zaczął opowiadać dalej.

Kiedy odzyskał przytomność, w dalszym ciągu słyszał krzyki załogi, która spuszczała łodzie. Wdrapał się z powrotem po trapie do luku kontrolnego, którego pokrywa okazała się zamknięta i zaryglowana. Uratował go fakt, że część pokrywy głównego luku została usunięta, zdołał więc ustawić piramidę z bel bawełny, po której wydostał się na pokład. Szalupa trzecia zwisała smętnie z wyciągu, pozostałe żurawiki świeciły pustkami. Maszyna wciąż pracowała, pompy działały, a węże doprowadzały wodę do trzeciej ładowni. I ani śladu załogi.

Była to historia nieprawdopodobna, wprost nie do wiary. Opowiadał dalej, jak samotnie, bez niczyjej pomocy, ugasił ogień i jak następnego dnia rano spotkał zupełnie obcego człowieka spacerującego po statku.

- To był pewnie pan Sands z jachtu „Wiedźma Morska”?

- Tak.

- Czy mógłby nam pan wyjaśnić, dlaczego nie chciał pan przejść razem z nim na jacht?

- Nie widziałem powodu, żeby opuszczać statek. Wprawdzie dziób był silnie zanurzony, ale nie groziła nieodwołalna katastrofa. Myślałem, że Sands zawiadomi władze, a moja obecność na statku ułatwi ekipie ratowniczej wzięcie go na hol..

Następnie opowiedział o moich nieudanych próbach dostania się na jacht, o tym, jak wciągnął mnie z powrotem na pokład i jak razem usiłowaliśmy wydrzeć statek wzmagającemu się sztormowi, jak uruchomiliśmy maszynę i pompy, cały czas starając się utrzymać „Mary Deare” rufą do wiatru.

Ani słowem jednak nie wspomniał o Minkach. Zgodnie z jego relacją opuściliśmy wreszcie statek w gumowej dingi znalezionej w kabynie Dellimare’a, gdy „Mary Deare” była o krok od zatonięcia. Niestety, nie może podać dokładnej pozycji parowca; w każdym razie musi leżeć gdzieś na wschód od Les Roches Douvres. Nie, nie widzieliśmy, jak tonie. Dingi? Tak, rzeczywiście wskazywałaby na pewną nerwowość Dellimare’a i brak zaufania do szalup i stanu statku.

- Dwa ostatnie pytania - powiedział Holland. - Pytania bardzo ważne dla pana i dla wszystkich w jakikolwiek sposób związanych ze sprawą. - Umilkł na chwilę. - Proszę się zastanowić, czy jest pan całkowicie przekonany, że zalanie ładowni pierwszej zostało spowodowane eksplozją? pozwolę sobie nadmienić, że w okolicznościach towarzyszących wypadkowi było prawie niemożliwe stwierdzić: całą pewnością, że nie była to na przykład jakaś skała podwodna, ewentualnie fala, która uderzyła w dziób.

Patch zawahał się, spojrzał po zebranych.

- To z całą pewnością nie była fala - powiedział spokojnie. - Fala uderzyła o dziób w chwilę później. Czy zaś wpadliśmy na skałę, czy też został podłożony materiał wybuchowy... sprawę tę mogłaby rozstrzygnąć jedynie inspekcja.

- Słusznie. Skoro jednak statek leży prawdopodobnie na głębokości dwudziestu sążni, i to nie wiadomo dokładnie gdzie, zbadanie szkód jest wykluczone. Chciałbym zatem usłyszeć pańską opinię.

- Nie mogę powiedzieć nic ponad to, co już powiedziałem. Nie jestem pewien.

- Przypuszcza pan jednak, że to była eksplozja? - Holland zaczekał chwilę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, podjął: - Biorąc pod uwagę pożar w radiokabinie a następnie w rufowej ładowni i traktując te dwa wydarzenia łącznie, czy skłaniałby się pan mimo wszystko do teorii, że była to eksplozja?

- Tak.

- Dziękuję. - Holland usiadł, ale nawet wtedy nikt się nie poruszył. Nie było słychać szeptów ani szurania butami. Cała sala zamarła jak gdyby pod hipnozą, wreszcie wstał sir Lionel Falcett.

- Panie przewodniczący, byłbym zobowiązany, gdyby pan zechciał zadać świadkowi parę dodatkowych pytań. - Falcett był niewielkim łysiejącym mężczyzną o wysokim czole; na

oko zupełnie pospolity, gdyby nie dźwięczny, odznaczający się niezwykłą głębią tonu głos, który pozwalał domyślać się ogromnej energii i żywotności. To nie człowiek, a właśnie jego głos. nieustannie dominował nad salą sądową.

- Świadek jasno postawił sprawę. Jest przekonany, że celowo usiłowano zatopić statek. I rzeczywiście wszystkie fakty, tak jak je przytoczył sądowi, wobec braku jakichkolwiek dowodów rzeczowych, zdają się potwierdzać jego przypuszczenie. Chciałbym jednak zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na fakt, że wartość samego statku nie usprawiedliwiałaby tak wypracowanego spisku, wobec czego należałoby przyjąć, że o ile spisek taki w ogóle istniał, celem jego było nielegalne uzyskanie odszkodowania za ładunek. Jednocześnie podkreślam, że korzyść z tego podłego i morderczego spisku byłaby wyłącznie finansowa, o ile istotnie ładunek został zamieniony przed zatonięciem statku.

BowenLodge skinął głową.

- Całkowicie rozumiem pański punkt widzenia. - Sir Lionel spojrzął na zegar w drugim końcu sali, ponad galerią dla publiczności. - Jakże ma pan pytanie?

- Dotyczy ono okresu, kiedy statek stał zacumowany do beczki obok „Torre Annunziata” u ujścia Irawadi - odparł sir Lionel. - Według moich informacji załoga „Mary Deare” dostała pozwolenie zejścia na ląd, podczas gdy na „Torre Annunziata” płonęły światła, a wszystkie windy ładunkowe były w ruchu. - Spojrzął na Hollanda. - Rozumiem, że tego rodzaju oświadczenie zostanie złożone później. Wyniknie z niego, iż odpowiedni urzędnik został powiadomiony przez kapitana „Torre Annunziata” o usunięciu ładunku celem zrobienia miejsca dla stalowych rur, które mieli zabrać. - Sir Lionel Falcett odwrócił się do BowenLodge’a. - Chciałbym wiedzieć, Wysoki Sądzie, czy po przybyciu na statek świadek słyszał, żeby któryś z oficerów mówił coś na ten temat. Czy, jednym słowem, sprawa ta była przedmiotem jakichkolwiek komentarzy?

Pytanie zostało postawione i Patch odpowiedział, że słyszał o tym od Rice’a, sam zaś nie przywiązywał wtedy jeszcze do tego żadnej wagi.

- A teraz pan przywiązuje? - podsunął sir Lionel.

Patch potaknął.

- I jeszcze jedno pytanie: Może świadek mógłby nam powiedzieć, czy pan Dellimare robił kiedykolwiek uwagi na temat ładunku?

Patch odpowiedział przecząco i sir Lionel zapytał:

- Czy nigdy nikt nie sugerował panu, że ładunek może być niezgodny z manifestem?

- Nie.

- Sformułuję to inaczej: Załoga statku to mała, zwarta grupa ludzi. W każdej zamkniętej społeczności tego typu plotka roznosi się błyskawicznie. Czy po przybyciu na tatek słyszał pan jakieś pogłoski na temat ładunku?

- Niektórzy byli zdania, że wieziemy materiały wybuchowe - odparł Patch. - Opinia ta szerzyła się, mimo iż wywiesiłem egzemplarz manifestu na tablicy ogłoszeń.

- Uważał pan, że to niebezpieczne, jeśli będą myśleli, że mają pod sobą ładunek materiałów wybuchowych?

- Tak uważałem.

- Ze względu na rodzaj pańskiej załogi?

- Tak.

- Czy sądzi pan, że taka pogłoska byłaby wystarczająca, by na wieść o pożarze wywołać wśród załogi panikę?

- Być może.

- W rzeczy samej to Rice zameldował o wybuchu panu. - Sir Lionel pochylił się do przodu patrząc na Patcha. - W jaki sposób ta dziwna pogłoska obiegła cały statek?

Patch mimo woli spojrzął na następnego świadka.

- Nie przypuszczam, by Higgins myślał kiedykolwiek że naprawdę wieziemy ładunek wykazany w manifeście.

- A więc uważał, że są to materiały wybuchowe, tak? Coś podsunęło mu to przypuszczenie?

- Nie wiem.

- Czy pan go o to pytał?

- Pytałem.

- Kiedy?

- Zaraz po okrążeniu Ushant.

- Co odpowiedział?

- Odmówił odpowiedzi.

- Jakimi słowami? Proszę powtórzyć dokładnie.

- Jakimi słowami?

- Tak.

- Powiedział, że równie dobrze mogę spytać Taggarta albo Dellimare'a, a od niego mam się odczepić. Obydwaj oczywiście już nie żyli.

- Dziękuję. - Sir Lionel ostrożnie zajął swoje miejsce.

BowenLodge ponownie spojrzął na zegar i odroczył posiedzenie.

- O drugiej, proszę państwa. - Wstał, a wraz z nim cały sąd. Zniknął w drzwiach za krzesłem sędziego, odprowadzany przez trzech ławników.

Kiedy zbierałem się już do wyjścia, stwierdziłem, że pani Petrie siedzi tuż za mną. Obdarzyła mnie słabym uśmiechem. Twarz miała nalaną i bladą pod makijażem, a oczy zaczerwienione. Gundersen był tu także. Siedział koło niej, a teraz posuwał się wzdłuż rzędu ławek i mówił coś do Higginsa. Wyszła sama.

- Kto to jest ta kobieta? - spytał Hal.

- Jeden z dyrektorów Dellimare'a - odparłem, a następnie opowiedziałem mu o swojej wizycie w biurze Spółki. - Wygląda na to, że żyła z Dellimare'em - dodałem.

Na zewnątrz słońce odbijało się w mokrych od deszczu ulicach. Widok zwykłych ludzi, którzy nie wiedzieli nic o „Mary Deare”, zajętych swoimi codziennymi sprawami, stanowił pewien wstrząs.

Patch stał samotnie na brzegu chodnika. Najwyraźniej czekał na mnie, bo podszedł od razu.

- Chciałbym zamienić z panem parę słów, panie Sands - rzekł głosem zachrypłym od długiego mówienia. Jego twarz robiła wrażenie wysuszonej.

Hal oświadczył, że idzie do hotelu, gdzie postanowiliśmy zjeść lunch, i Patch śledził go bawiąc się pieniędzmi w kieszeni. Gdy tylko Hal znalazł się poza zasięgiem głosu, zaczął:

- Mówił pan, że wasz jacht nie będzie gotów przed końcem miesiąca. - Powiedział to tonem oskarżenia, pełnym złości i wyrzutu.

- Tak - odparłem. - Jest gotów o tydzień wcześniej, niż przypuszczałem.

- Dlaczego nie dał mi pan znać? W ubiegłą środę byłem w sądzie, ale was już nie było. Dlaczego nic mi pan nie powiedział? - Po chwili wybuchnął: - Potrzebny mi był tylko jeden dzień. Jeden dzień, żeby się tam dostać! - Spojrzał na mnie dosłownie zgrzytając zębami. - Czy pan nie rozumie? Jeden rzut oka na otwór w kadłubie... i wiedziałbym wszystko! Mógłbym wtedy powiedzieć całą prawdę! tak... - w jego oczach pojawił się dziki wyraz jak i osaczonego zwierzęcia -...a tak ja nawet nie wiem, co mówię, sam nie wiem, jaki dołek pod sobą kopię. Jeden dzień! Nic więcej!

- Ależ pan mi wcale tego nie powiedział - odparłem. - W każdym razie dobrze pan wie, że tego rodzaju inspekcji dokonują władze.

Mimo to potrafiłem zrozumieć, jak bardzo zależało mu na tym, aby się upewnić i dowieść, że jego podejrzenia były uzasadnione.

- Trzeba być dobrej myśli, wszystko się wyjaśni - uspokajałem go, klepiąc po ramieniu.

- Mam nadzieję - powiedział przez zęby. - Daj Boże, żeby się pan nie mylił. - Patrzył na mnie, a jego oczy błyszczały jak rozżarzone węgle. - I cały ten wysiłek, żeby osadzić na Minkach... na marne. O Boże! Przecież mógłbym... - Zamilkł, a jego oczy, które patrzyły gdzieś bokem, rozszerzyły się nagle. Kiedy się odwróciłem, postrzegłem Janet Taggart zmierzającą wprost ku nam.

Kiedyś widziałem obraz zatytułowany „Zemsta”. Nie pamiętam w tej chwili autora; zresztą to nie ma znaczenia, tym bardziej że nie było to arcydzieło. W każdym razie Zemstę winno się malować tak, jak wyglądała wtedy Janet Taggart. Była blada jak śmierć, a w białej kamiennej twarzy oczy wydawały się ogromne. Stała dokładnie na wprost Patcha i uderzyła na ślepo.

Nie przypominam już sobie jej słów; wyrzucała je w jakiejś kaskadzie krótkich, urywanych zdań. Widziałem jeszcze, jak oczy Patcha zamarły, kiedy cofał się przed biczem jej języka, po czym odszedłem szybko, chcąc jak najprędzej wymazać z pamięci obraz tych dwojga. Wątpię, czy zdawała sobie sprawę, jak bardzo mogła zranić tego człowieka.

Zjedliśmy szybko lunch i wróciliśmy do sądu, gdzie punkt druga BowenLodge zajął miejsce sędziego. W łoży prasowej siedziało pięć osób. Zlatywali się jak sępy czując sensację.

- Za pańskim pozwoleniem, panie przewodniczący - powiedział Holland wstając - proponuję powołać innego świadka w celu uzyskania przez sąd pełnego obrazu.

BowenLodge potaknął.

- Uważam to za bardzo słuszną propozycję, panie Holland, niemniej pański pierwszy świadek musi pozostać na sali. Przedstawiciele zainteresowanych stron z pewnością będą mieli jakieś dalsze pytania.

Przypuszczałem, że następnym świadkiem będzie Higgins, Holland wywołał jednak: - Harold Lowden - i nagle zdałem sobie sprawę, że dotąd jeszcze nie zdecydowałem się, co mam mówić.

Hal stał w ławie świadków wyprostowany po wojskowemu i krótko, zwięźle opowiadał, jak natknęliśmy się na „Mary Deare” i jak następnego ranka znaleźliśmy ją opuszczoną.

Kiedy skończył, nadeszła moja kolej. Automatycznie przemierzyłem salę i zająłem miejsce w ławie świadków. Byłem pokryty zimnym potem.

Powtórzyłem słowa przysięgi, po czym Holland zwrócił się do mnie, gładki, wytworny, i swoim miękkim, zmęczonym głosem zapytał, czy to ja jestem John Sands, jaki jest mój zawód i miejsce urodzenia i skąd wziąłem się na jachcie „Wiedźma Morska” w tym

rejonie Kanału w nocy 18 marca, Odpowiadając wyczuwałem w swoim głosie nerwowość. Na sali panowała kompletna cisza. Małe świdrujące oczka BowenLodge'a śledziły mnie, a Holland stał przede mną gotów w każdej chwili podsunąć mi jakieś pytanie, przebadac gdyby zaistniała potrzeba.

Poprzez salę widziałem Patcha, który siedział wysunięty nieco do przodu, sztywny, wyprostowany, ze splecionym rękami. Jego oczy zawisły na mojej twarzy.

Właśnie mówiłem o tym, jak wyglądała „Mary Deare” tego rana, kiedy dostałem się na jej pokład, gdy nagli powziąłem decyzję. Gdybym im powiedział, że statek został osadzony na Minkach, Patch okazałby się kłamcą. Straciłby grunt pod nogami. Nie mogłem tego zrobić. Przypuszczam, że cały czas zdawałem sobie z tego sprawę, ale - co najdziwniejsze - zdenerwowanie opuściło mnie, kiedy się już zdecydowałem.

Wiedziałem, co mam powiedzieć. Zacząłem opisywać Patcha takim, jakiego widziałem w ciągu tych tragicznych godzin: przewracającego się z wyczerpania człowieka, który samodzielnie, bez niczyjej pomocy ugasił pożar i który dalej walczył, by ratować statek.

Mówiłem im o jego ranie, o twarzy, na której pod warstwą pyłu węglowego malowało się zmęczenie, o tym, jak wspólnie klóciliśmy się, aby uruchomić kocioł i pompy, jak z trudem utrzymywaliśmy statek rufą do wiatru i wreszcie jak morze przelewało się przez zanurzony dziób fontannami białej piany.

Na tym skończyłem dodając, że następnego dnia rano opuściliśmy „Mary Deare”.

Wtedy posypały się pytania. Czy Patch mówił coś na temat opuszczenia statku przez załogę? Czy mógłbym chociaż w przybliżeniu określić sądowi pozycję „Mary Deare”, gdy odpływaliśmy na dingi? Czy według mnie, »dyby nie było sztormu, statek mógłby dopłynąć bezpiecznie do jakiegoś portu?

Sir Lionel Falcett wstał i zadał mi te same pytania co ongiś Snetterton: o ładunek, luki, o Patcha.

- Przeżył pan z tym człowiekiem tragiczne czterdzieści osiem godzin, dzielił pan jego troski i nadzieje, z pewnością musiał panu coś mówić, robić jakieś uwagi...

Odparłem, że nie mieliśmy czasu na rozmowy, i powtórzyłem raz jeszcze o naszym wyczerpaniu, wściekłych atakach morza i stałej obawie, że lada chwila statek pod nami zatonie nagle skończyło się. Znów przemierzałem salę czując się jak wyciśnięty łachman.

Kiedy usiadłem, Hal złapał mnie za ramię.

- Wspaniale! - wyszeptał. - Zrobiłeś z niego niemal bohatera. Spójrz na łóżkę prasową! Spojrzałem. Wyludniała się spieszenie.

- Ian Fraser! - Holland znów był na nogach, a Fraser przepychał się przez salę.

Jego zeznanie było stereotypowe. Mówił o tym, jak nas znalazł. Następnie został zwolniony i poproszono Janet Taggart.

Podeszła do ławy świadków, blada jak śmierć, ale z głową podniesioną, z twarzą jak kamienna maska.

Holland wyjaśnił, że powołał ją właśnie teraz, aby jej oszczędzić przykrości wysłuchiwania dalszych zeznań na temat ojca. Łagodnie starał się ją naprowadzić na opis ojca takiego, jakim go znała: jego listy przychodzące niezmiennie z każdego portu, jego prezenty, pieniądze, które umożliwiły jej studia uniwersyteckie, i wreszcie cała troska o nią od momentu śmierci matki, gdy Janet miała siedem lat.

- Dopiero teraz, kiedy dorosłam na tyle, aby zrozumieć, jak bardzo musiał ciuć i oszczędzać, żeby dać mi wykształcenie, oceniłam, jakim wspaniałym był ojcem.

Opisała go tak, jak go widziała po raz ostatni, a następnie odczytała list pisany z Rangun. Czytała słabym, drżącym głosem, a z każdego zdania wyzierała jego miłość i troska o nią.

Przykro było tego słuchać ze świadomością, że człowiek ten już nie żyje, toteż kiedy skończyła, dało się słyszeć chrząkanie i skrzypienie krzesła.

- To byłoby wszystko, panno Taggart - powiedział Holland z uprzejmością, jaka go cechowała przez cały czas jej zeznań. Ale nie ruszyła się z miejsca. Wyjęła z torebki kartę pocztową i trzymając ją mocno w ręku patrzyła wprost na Patcha, a wyraz jej twarzy, gdy się odezwała, przejął mnie dreszczem.

- Kilka dni temu dostałam kartę z Adenu. Przeleżała się na poczcie. - Przeniosła wzrok na BowenLodge'a. - Karta jest od mojego ojca. Czy mogłabym odczytać jeden fragment?

BowenLodge skinął głową i panna Taggart podjęła:

- Ojciec pisze: „Właściciel zaangażował pewnego człowieka nazwiskiem Patch na stanowisko pierwszego oficera zamiast biednego starego Adamsa”. - Nie czytała. Ściskając kartę w ręku patrzyła wprost na BowenLodge'a. Znała ją na pamięć. - „Nie wiem, co z tego wyniknie. Mówią, że podobno już kiedyś celowo osadził statek na mieliźnie. Cokolwiek jednak się stanie, przysięgam Ci, że do tego nie przyłożę ręki. Bóg z Tobą, Jane, i myśl o mnie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, tym razem dotrzymam obietnicy zobaczę się z Tobą pod koniec podróży”. - Jej głos przeszedł w szept. Wszyscy wstrzymali oddech. Była jak byt mocno naciągnięta sprężyna, która za chwilę pęknie. Podała kartę Hollandowi.

- Świadek jest uwolniony - powiedział BowenLodge. Ale Janet Taggart odwróciła się wpatrzona poprzez salę w Patcha. Z całą namiętnością zaczęła go oskarżać o to, że chcąc się zasłonić naraził na szwank dobre imię jej ojca.

Dowiedziała się o stracie „Belle Isle”. Znała już prawdę chciała dopilnować, żeby i sąd ją poznał.

BowenLodge uderzył młotkiem w stół. W jednej chwili był przy niej Holland. Usiłował ją uspokoić. Zignorowała go jednak, a Patch siedział blady i przerażony, gdy potępiała go za pożar, za zalane wodą ładownie, za zniszczenie tatku jej ojca.

- To potwór! - szlochała, kiedy wyciągali ją z ławy świadków. I nagle osłabła, pozwoliła się wyprowadzić, wstrząsana spazmatycznym płaczem.

Na sali nastąpiło pewne odprężenie. Nikt nie patrzył na Patcha. Nikt nie patrzył w ogóle nigdzie, dopóki rzeczowy głos BowenLodge’a nie rozładował napięcia.

- Następny świadek, proszę.

- Donald Masters! - Holland znów był na swoim miejscu. Sąd podjął postępowanie. Zeznawali biegli podając szczegóły dotyczące budowy statku i jego wyposażenia, wyrażając opinie na temat jego wieku i stanu. Przedstawiali oświadczenia zaprzysiężone przez inspektora z Jokohamy i urzędnika Lloyda, który wystawiał certyfikat wolnej burty, oraz inny dokument wydany przez kapitanat portu w Rangunie, informujący o „Torre Annunziata” i jej ładunku.

Następnie Holland wywołał: - Angela Petrie - i przez całą publiczność, w przytłaczającej większości męską, przeszedł szmer zainteresowania, kiedy pani Petrie szła w kierunku ławy świadków.

Wyjaśniła, że Spółka Handlowo Okrętowa Dellimare’a została założona jako prywatna firma z ograniczoną odpowiedzialnością w roku 1947. Dellimare, Greenly i ona zajmowali stanowiska dyrektorów. Było to przedsiębiorstwo o charakterze wyłącznie handlowym, nastawione na eksport i import z Indii i Dalekiego Wschodu. Potem Greenly przestał być dyrektorem i Gundersen, który prowadził podobne przedsiębiorstwo w Singapurze, przystąpił do spółki; kapitał się zwiększył, a Spółka znacznie rozwinęła. Podawała cyfry z pamięci, pewnie i z łatwością.

- A jak się przedstawia obecna sytuacja Spółki? - zapytał Holland.

- Jest w stadium dobrowolnej likwidacji.

- Czy pierwsze kroki poczyniono jeszcze przed śmiercią pana Dellimare’a?

- O, tak, decyzja zapadła już kilka miesięcy temu.

- Jakiś szczególny powód?

Zawahała się, a następnie odparła:

- Było to korzystne ze względu na podatki.

Szmer śmiechu przebiegł przez salę i Holland usiadł. Zaraz po tym podniósł się adwokat Patcha, chudy, zasuszony człowiek o piskliwym głosie.

- Wysoki Sądzie, chciałbym zapytać, czy świadek się orientuje, że przed samym założeniem Spółki pan Dellimare był zamieszany w sprawę pewnej defraudacji?

BowenLodge skrzywił się.

- Nie uważam tego za istotne, panie Fenton - powiedział cierpko.

- Chciałabym odpowiedzieć na to pytanie - głos pani Petrie był śmiały, czysty, głęboki. - Pan Dellimare został uniewinniony. Była to złośliwa potwarz, bez cienia dowodu.

Fenton pośpiesznie usiadł, a wstał sir Lionel Falcett.

- Proszę Wysokiego Sądu, chciałbym się dowiedzieć, czy w okresie organizacji Spółka zakupywała jakieś statki?

BowenLodge postawił pytanie i pani Petrie odpowiedziała przecząco.

- Zapewne brak kapitału, prawda? - zapytał sir Lionel, a kiedy potaknęła, dodał: - W rzeczy samej przedsiębiorstwo było niewielkie.

- Tak.

- Wobec tego po cóż ta nazwa: „Spółka Handlowo Dkrętowa”? Czy nie uważa jej pani za niepotrzebnie przesadną?}

- No... widzi pan, pan Dellimare bardzo żywo interesował się statkami i jako eksmarynarz spodziewał się, że kiedyś... w każdym razie - dodała z odcieniem dumy - zakończyliśmy jako właściciele statków.

- Czy oprócz „Mary Deare” i „Torre Annunziata” osiadali państwo jeszcze jakieś inne statki?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Tylko te dwa.

Sir Lionel spojrział w papiery. - Zakupu „Mary Deare” dokonano 18 czerwca ubiegłego roku. Kiedy nabyto „Torre Annunziata”?

Po raz pierwszy pani Petrie okazała lekkie wahanie.

- Nie pamiętam dokładnie.

- Czy w kwietniu zeszłego roku?

- Nie przypominam sobie.

- Przecież jest pani dyrektorem, a ten zakup niewątpliwie »ochłonął znaczną sumę. Czy należy przez to rozumieć, że nie ma pani żadnych dokumentów dotyczących tej transakcji? - Ton sir Lionela zaostrzył się nieznacznie.

- Być może mam. Nie wiem dokładnie. W tym okresie przedsiębiorstwo rozwijało się bardzo szybko i cała ta praca została załatwiona w Singapurze - dodała śpiesznie.

- I pani nie była odpowiednio poinformowana?

Skinęła głową.

- Kiedy pan Gundersen przystąpił do Spółki?

- Drugiego marca ubiegłego roku.

- A więc obydwie te kupna były wynikiem jego przystąpienia?

- Tak. Sądzę, że tak.

Sir Lionel zwrócił się do przewodniczącego.

- Chciałbym zadać świadkowi jeszcze jedno pytanie. Jak uż Wysokiemu Sądowi wiadomo, „Mary Deare” po tym jednym rejsie miała zostać sprzedana na złom. „Torre Annunziata” odbyła tylko dwa rejsy i została sprzedana Chińczykom. Chciałbym się dowiedzieć, jaki był zysk z tych transakcji?

BowenLodge zadał pytanie, ale pani Petrie potrząsnęła głową. Nie wiedziała:

- Wobec tego, jaki był koszt kupna tych statków? - zapytał wprost sir Lionel.

- Żadne dane liczbowe nie zostały jeszcze przesłane do naszego biura.

- Prawdopodobnie nie orientuje się pani, kto wyłożył pieniądze?

Potrząsnęła głową.

- Nie... ja nie wiem, wszystko zostało załatwione w Singapurze.

Sir Lionel potaknął i usiadł. Pani Petrie została zwolniona i wróciła na miejsce.

Widziałem, że wzrok ma utkwiony w kimś siedzącym za mną. Domyśliłem się, że to Gundersen. Była blada, przerażona.

Hal nachylił się do mnie.

- Wygląda na to, że Lionel atakuje Spółkę - wyszeptał. Kiwnąłem głową. Przypuszczałem, że Patch nie wrywa się z propozycją Dellimare'a, bo czeka, aż sir Lionel zacznie go pytać. Wydawało mi się to zupełnie rozsądne. A to pytanie jego adwokata, Fentona, wypadło jakoś niezręcznie, aie widocznie było celowe.

Owionęła mnie fala perfum, kiedy pani Petrie siadała za nami. Po chwili usłyszałem zły, zimny głos Gundersena: - Dlaczegoś mu nie powiedziała? Przecież podałem ci te cyfry już kilka tygodni temu! - i jej szept: - Czy ja mogę teraz myśleć o cyfrach?

Następnie Holland wywołał:

- Hans Gundersen!

Gundersen przedstawił się jako finansista, dyrektor Spółki, i wywarł duże wrażenie na zebranych. To był człowiek interesu i wszystkie fakty i cyfry miał w małym palcu. Bez pomocy Hollanda wyjaśnił sądowi, dlaczego przystąpił do Spółki, co ich skłoniło do nabycia „Mary Deare” i „Torre Annunziata”, jak wyglądało finansowanie tych zakupów jakie były spodziewane zyski.

Swoje zainteresowanie Spółką Dellimare’a wyjaśnił suchym, rzeczowym językiem biznesu.

Prowadził liczne interesy w Singapurze i innych portach Dalekiego Wschodu. Po prostu było mu w owym czasie na rękę wziąć udział w transakcjach tego niewielkiego przedsiębiorstwa. Miał okazję kupić dwa stare statki po bardzo niskich cenach. Spodziewał się, że w przeciągu roku uda mu się sprzedać je ze znacznym zyskiem. Do przeprowadzenia tych transakcji wybrał sobie Spółkę, ponieważ znał pana Dellimare’a i wiedział, że po zlikwidowaniu tych spraw zamierza on zwinąć przedsiębiorstwo.

- Na podstawie doświadczenia stwierdziłem - dodał Gundersen - że jest to najbardziej opłacalna forma angażowania się w tego rodzaju interesy. W wypadku „Torre Annunziata” osiągnęliśmy cel. - Statek został sprzedany po cenie znacznie przewyższającej cenę kupna. „Mary Deare” jednak okazała się nie tak rentownym obiektem; była bowiem w gorszym stanie, niż się spodziewał. N rezultacie postanowiono, że odbędzie jeden rejs, a następnie zostanie sprzedana w Anglii na złom. Cena sprzedaży lałaby Spółce niewielki zysk powiększony o dochód z rejsu.

Wręczył Hollandowi kartkę papieru.

- A to są liczby aktualne i planowane - powiedział.

Holland przekazał papier BowenLodge’owi i usiadł.

Przewodniczący przejrzał dane, skinął głową i rzucił okiem w stronę sir Lionela, który wstał i zabrał głos.

- Chciałbym się dowiedzieć od świadka, kto finansował »kup tych statków i jaki był jego osobisty udział w zyskach?

BowenLodge sformułował pytanie - Gundersen odpowiedział:

- Oczywiście ja finansowałem, w zamian za co stałem się właścicielem wszystkich udziałów rozszerzonego kapitału Spółki.

- Innymi słowy - rzekł sir Lionel - motywem przyjęcia >rzez pana stanowiska dyrektora firmy był zysk?

- Naturalnie. Jestem człowiekiem interesu.

- To zrozumiałe. - Sir Lionel uśmiechnął się cierpko. - A teraz wróćmy do „Mary Deare”. Jak pan nadmienił, była w gorszym stanie, niż się pan spodziewał. Dlaczego więc powierzono jej tak wartościowy ładunek? Czy tę sprawę załatwił pan Dellimare?

- Nie. Ja to załatwiałem przez moje kontakty w Singapurze. Musi pan pamiętać, że jestem człowiekiem dobrze znanym w tamtejszych kołach handlowych.

- Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego rejsy zostały wyznaczone tak, że obydwa statki, „Mary Deare” i „Torre Annunziata”, jednocześnie stanęły u ujścia Irawadi między siódmym a jedenastym stycznia?

- Nie rozumiem celu pańskiego pytania - odparł Gundersen. - Wszelkimi szczegółami związanymi z prowadzeniem Spółki zajmował się pan Dellimare. Jeżeli jeden statek płynie z Anglii do Chin, a drugi z Japonii do Antwerpii, gdzie muszą się spotkać.

Sir Lionel zadawał dalsze pytania, ale Gundersen nie przyznał się do jakiegokolwiek odpowiedzialności za plan rejsów.

- Musi pan zrozumieć, że ja prowadzę liczne interesy, a ten był stosunkowo niewielki. I że naprawdę nie mam czasu zajmować się osobiście codziennymi sprawami wszystkich firm, z którymi mam kontakty.

- Ale jak tylko usłyszał pan, co się stało z „Mary Deare”, przyleciał pan z Singapuru samolotem i pozosta tu aż do tej chwili?

- Oczywiście. Jestem przecież dyrektorem Spółki, a to poważna sprawa. Kiedy stanie się coś złego, muszę być nę miejscu, zwłaszcza że pan Dellimare nie żyje.

- I ostatnie pytanie. Dlaczego pan Dellimare przebywa na „Mary Deare” jako supercargo?* Przecież obecnie to jest prawie nie praktykowane.

Gundersen wzruszył ramionami.

*Supercargo - osoba przebywająca na statku: reprezentuje interes wynajmującego statek i sprawuje z jego ramienia opiekę nad ładunkiem w czasie morskiej podróży i w portach.

- Pan Dellimare pojechał do Jokohamy załatwić szczegóły transakcji; przypuszczam, że nie był bogaty, więc chyba taniej mu się kalkulowało wrócić własnym statkiem.

Wobec braku dalszych pytań Gundersen opuścił ławę świadków. Miał na sobie ciemnopopielaty dwurzędowy garnitur, najwyraźniej skrojony przez londyńskiego krawca, i wyglądał jak typowy angielski biznesmen - spokojny, powściągliwy, kompetentny.

Zeznawało jeszcze paru biegłych, a następnie BowenLodge odroczył posiedzenie.

- Jutro o dziesiątej trzydzieści, proszę państwa.

Hal i ja szliśmy korytarzem, gdy ktoś pociągnął mnie za rękaw.

- Czy to pan jest pan Sands? - Drobna siwa kobieta uśmiechała się do mnie trochę niepewnie.

- Tak - odparłem. Wydawało mi się, że skądś znam tę twarz.

- Przypuszczałam, że to pan, ale nigdy nie jestem pewna; pan rozumie... wzrok. Chciałam tylko panu powiedzieć, jak jestem szczęśliwa, że on w tej całej okropnej sprawie ma chociaż jednego przyjaciela. Pan był naprawdę wspaniały, panie Sands..

I wtedy dostrzegłem podobieństwo.

- Pani jest jego matką, prawda?

Obejrzałem się za Patchem, ale zaprotestowała.

- Nie, on nawet nie wie, że ja tu jestem. Byłby okropnie zły. Kiedy przyjechał do mnie do Bridgewater, nic mi o tym nie mówił. Ale ja od razu poznałam, że jest w tarapatach - westchnęła. - Zobaczyłam go po raz pierwszy od siedmiu lat. A to bardzo długi okres, zwłaszcza dla człowieka starego jak ja. Mam tylko jego jednego, tylko Gideona. I teraz, kiedy jego ojciec zmarł... - Uśmiechnęła się i poklepała mnie po ramieniu. - A zresztą po co ma pan wysłuchiwać moich kłopotów. Chciałam tylko panu powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwa, że on ma jednego naprawdę dobrego przyjaciela. - Spojrzała na mnie. - To się na pewno dobrze skończy... tym razem... pan też tak myśli, prawda, panie Sands?

- Z całą pewnością - wymamrotałem. - Sir Lionel Falcett najwyraźniej główny nacisk kładzie na ładunek i na Spółkę.

- Tak, tak. Ja też tak uważam.

Ofiarowałem się, że ją odprowadzę do hotelu, ale nie chciała nawet o tym słyszeć i znikła mi w tłumie z uśmiechem nadziei na twarzy.

Hal zrównał się ze mną i poszliśmy do jego samochodu. Mignęła mi jeszcze, jak stała czekając na autobus, samotna i wystraszona.

Hal zaprosił mnie na noc do siebie, więc wzięliśmy ze stacji moją walizkę i pojechaliśmy do Bosham, do małego domku krytego strzechą, z dużym trawnikiem schodzącym aż do wody.

W Southampton kupiłem wieczorną gazetę. Całą pierwszą stronę i trzy szpalty w środku zajmował artykuł: „Córka kapitana mdleje w czasie rozprawy; dziwne zaginięcie »Mary Deare«,».

Dopiero po obiedzie Hal zaczął wypytywać mnie szczegółowo o Patcha. Na koniec powiedział:

- Tego dnia, kiedy dołączyłeś do nas w Peter Port, wiele onim nie mówiłeś.

Stał w oknie i patrzył poprzez trawnik na wodę, która wyglądała w mroku jak mleczna mgła. Stało tam kilka jachtów na kotwicach, a ich maszty kołysały się na fali w takt porywów wiatru.

Nagle odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Wiedziałaś już wtedy o „Belle Isle”, prawda? Kiwnąłem głową ciekaw, co będzie dalej. Przytulny był ten pokój z lampami, połyskiem wschodnich mosiądzów iwielkimi tygrysimi skórami na podłodze - taki daleki od wszystkiego, co mnie otaczało przez ostatnie dwa miesiące. Nawet kieliszek porto w moim ręku stwarzał złudzenie jakiegoś innego świata.

Hal podszedł i usiadł naprzeciw mnie.

- Słuchaj, stary - zaczął - nie chciałbym się wtrącać w twoje sprawy. Ale... czy ty możesz ręczyć za tego faceta?

- Co masz na myśli?

- No, rozumiesz, trzeba być kogoś bardzo pewnym... To znaczy... - zawahał się szukając odpowiednich słów. - Powiedzmy w ten sposób: Jeżeli Patch rozbił ten statek... celowo go uszkodził... to to jest morderstwo. Z punktu widzenia prawa może być oskarżony o zabójstwo, ale wobec Boga winien jest morderstwa.

- On tego nie zrobił.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. - Usiadłem wygodniej i pograżyłem się w zadumie. Dlaczego to powiedziałem? Skąd miałem taką pewność?

- To dobrze - odparł Hal. - Bo widzisz, cały czas, jak zeznawałeś, miałem przeświadczenie, że ty go bronisz. Że starannie dobierasz swoje zeznania przemilczając niektóre fakty; chwilami robiłeś nawet wrażenie przestraszonego. Ale nie przejmuj się, z pewnością nikt prócz mnie tego nie zauważył. Ja to wyczułem, dlatego że cię znam i dlatego że wtedy w Peter Port, kiedy miałeś mniej czasu, żeby to wszystko przemyśleć, tak wyraźnie to ukrywałeś - przerwał i pociągnął porto. - Ale bądź ostrożny - dodał. - Ja znam Lionela Falcetta. Jest członkiem tego samego klubu co ja. - Widywałem go już w akcji. Stężej się jego pazurów.

III

Wiało w dalszym ciągu i ulice były mokre, kiedy nazajutrz rano jechaliśmy do sądu.

Rozprawa zaczęła się punktualnie o dziesiątej trzydzieści zeznaniami dotyczącymi ładunku. Następnie poproszono lekarza, który wykazał, że śmierć z braku alkoholu u człowieka, który żył wyłącznie alkoholem, jest całkiem możliwa. Przez cały czas na sali

panował niepokój pełen oczekiwania. Galeria dla publiczności była nabita, w loży prasowej ścisk. Na koniec Holland wywołał: - Alfred Higgins! - Gdy potężna postać Higginsa wypełniła ławę świadków, zaległa cisza tak nagła, że w czasie przysięgi słychać było wyraźnie, jak zegar bije jedenastą.

Ma czterdzieści trzy lata, jak zeznał przed radcą Ministerstwa Skarbu, a zapytany o kwalifikacje wyjaśnił, że zaczął karierę pływając na barce swego ojca, głównie w okolicach portów Wybrzeża Wschodniego. I tak aż do piętnastego roku życia. Następnie był zamieszany w aferę przemytniczą i ukrywał się na łodzi do przewozu bananów. Pozostał na morzu na najbardziej ruchliwych szlakach wodnych, przenosząc się ze statku na statek. Wyrzucał ich nazwy z czeluści swego wielkiego ciała, jak gdyby wybierał na chybił trafił stronicę z Rejestru Lloyd'a.

Zaczął swoją historię od momentu, kiedy „Mary Deare” wyruszyła z Jokohamy. Według niego statek był pływającą pułapką - zbiorowiskiem rozklekotanych śrub i brzęczącej blachy, kawałem podziurawionego żelastwa wziętym z kupy szmelcu na chińskich morzach. O kapitanie powiedział po prostu: - Cała załoga wiedziała, że się zapija na śmierć.

Starszy oficer cierpiał na żółtaczkę, a trzeci oficer, Rice, był zaledwie dwudziestoczteroletnim dzieciuchem, odbywał drugi w życiu rejs. Niedwuznacznie z tego wynikało, że on, Higgins, był jedynym odpowiedzialnym oficerem na pokładzie, i chociaż wyglądał jak byk, który ma się za chwilę rzucić do ataku, wywarł na zebranych silne wrażenie, kiedy tak stał i zeznawał gardłowym, grzmiącym głosem.

Singapur, Rangun, Aden - a następnie okres objęty zeznaniami Patcha, tylko inaczej naświetlony.

Załogę określił jako „niezłą jak na taką spróchniałą krypę”. Patcha uważał za „trochę drobiazgowego nudziarza” - ale - dodał - to nic dziwnego u człowieka z jego przeszłością, któremu znów powierzono statek.

Potem Zatoka Biskajska, a na jej tle jeszcze raz przed oczyma sądu przewijała się postać Patcha, nerwowego, despotycznego, w niezgodzie z właścicielem i oficerami, „z wszystkimi oprócz Rice'a. On był pupilem, jak to się mówi”.

Sztormu, na pół zatopionego statku, pożaru w radiokabinie Higgins nie przedstawił tak plastycznie jak Patch; bardziej sucho, rzeczowo.

Właśnie spał w swojej koi, kiedy woda zaczęła zalewać ładownię. Wydostał się na mostek i pełnił wachtę aż do dziesiątej rano następnego dnia, czyli bite jedenaście godzin. Wtedy zorganizował dokładniejsze poszukiwania Dellimare'a. Nie, nie na polecenie Patcha. Zrobił to z własnej inicjatywy; bo akurat go zmieniono.

Nie mógł uwierzyć, że Dellimare, „stary marynarz i równy chłop”, dał się zmyć z pokładu. W sumie Higgins był czterdzieści dwie godziny bez snu.

- Czy pan lubił pana Dellimare'a? - zapytał Holland.

- Ani go lubiłem, ani nie lubiłem. Po prostu powiedziałem, że był równy chłop, no bo był.

- Czy pan kiedykolwiek radził panu Patchowi opuścić statek?

- No, tak, mówiło się. Rozważaliśmy to razem, pan Dellimare i ja.

- Dlaczego?

- Bo wiedzieliśmy, co „Mary Deare” jest warta. Od Singapuru przeżyliśmy już dwa sztormy. A Patch nie. Ten w zatoce był o wiele gorszy niż ostatni.

- Czy był pan zdania, że w dziobowej ładowni nastąpił wybuch?

- Nic podobnego nie myślałem. Po prostu wiedziałem, że statek jest przerdzewiały, i tłućło nas cholernie. Niewiele mu się już należało. - Po chwili dodał: - Jeśli pan uważa, żeśmy stchórzyli, to niech pan pamięta, jak tam było. Dziesięć do jednego, że nie dałoby się spuścić szalup w tych warunkach. Niedobrze się robiło na samą myśl o tym, zwłaszcza panu Dellimare, który miał dość tych rzeczy podczas wojny. Potem, kiedy stanęliśmy w dryf, sytuacja się poprawiła, pomyślałem sobie, że mamy szansę.

Następnie opisywał noc, kiedy wybuchł pożar w ładowni rufowej i kiedy opuścili statek. Tak, to było około dwudziestej pierwszej dwadzieścia. Pierwszy zauważył to palacz West. Wyszedł z nadbudówki rufowej i spostrzegł dym wydobywający się z luku trzeciej ładowni. Natychmiast telefonicznie dał znać na mostek. Był tam akurat Rice i Higgins posłał go, żeby sprawdził raport i zawiadomił Patcha. Ani razu składając zeznania nie nazwał Patcha kapitanem.

- A co było potem? - zapytał Holland.

- Przez następny kwadrans nie dostawałem dalszych meldunków, ale widziałem, że to pożar, bo lampy do oświetlenia rufowej części pokładu zostały zapalone i była straszna bieganina. A potem pan Patch przychodzi na mostek (wyglądał jakoś dziko, cały zakopcony) i mówi, że kazał spuścić szalupy na wszelki wypadek. Zapytałem go, czy chce, żebym się zajął akcją przeciwpożarową, ale powiedział, że nie, bo pan Rice już się tym zajął. Stał jeszcze jakiś czas, jakby się nie mógł zdecydować. I po chwili wpada na mostek przerażony pan Rice i mówi, że ogień jest coraz większy. A na to pan Patch każe mu iść i powiedzieć ludziom, żeby się szykowali do opuszczenia statku. „A pan zawiadomi maszynownię, panie Higgins - mówi - a potem zajmie się akcją przeciwpożarową. Panie Rice, pan odpowiada za górny

pokład. Proszę dopilnować, żeby nie było żadnej paniki, jak wydam rozkaz”. I tyle go widziałem - dodał Higgins.

Dalszy ciąg stanowił typowy obraz katastrofy wywołanej brakiem dowództwa. Higgins i jego grupa przez najbliższe piętnaście minut walczyli jeszcze z ogniem, który zdawał się wzmaczać. Ludzi ogarnęło przerażenie. Byli pewni, że statek jest pechowy i że wiezie materiały wybuchowe.

Higgins posłał Rice’a, by zawiadomił Patcha, że nie jest w stanie dłużej utrzymać ludzi. Rice wrócił z wiadomością, że nigdzie nie może znaleźć kapitana.

- Wtedy ludzie byli już bliscy paniki. Część tłoczyła się na górnym pokładzie i ładowała do szalupy numer trzy. Jedyne, co mogłem zrobić, to wydać rozkaz opuszczenia statku.

Załoga rzuciła się w popłochu do łodzi. Kiedy Higgins wydostał się na górny pokład, zobaczył szalupę numer trzy wiszącą na żurawiku i uciepionego do niej człowieka. Szalupę numer jeden, która też została spuszczone, roztrzaskało w kawałki o burtę statku.

Przy pomocy pięści zdołał zaprowadzić na pokładzie jaki taki porządek i wraz z oficerami załadowali ludzi do dwóch pozostałych łodzi. Rice’owi powierzył pieczę nad łodzią numer cztery i czekał, aż bezpiecznie odbije. Następnie spuścił i odczepił swoją łódź. Ponieważ statek płynął szybko, stracił kontakt z Rice’em w momencie, kiedy jego szalupa dotknęła wody, i więcej go nie odzyskał.

- Czy należy przez to rozumieć - zapytał Holland - że opuściliście statek pod parą?

- Tak. Zgodnie z instrukcjami pana Patcha kazałem maszynistom przygotować się do spuszczenia łodzi. Kiedy wydałem rozkaz opuszczenia statku, nikt im nie mówił, żeby zatrzymali maszynę, a potem żaden z nich już by nie zszedł na dół.

- No, ale niewątpliwie, gdyby pan wydał taki rozkaz...

- Na cholerę by się zdały rozkazy? - burknął Higgins. - Patch znikł. Jedna łódź wisiała jeszcze na żurawikach, a ludzie powpadali do morza, druga została zmiażdżona o burtę. Wszystkich ogarnęła panika. Ci, co poszli do wody, wypływali w najlepszym razie po to, żeby się przekonać, że ostatnie dwie szalupy już znikły. Wszystko, co mogliśmy z Rice’em zrobić, to odbić w jakim takim porządku.

- Mój Boże! - wykrzyknął Holland. - Przecież jako doświadczony oficer miał pan jakąś władzę nad...

Higgins ponownie mu przerwał:

- Czy pan nie ma za grosz wyobraźni? - wybuchnął. - Nie rozumie pan, jaka była sytuacja? Patch zginął, załoga w panice i pożar w ładowni pełnej materiałów wybuchowych.

- Ale przecież to nie były materiały wybuchowe!

- A skąd mogliśmy wiedzieć?

- Słyszeliście oficjalne oświadczenie stwierdzające, że skrzynie ładowane w Jokohamie zawierają silniki samolotowe. Nie było żadnego powodu, żeby wierzyć...

- Teraz wiemy, że to były silniki - szybko powiedział Higgins - ale mówię panu, co myśleliśmy wtedy. Byliśmy przekonani, że to materiały wybuchowe.

- Musieliście widzieć manifest okrętowy - przypomniał mu Holland. - Pan Patch powiesił nawet egzemplarz na tablicy ogłoszeń.

- No, to co? - rzucił opryskliwie Higgins. - Załoga nie musi wierzyć we wszystko, co jej przylepią na tablicy ogłoszeń. I niech pan sobie zapamięta jedno: że ludzie, którzy pływają na takich statkach jak „Mary Deare”, nie dadzą się tak łatwo nabrać na manifest, zwłaszcza na morzach chińskich. My możemy nie mieć szkoły, ale nie jesteśmy frajerzy. Manifest to po prostu papier napisany przez kogoś po to, żeby inni w niego wierzyli. Przynajmniej ja tak uważam... i mam powody.

Nie było na to żadnej odpowiedzi. Tylko od przewodniczącego sądu zażądano, by udzielił upomnienia, co zresztą zrobił w bardzo łagodnej formie.

Higginsa brano za to, czym był w rzeczywistości - za rozbitka, przez którego przemawia doświadczenie. Był na swój sposób wspaniały. Dominował nad tym bezbarwnym zbiorowiskiem ludzi nie potęgą swojej osobowości, aż nazbyt prymitywnej - dominował dlatego, że był odmienny od nich wszystkich - pełen kolorytu pirat, który lekceważy prawo i kpi z autorytetów.

- Jednym słowem - powiedział Holland - był pan świadkiem wielu dziwnych historii na pokładach statków całego świata. Czy zdarzyło się panu spotkać bardziej niezwykły spłot wypadków niż na pokładzie „Mary Deare”?

Higgins ściągnął wargi i zaprzeczył:

- Nie. Nie zdarzyło mi się.

- Weźmy na przykład zalanie ładowni dziobowych. Twierdzi pan, że to nie była eksplozja.

- Nic takiego nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że nie myślałem o tym, w każdym razie nie wtedy. Było dość innych spraw do myślenia. A poza tym nie ja byłem na mostku.

- A co teraz pan o tym sądzi?

Higgins potrząsnął głową.

- Sam nie wiem, co o tym myśleć.

- No, a pożary? Czy wybuchły samoczynnie?

- Pożary to inna sprawa. - Małe sprytnie oczka pobiegły w stronę Patcha, który śledził go z twarzą pełną napięcia.

- Czy uważa pan, że zostały wywołane celowo?

- Tak przypuszczam.

- Podejrzewa pan kogoś?

- Ja nic nie wiem... Ale - dodał - od razu się skapowałem, że będzie źle, jak tylko on wszedł na pokład. - Skinął potężnym łbem w kierunku Patcha. - To jasne, że człowiek z jego przeszłością nie dostaje pracy za nic, no i ta śmierć szypra w tak dogodnym czasie.

- Czy pan obwinia kogoś o śmierć kapitana Taggarta? - W głosie Hollanda zabrzmiała nuta napomnienia.

- Ja tam nikogo nie winię, ale ktoś ukradł biedakowi tę jego wódkę. No, zresztą oddał mu tylko przysługę.

Szmer podniecenia przebiegł po sali, kiedy Holland usiadł. Natychmiast podniósł się Fenton. - Padło tu bezczelne oszczerstwo, na którego poparcie nie było ani cienia dowodu.

Przewodniczący podtrzymał opinię swego przedmówcy. Pochylony nieco do przodu zapytał Higginsa, czy to prawda, że Taggart oskarżał o to kilku swoich oficerów, a kiedy Higgins odpowiedział twierdząco, zapytał, czy w ich liczbie również i jego.

- Biedaczysko bredził - odpowiedział opryskliwie Higgins.

- Aha, więc bredził tylko wtedy, kiedy oskarżał pana, ale kiedy oskarżał pana Patcha, przestawał bredzić? - Ton BowenLodge'a był lodowaty.

- Co by mi przyszło z jego śmierci? - wymamrotał Higgins.

- A jeśli przyjmiemy, że, kapitan Taggart po prostu zużył cały zapas alkoholu?

Ale Higgins potrząsnął głową.

- W Adenie dostawca przyniósł mu tego masę. Nie mógł wypić wszystkiego. To zupełnie niemożliwe.

- Jakie było wtedy pańskie zdanie na ten temat? Czy brał pan jego pretensje poważnie?

- Nie. Dlaczego miałbym brać poważnie? Kiedy ktoś bredzi tak jak on, nie wiadomo, w co wierzyć. - Higgins robił wrażenie zdezorientowanego. Nie był pewny, do czego te pytania prowadzą. - Może miał wódkę, a może nie miał - burknął. - Może mu ją kto świsnął, nie wiem. Wiem tylko, żeśmy za nią przeszukali cały statek, żeby go pocieszyć, i nie znaleźliśmy ani kapki. Oczywiście - dodał - gdybyśmy wiedzieli, że on z tego umrze, to... jeden z nas chciał przeszmygnować parę butelek przez odprawę celną, no, to by mu się dało pociągnąć, jak to się mówi.

BowenLodge potaknął. Wstał Fenton i zaczął pytać Higginsa usiłując skłonić go, by przyznał, że Patch nigdy nie wydawał rozkazu opuszczenia statku, próbując go zmylić i złapać na szczegółach.

Ale Higgins był groźnym przeciwnikiem. Z każdej jego odpowiedzi wynikał jasno brak zaufania do Patcha i ani na jotę nie odstąpił od swego pierwotnego stanowiska.

Z sir Lionelem sprawa wyglądała inaczej. Jego interesował głównie ładunek.

Co kazało świadkowi przypuszczać, że skrzynie ładowane w Jokohamie zawierają materiały wybuchowe? Czy ładując krzynie świadek poczynił jakieś spostrzeżenia?

Kiedy przewodniczący postawił te pytania, Higgins odpowiedział, że w okresie, gdy ładowano skrzynie, nie był jeszcze członkiem załogi.

- Wobec tego kiedy został pan zaangażowany jako drugi oficer? - zapytał BowenLodge.

- Na dzień przed podniesieniem kotwicy - odparł Higin. - Wtedy „Mary Deare” była już załadowana, wszystkie luki miała zakryte, gotowa do odkotwiczenia.

- Czy pokazano panu manifest?

- Nie, dopiero później.

- Wobec tego, co skłoniło pana do przypuszczenia, że wieziecie materiały wybuchowe?

- W porcie krążyły takie pogłoski.

- A wśród załogi?

- Też.

- Czy spotkał się pan kiedykolwiek z wypadkiem, żeby materiały wybuchowe pakowano w skrzynie oznaczone wyraźnie jako silniki lotnicze?

- Niezupełnie. Ale nieraz słyszałem, że pakowano materiały wybuchowe jako coś innego po prostu, żeby obejść przepisy, jak to się mówi.

- Ale nic nie wskazywało na to, że skrzynie mogły zawierać coś innego, niż opiewał manifest.

- Nie.

- I pan oczywiście zrobił wszystko, żeby tę pogłoskę dementować?

Po raz pierwszy Higgins zawahał się.

- No, nie, jeśli mam być szczerzy, to nie.

- Dlaczego nie?

Mięśnie na szyi Higginsa napięły się.

- No, bo dlaczego właśnie ja miałbym to robić? To nie moja sprawa.

BowenLodge uniósłszy jedną brew spojrzął na sir Lionela. Następne pytanie dotyczyło tych czterech dni, kiedy statek stał na kotwicy u ujścia Irawadi. Tak, przyznał Higgins, siedł na łódź wraz ze wszystkimi. Dlaczego nie? Nie co dzień właściciele statku dawali załodze czterdzieści osiem godzin wolnego plus pokrycie wszystkich kosztów. Powód? Pan Dellimare był równy facet, po prostu dlatego - wiedział, jak traktować ludzi, i wierzył w szczęśliwą gwiazdę statku.

- Czy po powrocie na pokład - sir Lionel znów zadawał pytania bezpośrednio świadkowi - rozmawiał pan z kimś z oficerów albo członków załogi „Torre Annunziata”?

- Tak. Pierwszy oficer, facet nazwiskiem Slade, przyszedł do nas na pokład popić ze mną i z kapitanem.

- Pytał go pan, dlaczego przeładowywali statek?

- Nie. Ale Slade sam mi mówił, że muszą to zrobić z powodu jakiejś pomyłki w papierach co do miejsca przeznaczenia stalowych rur, które mieli ładować.

- Mówił pan o tym Adamsowi?

- Nie.

- Ale widział się pan z nim po powrocie na statek?

- Tak.

- Czy nie wspominał, jakoby załoga „Torre Annunziata” podejrzewała jakieś machinacje z ładunkiem „Mary Deare”?

- Nie. - I szybko dodał: - Gdyby nawet tak było, to Adams i tak by nie wiedział, bo kiedy go spotkałem dopiero co wstał po dwóch dniach leżenia w łóżku.

- W czasie choroby Adamsa pan był pewnie odpowiedzialny za ładunek bawełny?

Higgins skinął głową i sir Lionel zapytał:

- Czy zauważył pan jakieś zmiany w rozmieszczeniu ładunku?

- Nie, nic takiego nie zauważyłem.

- Jest pan zupełnie pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien.

Mała główka sir Lionela wystrzeliła do przodu, a jego głos stał się nagle szorstki i twardy:

- A skąd pan może być taki pewny, skoro, jak pa mówi, przybył pan na statek już po załadunku?

Lecz Higginsa niełatwo było zbić z tropu. Przesunął językiem po suchej linii warg, tylko w ten sposób zdradzając zakłopotanie.

- Mogło mnie nie być przy załadunku, ale za to byłeś obecny, gdyśmy wyładowywali górną warstwę towaru: bawełnę i sztuczny jedwab japoński. Specjalnie zwróciłem uwagę na ustawienie skrzyń, bo wiedziałem, że będę musiał ładować bele surowej bawełny, kiedy nadejdą.

Sir Lionel skinął głową.

- I jeszcze jedno pytanie. Mówił pan, że po raz pierwszy pył pan na pokładzie „Mary Deare” w przeddzień jej wyjścia z portu. Jak to się stało?

- Bo dopiero wtedy zostałem zaangażowany.

- Kto pana angażował? Kapitan Taggart?

- Nie, pan Dellimare. Kapitan Taggart podpisywał papiery, ale pan Dellimare mnie angażował.

- Dlaczego?

Higgins zmarszczył brwi.

- O co panu chodzi?

- Chodzi mi o to, dlaczego on pana angażował. Czy pan pył jedynym kandydatem na wakujące miejsce?

- Nie, no, niezupełnie. To znaczy... - Higgins rozejrzał się dokoła i znów przesunął językiem po wargach. - To było trochę inaczej...

- Czy to znaczy, że posada nie została zaoferowana panu zwykłą drogą? Ze pan Dellimare zaangażował pana... na własną rękę?

- Tak mi się wydaje. - Zabrzmiało to niepewnie.

- Może zechce pan wyjaśnić sądowi, jak to się odbyło, Higgins zawahał się.

- No, po prostu spotkaliśmy się i on potrzebował drugiego oficera, a ja szukałem akurat roboty, i to wszystko.

- Gdzie się spotkaliście?

- W jakimś barze na wybrzeżu. Nie pamiętam nazwy.

- Spotkanie było umówione?

Twarz Higginsa poczerwieniała, mięśnie na szyi napięły się.

- Tak, umówione. - Powiedział to opryskliwie, jak »dyby chciał sprowokować sir Lionela.

Ale sir Lionel powiedział tylko: - Dziękuję. To wszystko co chciałem wiedzieć - i usiadł.

Ustalił dwie rzeczy. Po pierwsze: jeśli Spółka Dellimare'a planowała rozbicie „Mary Deare”; to zamiana ładunku była możliwa. I po drugie: Higgins mógł być narzędziem w ich

ręku. Przeciwno Higginsowi nie miał jednak żadnych konkretnych zarzutów, co, jak znacznie później przyznał się Halowi, stanowiło poważny kłopot.

Aby bowiem dowieść, że jego klienci nie mają obowiązku wypłacać ubezpieczenia, musiał rozporządzać bardziej przekonującym argumentem.

Upewniły go dopiero zeznania innych świadków, a szczególnie miażdżące zeznanie sternika Yulesa, który w chwili wybuchu pożaru stał z Higginsem na mostku. Yules był nieśmiały i jąkał się zeznając. Nie należał też do najważniejszych świadków, ale przy twierdzeniu, że Patch wydał rozkaz przygotowania się do opuszczenia statku, obstawał z niewzruszonym uporem i chociaż adwokat Patcha wstał w tym momencie i przestraszył go tak, że Yules wzrokiem poszukał oparcia w Higginsie, nie chciał się wycofać.

Był ostatnim świadkiem przed lunchem i bez pomocy Hala mogłem się domyślić, że to przesłuchanie nie będzie najprzyjemniejsze dla Patcha, który miał być właśnie pytany przez adwokatów stron.

Sąd nie zaczął jeszcze chwycić prawdy. Ale jaka ona była? Hal zadreślał mnie tym pytaniem, a jedyne, co mogłem mu odrzec, to: „Bóg raczy wiedzieć”.

- Dellimare nie mógł podłożyć ognia w ładowni - powiedział. Przyznałem mu rację. Dellimare bowiem już wtedy nie żył. Wobec tego musiał to być Higgins. Najwyraźniej BowenLodge w czasie lunchu rozważał tę samą możliwość, bo kiedy Sąd zebrał się ponownie, znów wezwano Yulesa i wypytywano go dokładnie, co robił oficer pełniący wówczas wachtę. Yules przysiągł, że Higgins był na mostku do godziny dwudziestej i że ani razu go nie opuścił. Następnie pierwszy mechanik Burrows zeznał, że Higgins wraz z nim i jeszcze dwoma członkami załogi, którzy utonęli, gra w pokera od godziny siedemnastej do dwudziestej z niewielki przerwą na posiłek.

Jeden po drugim rozbitkowie zajmowali miejsca na ławie świadków i każdy na swój sposób potwierdzał to, co już zostało powiedziane - przekonanie, że statek jest pechowy, że wiezie materiały wybuchowe i że jest skazany na zagładę..

Była to historia ludzi, którzy nosili w sobie załóżek nieuniknionej tragedii.

Na koniec Holland wywołał: - Gideon Patch! - i Patch nów stanął przy barierce, trochę przygarbiony, z rękami naciśniętymi na poręczy tak, że knykie bielą dorównywały do twarzy. Wyglądał na złamanego chorobą, a w kąciu ust pojawił mu się nerwowy skurcz.

BowenLodge pytał go pierwszy - pytał drobiazgowo o wszelkie rozkazy, jakie wydawał po wybuchu pożaru, tak że raz jeszcze Patch musiał powtórzyć całą historię od momentu, kiedy Rice wpadł do jego kabiny z fatalną wiadomością. Kiedy Patch opowiedział

wszystko, dokładnie tak jak przedtem, BowenLodge wzruszył nieznacznie ramionami i Holland podjął przesłuchanie.

Przez cały czas było oczywiste, że ten człowiek coś tai, wyczuwało się to ze sposobu, w jaki stał, z niesamowitego wyrazu jego twarzy, z nerwowego napięcia i drżenia.

Zarzucano go pytaniami i nikt nie mógł z tego nic wywnioskować, a Patch konsekwentnie obstawał przy swoim - że został ogłuszony i że pożar wywołano celowo.

- Dobrze, ale kto? - zapytał BowenLodge.

Patch odparł obojętnym, bezbarwnym tonem:

- To już jest sprawa sądu.

Następnie zabrali głos adwokaci reprezentujący zainteresowane strony i ci osaczyli go jak sfera psów, pytając o Taggarta i Dellimare'a, o jego stosunek do załogi, i dzielność morską statku. Wreszcie, kiedy wstał przedstawiciel Zrzeszenia Oficerów Marynarki i powrócił raz jeszcze do rozkazów wydanych przez Patcha w noc opuszczenia statku, BowenLodge zaczął spoglądać na zegar.

Na koniec podniósł się sir Lionel pytając wyłącznie o ładunek.

Gdyby Patch mógł powiedzieć, że te skrzynie były puste albo że zawierały coś innego, a nie silniki lotnicze, sir Lionel byłby zadowolony. Ale Patch nie potrafił tego stwierdzić, więc pytania padały tak długo, aż sir Lionel wyczerpał wszelkie możliwości. Przerwał i wydawało się, że już siądzie. Stał jednak, podany nieco do przodu, patrząc w notatki. Wreszcie spojrzął znad okularów i powiedział:

- A może Wysoki Sąd zapyta świadka, w jaki sposób znalazł się na „Mary Deare”.

Pytanie zostało postawione i Patch nie zrozumiawszy jego sensu odparł, że już wyjaśniał tę sprawę. Po prostu przyjęto go na miejsce Adamsa, który poszedł do szpitala z powodu żółtaczki.

- Tak, tak, rozumiem - odparł sir Lionel zniecierpliwiony. - Chodziło mi o to, kto podpisywał kontrakt: kapitan Taggart czy pan Dellimare?

- Kapitan Taggart.

- Zszedł na ląd i osobiście pana zaangażował?

- Nie.

- Kto wobec tego zszedł na ląd i dokonał wyboru? - Głos sir Lionela był w dalszym ciągu znużony, jak gdyby chodziło o rzecz małej wagi, zwykłą, stereotypową.

- Pan Dellimare.

- Pan Dellimare? - Na twarzy sir Lionela nagle odmalowało się zdumienie. - Rozumiem. Tak na gruncie prywatnym? Czy było to umówione spotkanie w jakimś barze?... - W jego tonie wyczuwało się sarkazm.

- Nie, spotkaliśmy się u agenta.

- U agenta? To pewnie byli tam jeszcze inni oficerowie poszukujący pracy?

- Tak. Dwóch.

- Dlaczego pan Dellimare nie wybrał żadnego z nich? Dlaczego wybrał pana?

- Tamci wycofali się, kiedy usłyszeli, że chodzi o „Mary Deare”.

- A pan nie. Dlaczego? - Patch milczał, sir Lionel więc powtórzył: - Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Bo mi bardzo zależało na pracy.

- Jak długo pan nie pływał?

- Jedenaście miesięcy.

- A przedtem nie trafiło się panu nic lepszego niż stanowisko drugiego oficera na nędznym włoskim parowcu

„Apollo” obsługującym przybrzeżne porty Afryki Wschodniej? Czy nie uważa pan, że to dziwne, by człowiek z pana referencjami został nagle pierwszym oficerem 6000-tonowego oceanicznego frachtowca? - Ponieważ Patch milczał, sir Lionel powtórzył: - Czy nie uważa pan tego za dziwne?

Jedyna odpowiedź, na jaką Patch mógł się zdobyć czując la sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych, brzmiała:

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Nigdy się pan nad tym nie zastanawiał! – Zarówno ton głosu, jak i ruch głowy sir Lionela wskazywały, że uważa Patcha za kłamcę. Zwrócił się do BowenLodge’a:

- Może Wysoki Sąd poprosi świadka o krótkie podsumowanie wypadków, jakie zaszły dziesięć lat temu w okolicach Singapuru w nocy z trzeciego na czwarty lutego.

Patch mocniej zacisnął ręce na barierze. Wyglądał widmowo. Miał wyraz schwytanego w pułapkę zwierzęcia. Na sali powstał niepokój, jak gdyby przeszło przez nią pierwsze tchnienie burzy. BowenLodge spojrział na swego przedmówcę.

-, Belle Isle”? - zapytał. I poufnym szeptem dodał: - Czy uważa pan to za konieczne?

- Bezwzględnie - brzmiała kategoryczna odpowiedź.

BowenLodge znów spojrział na zegar i postawił pytanie, a Patch, sztywny, odparł przez zaciśnięte wargi:

- Swego czasu pisano o tym.

BowenLodge spojrział na sir Lionela z niemym pytaniem, czy życzy sobie kontynuować ten temat. Było zupełnie oczywiste, że tak. Wynikało to jasno ze spokoju, z jakim śledził człowieka na ławie świadków. Jego mała, wysunięta do przodu główka wyglądała, jakby za chwilę miał przejść do ataku.

- Wiem dobrze, że są sprawozdania - powiedział lodowatym głosem. - Niemniej uważam, że sąd powinien usłyszeć tę historię z pańskich ust.

- Nie czuję się powołany, aby wygłaszać swoje zdanie na ten temat, skoro sąd wydał już wyrok - powiedział Patch powściągliwie, z opanowaniem.

- Ja nie pytam o pańskie zdanie. Ja proszę o fakty.

Ręka Patcha mimo woli uderzyła o poręcz.

- Nie widzę, żeby to miało jakikolwiek wpływ na zaginięcie „Mary Deare”. - Mówił podniesionym, szorstkim głosem.

- To nie pańska sprawa - uciął sir Lionel. I nie bez złośliwości dodał: - Ale są pewne analogie.

- Analogie! - Patch wpatrzył się w niego i waląc ręką o poręcz wybuchnął: - Jak Boga kocham, że są - wściekły, i rozjątrzony ponad granice ludzkiej wytrzymałości, zwrócił się do przewodniczącego sądu. - Chcecie drastycznych szczegółów? Dobrze! Byłem pijany. Byłem pijany w sztok. Tak w każdym razie zeznał Craven. W Singapurze było wtedy gorąco jak w piecu hutniczym. - Nie spuszczał wzroku z przewodniczącego, ale już go nie widział. Miał przed oczami tylko Singapur tego dnia, kiedy zwichnął swoją karierę. - Wilgotny, zalewający potem, tropikalny upał - wymamrotał. - Pamiętam to i pamiętam, jak „Belle Isle” odbijała, a potem nic już nie wiem.

- A czy pan był pijany? - zapytał BowenLodge, niemal grzecznie modulując głos.

- Tak. Przypuszczam... no, trochę wypilem. Ale nie tyle... - dorzucił gwałtownie. - Nie tyle, żeby mnie zupełnie zamroczyło. - I po pauzie dodał: - Wpakowali ją na mieliznę na wyspach Anambas o drugiej dwadzieścia trzy w nocy, w czasie ryczącego przyboju, i przetrącili jej stępkę.

- Pan sobie chyba zdaje sprawę - powiedział spokojnie sir Lionel - że wiele mówiono, jakoby... jakoby zrobił to pan celowo dla uzyskania ubezpieczenia?

Patch zwrócił się do niego. -

- Czyż mógłbym nie zdawać sobie sprawy - odparł z sarkazmem w głosie - skoro przez te wszystkie lata ledwo zdołałem zarobić na nędzne utrzymanie w moim zawodzie? - Znów chwytając za poręcz rzekł do przewodniczącego: - Oni twierdzą, że to ja wyznaczyłem kurs, i na dowód mają dziennik okrętowy. Zapis zrobiony moim charakterem. Drugi oficer

Craven przysięgał, że schodzi specjalnie do mojej kabiny, bo miał wątpliwości, i że go wyrzuciłem. Potem przyszedł po raz drugi mnie ostrzec, ale byłem w pijanym widzie, jak się wyraził, i nie mogąc mnie obudzić wrócił na mostek i zmienił kurs na własną odpowiedzialność. Ale wtedy oczywiście było już za późno, tak brzmiała jego wersja. Obstawał przy niej tak konsekwentnie, że wszyscy mu uwierzyli. Nawet mój własny adwokat.

- Odwrócił głowę i poprzez salę patrzył na Hgginsa. - O, tak, jak Boga kocham - powtórzył - sę analogie.

- Jakież analogie? - zapytał sir Lionel tonem lekkiego powątpiewania.

Patch spojrział mu prosto w oczy. Aż przykro było, że tak łatwo daje się sprowokować.

- Po prostu te - wykrzyknął nieomal - że Craven był kłamcą! Zapis w dzienniku okrętowym został sfalszowany..Belle Isle” stanowiła własność bandy greckich oszustów: Glasgow, będących o krok od bankructwa. Suma za ubezpieczenie prawie ich uratowała. Wszystko to sześć miesięcy potem podawały gazety. Wtedy zaczęły się pogłoski.

- I pan, oczywiście, nie miał z tym nic wspólnego? - apytał sir Lionel.

- Nic.

- A ten Craven wrzucił panu do alkoholu środek nasenny? bo, zdaje się, do tego pan zmierza?

W ten sposób wytracono Patchowi broń z ręki. Jego ciche „tak” było tylko żalosaną kapitulacją. Wtedy wmieszał się BowenLodge.

- Czy widzi pan analogię pomiędzy tamtą grecką spółką i Spółką HandlowoOkrętową Dellimare’a?

I Patch na nowo zrywając się do walki wykrzyknął:

- Tak. Właśnie tak!

Na to oczywiście wstał adwokat Spółki protestując przeciwko tego rodzaju nieusprawiedliwionym twierdzeniom bezczelnym oszczerstwom rzucanym na człowieka, który już nie żył w momencie, kiedy wybuchł pożar.

BowenLodge skinął głową.

- Słusznie, panie Smiles - powiedział - chyba że są one w jakiś sposób uzasadnione. - Następnie zwrócił się do Patcha: - Czy ma pan jakieś podstawy do wysuwania podobnych zarzutów?

Teraz - pomyślałem - teraz musi im powiedzieć o propozycji Dellimare’a. Bez względu na to, czy ma jakieś dowody, czy nie. To jedyne, co może zrobić. Zamiast tego jednak przypomniał o motywach i sprzyjających okolicznościach. Spółka była w stadium likwidacji, a więc jej członkowie musieli wygrać na stracie statku.

- Po cóż innego Dellimare przebywałby na pokładzie? - rzucił. - Podróż trwająca prawie pięć miesięcy! Byłaby to śmieszna wprost strata dyrektorskiego czasu, chyba że krył się za tym jakiś poważniejszy cel. A ja właśnie twierdzę, że się krył!

Smiles poderwał się znowu, ale BowenLodge go uprzedził.

- Pan zdaje się zapominać o powodach, dla których statek został opuszczony i ostatecznie stracony. Czy pan oskarża pana Dellimare'a o wywołanie pożaru w tej ładowni rufowej?

To zaskoczyło Patcha.

- Nie - odparł.

- On już wtedy nie żył?

- Tak. - Głos Patcha zniżył się do szeptu.

Wtedy Smiles, w dalszym ciągu stojąc, zapytał, jakim też motywem mogła kierować się Spółka, jeśli dążyła do zniszczenia statku.

- „Mary Deare” przeznaczona była na złom. Według liczb podanych przez pana Gundersena, Wysoki Sądzie, wartość tego złomu została określona na sumę piętnastu tysięcy funtów. Ubezpieczenie zaś wynosiło trzydzieści tysięcy funtów. Czy świadek utrzymuje, że niewielka kwota piętnastu tysięcy funtów była dla Spółki wystarczającym powodem aby narażać życie całej załogi?

- Kwestia motywu - powiedział BowenLodge – nie wchodzi w zakres niniejszego dochodzenia. Nas obchodzi wyłącznie fakty. - Tu spojrzął na sir Lionela, jak gdyby czegoś po nim oczekując.

- Myślę, że w tej sytuacji, Wysoki Sądzie - rzekł sir Lionel - winienem poprosić o postawienie świadkowi tego tak bardzo zasadniczego pytania, a mianowicie, czy w nocy osiemnastego marca świadek wywołał pożar w ładowni trzeciej „Mary Deare”, czy też nie, ewentualnie, czy spowodował podłożenie ognia.

Przez salę przeszedł nagły dreszcz; wszystkim dech zaparło.

Oczy dwóch ludzi - radcy Towarzystwa Ubezpieczeń przewodniczącego - przez chwilę porozumiewały się ze sobą; wreszcie BowenLodge skinął powoli i zwrócił się do świadka. Patrząc na niego i wymawiając słowa cicho, ale niezwykle dobitnie, powiedział:

- Uważam za konieczne oświadczyć panu, że według mojej opinii cała kwestia zaginięcia „Mary Deare” stanie się przedmiotem rozprawy w innym sądzie, jak również podać panu do wiadomości, że nie ma pan obowiązku odpowiadać na to tak bezpośrednie pytanie, o ile pan sobie nie życzy. Po tym oświadczeniu zadam pytanie.

I powtórzył je raz - Nie, ja tego nie zrobiłem - rzekł Patch, a jego głos był czysty i mocny. Po chwili, zwracając się do sir Lionela Falcetta, dodał: - Gdybym to ja podłożył ogień, po cóż trudziłbym się, żeby go gasić?

Argument był mocny ale sir Lionel wzruszył tylko ramionami.

- Musimy wziąć pod uwagę, że „Mary Deare” mogłaby osiąść na okolicznych rafach, może u wybrzeża Francji, częściowo spalona. A materiał dowodowy byłby dogodniejszy, - gdyby statek spoczywał na głębokości dwudziestu sążni. Poza tym nadciągał sztorm, no i musiał się pan liczyć z obecnością pana Sandsa...

BowenLodge bardzo dyskretnie chrząknął. Sir Lionel wymamrotał jakieś słowa usprawiedliwienia. Przewodniczący znów spojrział na zegar, a następnie zwrócił się do ławników, z którymi odbył krótką naradę. Na koniec odroczył posiedzenie.

- Do jutra, o dziesiątej trzydzieści, proszę państwa.

Przez chwilę jeszcze nikt się nie ruszał, ale nawet potem, kiedy ludzie zaczęli wstawać, siedziałem osłupiały i oburzony całą tą niesprawiedliwością.

Żeby rzucić człowiekowi w twarz jego przeszłość i potępić go nawet bez cienia dowodu... Patch stał jeszcze ciągle w ławie świadków sztywny i wyprostowany. Sir Lionel zbierał swoje papiery śmiejąc się z żartu któregoś z prawników.

Wreszcie Patch ruszył poprzez salę do wyjścia. Machinalnie postąpiłem naprzód, ale Hal położył mi rękę na ramieniu.

- Lepiej zostaw go teraz - powiedział. - Musi to wszystko przemyśleć, biedaczysko.

- Przemyśleć? Co? - zapytałem wściekły. W dalszym ciągu byłem pod wrażeniem tej niesprawiedliwości.

- To, co ma mówić jutro - odparł Hal, po czym dodał: - On jeszcze nie powiedział wszystkiego. I sir Lionel Falcett wie o tym. Może powie jutro albo dopiero w sądzie do spraw kryminalnych. Ale prędzej czy później musi to wyznać.*

Sąd do spraw kryminalnych!

- Tak, przypuszczam, że na tym się skończy - mruknąłem. Ale najpierw należało wykryć prawdę. A prawda - jakakolwiek była - spoczywa na Minkach.

- Muszę jednak zamienić z nim parę słów - zdecydowałem nagle i zacząłem się przepychać przez tłum w stronę Patcha.

Nie słyszał, jak go wołam. Wydawało się, że jest obojętny na wszystko oprócz konieczności wydostania się z tego miejsca. Wreszcie chwyciłem go za ramię. Odwrócił się gwałtownie, nerwowo.

- A, to pan. - Trząśł się. - O co chodzi?

Patrzyłem na niego przerażony niesamowitym, zmęczonym wyrazem jego twarzy. Na czole Patcha widać było jeszcze krople potu.

- Dlaczego, na miłość Boską, pan im nie powiedział?

- spytałem.

- Nie powiedziałem... czego? - Jego spojrzenie straciło natychmiast wszelką wymowę.

- No, o propozycji Dellimare'a - odparłem. - Dlaczego pan im o tym nie powiedział?

Jego oczy zamigotały i ześliznęły się po mnie.

- Jak mogłem? - wyrzucił.

I kiedy zacząłem mu tłumaczyć, że sąd ma prawo poznać prawdę, odparł:

- Niech pan to zostawi, dobrze? Niech pan to zostawi. - Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i szybko kierował do wyjścia.

Poszedłem za nim. Nie mogłem tego tak zostawić, musiałem dać mu szansę, o którą prosił. Przepchnąłem się przez niewielką grupę rozbitków „Mary Deare” i złapałem w korytarzu.

- Niech pan posłucha - powiedziałem. - Zabiorę pana tam, jak tylko skończy się dochodzenie.

Nie zatrzymując się potrząsnął głową.

- Teraz już za późno - odrzekł.

Jego zachowanie zdumiało mnie. Złapałem go za rękę.

- Czy pan nie rozumie? Mój jacht jest do pańskiej dyspozycji - powiedziałem. - „Wiedźma Morska” stoi Lulworth Cove. Za dwadzieścia cztery godziny bylibyśmy i miejscu.

Wtedy odwrócił się do mnie.

- Mówiłem już, że teraz za późno - warknął.

Jego oczy ominęły mnie, zwięzione nagle i płonące gniewem. Czuję, jak napinają mu się mięśnie. Uwolnił: z mego uścisku i odszedł. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Higginsa. Stał z Yulesem i obaj nie spuszczała z niego wzroku. Wokół mnie ludzie poruszali się i szeptała obserwując Patcha, który oddalał się korytarzem, zafascynowani myślą, że człowiek ten mógł tyłu posłać na śmierć.

Rozejrzałem się za Halem, ale Higgins złapał mnie za rękę. Natychmiast zdałem sobie sprawę z ogromnej brutalnej siły tego człowieka.

- Słyszałem, co pan mówił przed chwilą - jego gardłowy os tchnął odorem przetrwanego piwa, kiedy zbliżył do mnie twarz. - Jeśli pan zamierza go tam zabrać... - Zreflektował się szybko, jego małe, nabiegłe krwią oczka zwięziły:, puścił moje ramię. - Chciałem tylko powiedzieć, żebyś i pan zostawił w spokoju - zachrypiął - to nicpoń, mozesz

mi pan wierzyć. Nawarzysz pan sobie tylko piwa. Odwrócił się szybko, torując sobie drogę w korytarzu, a mały Yules pośpieszył za nim.

W chwilę później podszedł Hal. Był poważny.

- Rozmawiałem z sir Lionelem Falcettem - zaczął, gdy zmierzaliśmy do wyjścia. - Tak jak myślałem, uważają, on coś ukrywa.

- Kto? Patch? - Ciągle jeszcze byłem wstrząśnięty słowami Higginsa i zastanawiałem się, czy on się domyślił, mówiłem o „Mary Deare”.

- Tak. To oczywiście tylko wrażenie. Lionel nic nie powiedział, ale... - zawahał się. - Czy wiesz, gdzie Patch się zatrzymał? - I kiedy kiwnąłem głową, dodał: - Słuchaj jeżeli jesteś zupełnie pewny faceta, to ja bym na twoim miejscu poszedł do niego i powiedział, jak sprawa wygląda. Musi wyznać prawdę, i to całą prawdę, jeżeli nie chce narobić sobie kłopotu. Takie jest w każdym razie moje zdanie. Postaraj się go złapać jeszcze dziś wieczór.

Poszliśmy naprzeciwko do pubu napić się czegoś. Zadzwoiłem stamtąd do Patcha. Wynajmował pokój w pobliżu portu. Gospodyni powiedziała mi, że przyszedł wziął płaszcz i zaraz wyszedł. Zadzwoiłem później już po przyjeździe do Bosham, i jeszcze raz po obiedzie ale nie wrócił. Zmartwiło mnie to i położywszy się wcześniej do łóżka stwierdziłem, że nie mogę zasnąć. Deszcz walił w okno, a poprzez mrok podświadomości Patch i Higgins błędzili w moich myślach. Oczywiście wyobraźni widziałem Patcha krążącego po ulicach Southampton, krążącego bez końca. A potem decyzja, która usprawiedliwiała jego odpowiedź, że moja oferta przyszła za późno, i wreszcie... zwłoki do zidentyfikowania w kostnicy.

Rano oczywiście wszystko wyglądało inaczej. Słońce świeciło, śpiewały kosy i gdy jechaliśmy do Southampton świat był zajęty swymi codziennymi prozaicznymi sprawami ciągnęły wozy, listonosze jechali na rowerach, dzieci spiesz do szkół.

Do sądu przyszedliśmy o dziesiątej piętnaście. Specjalnie przyjechaliśmy tak wcześnie, żebym mógł przed rozpoczęciem posiedzenia zamienić parę słów z Patchem. Ale Patcha jeszcze nie było. Siedziało tylko kilku świadków, a wśród ich Higgins, którego ogromna postać kiwała się w krześle, czy śledziły wejście.

Nadchodzili prawnicy i zbierali się w niewielką grupkę rozmawiając ściszymi głosami. Łoża prasowa zapelnała się stopniowo, podobnie jak galeria dla publiczności.

Hal zostawił mnie i zajął swoje miejsce, a ja wyszedłem a korytarz, by obserwować napływających powoli ludzi wśród twarzy, stłoczonych w wąskim przejściu, szukać Patcha.

- Pan Sands? - Czyjaś ręka dotknęła mego ramienia odwróciłem się; koło mnie stała Janet Taggart. Jej oczy były nienaturalnie wielkie na tle bladej twarzy. - Gdzie on jest? Nie mogę go znaleźć.

- Kto?

- Pan Patch. Na sali go nie ma. Czy pan się nie orientuje, gdzie on może być?

- Nie.

Zawahała się.

- Jestem bardzo zdenerwowana - szepnęła.

Patrzyłem na nią zdumiony. Jak to się stało, że dzieli moje obawy?

- Należało pomyśleć o tym wcześniej - powiedziałem brudnie, obserwując skurcz jej twarzy, która nagle zrobiła się mała i boleśnie wykrzywiona. Nie było to już promienne, uśmiechnięte dziewczę z fotografii i światło nie igrało już w jej włosach. Była dorosłą kobietą. - Przyjdzie za chwilę - odezwałem się trochę grzeczniej, próbując uciszyć jej obawy, a zarazem i moje.

- Tak - odparła. - Tak, oczywiście. - Stała niezdecydowana z wyrazem napięcia. - Byłam u niego wczoraj wieczorem. Nic nie rozumiałam, dopóki nie przeczytałam zeznań Higginsa i innych. - Patrzyła na mnie ogromnymi przerażonymi oczyma. - Powiedział mi wtedy wszystko. On był tak... - przerwała wstrząsnawszy się nieznacznie, niepewna tego, co mówi. - Pan uważa, że on jest niewinny, prawda? - I gdy nie odpowiedziałem, dodała: - O Boże! Palnęłabym sobie w łeb za to, co nagadałam. - Ale to już nie było do mnie. Mówiła do siebie.

Słyszałem, jak ludzie wstają. Korytarz opustoszał.

I w dalszym ciągu ani śladu Patcha.

- Lepiej chodźmy - powiedziałem łagodnie.

Skinęła głową w milczeniu. Weszliśmy razem i zajęliśmy miejsca. Holland stał, w rękę trzymał kawałek papieru i gdy cisza ogarnęła salę, zwrócił się do BowenLodge'a.

- Wysoki Sądzie, otrzymałem właśnie wiadomość od urzędnika awaryjnego, że „Mary Deare” nie zatonęła. Kapitanat portu Saint Hélier na wyspie Jersey donosi, że statek osiadł na Plateau des Minquiers i że francuska ekipa ratownicza usiłuje go uruchomić.*

Pomruk zdziwienia, którym powitano tę nowinę, przeszedł przez salę, przybierając na sile, w miarę jak ludzie dawali upust swoim uczuciom. Przedstawiciele prasy zerwali się na nogi. Dojrzałem Higginsa, który siedział jak osłupiały, a Patcha - ani śladu.

BowenLodge pochylił się nad pulpitem.

- To zmienia sytuację w sposób zasadniczy, panie Holland. Należy więc przyjąć, że urzędnik awaryjny będzie w stanie przeprowadzić dokładną inspekcję wraku. - I kiedy Holland skinął głową, dodał: - Spodziewam się, że omówi pan z nim tę sprawę. Kiedy sąd będzie mógł otrzymać wynik.

- On nie jest całkowicie pewny - odparł Holland. – Nie zna jeszcze dokładnej pozycji „Mary Deare” na rafach i nie wie, która ekipa ratownicza się nią zajmuje. Jest właśnie w trakcie ustalania tych danych. Uprzedza jednak, że strona prawna może być skomplikowana. Minki bowiem stanowią część Wysp Normandzkich, a ekipa jest francuska. Powstaje więc kwestia praw Korony i praw ekipy ratowniczej. Oświadczył również, że przypiły w tym rejonie osiągają wysokość ponad trzydziestu stóp, czyniąc raf terenem szczególnie niebezpiecznym i zbadanie ładunku jest ściśle uzależnione od uruchomienia statku.

- Rozumiem. Dziękuję, panie Holland. - BowenLodge zwrócił się do ławników. Naradzali się chwilę - głowa przy głowie - podczas gdy gwar rozmów wzbierał jak fala. Łoża rasowa była już pusta.

- No tak - szepnął Hal - teraz odłoży posiedzenie. - po chwili dodał: - Czy ty wiedziałeś, że ona nie zatonała? a gdy skinąłem głową, wykrzyknął: - O, Boże! Człowieku, rtychyba jesteś szalony!

BowenLodge odwrócił się od ławników i stuknięciem i młotka uciszył salę.

- Jest jeszcze parę pytań, panie Holland, wynikłych z faktu, iż statek nie zatonął. Proszę wezwać ostatniego świadka.

Holland wywołał:

- Gideon Patch!

Na sali panowała cisza. Nikt się nie poruszył.

- Gideon Patch! - Kiedy w dalszym ciągu nikt się nie zgłaszał, Holland zwrócił się do woźnego przy drzwiach:

- Proszę zawołać Gideona Patcha.

Powtórzono nazwisko, które odbiło się echem po pustych korytarzach. Ale i tym razem na próżno. Ludzie wykręcali żyje; szum rozmów podniósł się na nowo.

Czekano na niego kilka minut, a na sali panowała cisza tak absolutna, że słyhać było tykanie zegara. Wreszcie po krótkiej naradzie z ławnikami Bowen Lodge odłożył »posiedzenie na godzinę.

- O dwunastej, proszę państwa.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie - jeden przez drugiego. Koło pulpitu sędziowskiego w niewielkiej grupie, :zblizeni do siebie głowami, stali Higgins, Yules i Burrows., nagle Higgins odłączył się od nich i ciężkim krokiem podszedł do drzwi. Na chwilę jego oczy, martwe, zgaszone jak u człowieka ogarniętego lękiem, spotkały się z moimi.

Czekanie wydawało się bez końca. Nie było żadnych wiadomości. Jedyne, czego się dowiedzieliśmy, to to, że szukano Patcha w domu.

- Dużo im z tego przyjdzie - skomentował Hal. - Teraz to już tylko nakaz aresztowania i policja. - Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Przyjął winę Patcha za udowodnioną. Inni byli tego samego zdania. Od strony wyczekującego tłumu dochodziły strzępy rozmów. „Według mnie to on jest po prostu morderca...”, „Zawsze, bracie, można ich poznać po oczach. Za każdym razem oczy ich zdradzają...”, „No, a co z Dellimare'em i z tym biednym Taggartem?...”, „Oczywiście, że tak. A ty byś nie zwał, gdybyś pół załogi posłał do lali?...”

Cały czas próbowałem utożsamić człowieka, jakim on był w mniemaniu tych ludzi, z człowiekiem, którego znałem z „Mary Deare”.

W końcu tłum zaczął ścierać z powrotem na salę. Jednocześnie z ust do ust poszła wieść, że Patcha nie widziano od poprzedniego wieczora.

Wszedł BowenLodge z ławnikami i sala umilkła. Holland wstał oświadczając, że jest mu bardzo przykro, ale nie może przedstawić swego głównego świadka.

- - Czy policja jest odpowiednio poinstruowana? - zapytał BowenLodge.

- Tak. Wszczęto poszukiwania. - Na moment zapanowała cisza, podczas gdy BowenLodge przekładał papiery na pulpicie.

- Czy będzie pan ponownie przesłuchiwał któregoś ze świadków? - zapytał Holland.

BowenLodge zawahał się. Rozglądał się w poszukiwaniu odpowiedniej osoby i odniosłem wrażenie, że na chwilę jego zimny, badawczy wzrok spoczął na mnie. W końcu zaczął naradzać się z ławnikami. Czułem, jak koszula lepi mi się do skóry. Cóż, do licha, mógłbym powiedzieć, gdyby mnie wywołał? Jak bym im wyjaśnił, dlaczego zataiłem fakt, iż „Mary Deare” leży na Minkach? Ta minuta niepewności wydała mi się nieskończenie długa. Wreszcie BowenLodge powiedział:

- Nie wydaje mi się celowe przesłuchiwanie teraz świadków, panie Holland. - Rozejrzał się po sali. - Wobec faktu, że „Mary Deare” została zlokalizowana, panowie ławnicy i ja jesteśmy zgodni w opinii, iż kontynuowanie niniejszego dochodzenia byłoby bezprzedmiotowe, tym bardziej że brak głównego świadka. Odraczam wobec tego posiedzenie aż do uzyskania wyniku inspekcji. Świadkowie są zwolnieni. Wszystkich zawiadomimy w odpowiednim terminie, o ile ich zeznania okażą się potrzebne. Dziękuję państwu za pomoc.

Skończyło się. Sędzia i ławnicy wyszli. Sala pustoszała powoli.

Kiedy skierowałem się w stronę drzwi, zastąpił mi drogę Higgins.

- Gdzie on jest? - zapytał. - Co się z nim stało?

Patrzyłem na niego zastanawiając się nad jego niezwykłym zainteresowaniem sprawą zniknięcia Patcha. Powinien być zadowolony.

- A cóż pana to może obchodzić? - spytałem.

Oczy jak paciorki, podcienione workami skóry, badały moją twarz.

- Więc jednak pan wie, co? Tak przypuszczałem.

- Niestety - odparłem - dziwnym trafem nie wiem. A szkoda, bo bardzo bym chciał wiedzieć.

- Do diabła! - tłumiona wściekłość zaczęła kipieć. - Pan myśli, że ja nie rozumiem, co wy tam kombinujecie z tą waszą łódką, która tylko czeka na niego w Lulworth. Jeżeli takie są wasze plany, to dobrze wam radzę, kapujecie!

- Nie spuszczał ze mnie wzroku, a jego małe oczka wyglądały jak szparki. Nagle odwrócił się na pięcie i zostawił nas samych.

W korytarzu Hal zagadnął:

- Chyba nie będziesz na tyle głupi, żeby szmuglować faceta za granicę? - Patrzył na mnie poważny, a nawet zatroskany.

- Nie - odparłem. - Nie przypuszczam, żeby tego rodzaju rozwiązanie przyszło mu w ogóle na myśl.

Skinął głową, ale najwyraźniej nie był przekonany. Prawdopodobnie nie dałby za wygraną, .gdy jednak wyszliśmy przed gmach, ukłonił mu się jakiś człowiek w obcisłej kurtce, z małą spiczastą bródką i siwiejącymi włosami. Miał wysoki, donośny głos i czekając usłyszałem, jak mówi do Hala: - Och, to nie ten typ, pułkownika, z całą pewnością nie. - Potem coś o jakiejś motorówce i wreszcie: -...dzwonił około półtorej godziny temu... Zaczarterowali ją już chyba przed miesiącem. Tak, stara „Gryzelda”, pamięta pan. Cały kil to próchno, ale pruje jak szatan. - Oddalił się z piskliwym śmiechem i Hal wrócił do mnie. Najwyraźniej był to makler morski z Bosham. - Dosyć dziwne miejsce jak na prowadzenie tego rodzaju interesów - rzekł Hal i po chwili dodał: - Ciekawe, czy to przypadkiem nie Spółka Dellimare’a wynajęła tę łódź, żeby się przekonać, która z francuskich ekip ratowniczych zajęła się „Mary Deare”. Wcale bym się nie zdziwił.

Ruszyliśmy w stronę samochodu i Hal bez przerwy ostrzegał mnie, żebym się z tego nie wycofał za późno. Ale ja cały czas myślałem o Higginsie. Dlaczego zniknięcie Patcha tak go zaniepokoiło?

- John, ale ty wcale nie słuchasz?

- Rzeczywiście. Przepraszam.

- Nic dziwnego. Nikt nie lubi słuchać rad. - Byliśmy już przy samochodzie. - Ale pamiętaj, jeżeli dojdzie do sprawy kryminalnej, musisz im powiedzieć całą historię, dokładnie

tak, jak było, nie czekając, aż ją z ciebie wyciągną. Nie masz pojęcia, co oni potrafią zrobić z człowiekiem w czasie przesłuchania. Dopiero byś sobie nawarzył piwa.

- No, dobrze - odparłem.

Pojechaliśmy na posterunek policji dowiedzieć się, czy nie ma jakichś wieści o Patchu. Dyżurny sierżant powiedział nam jedynie, że widziano go w kilku pubach na terenie portu, że część nocy spędził w nocnym lokalu przy drodze do Portsmouth i że około czwartej rano jakaś ciężarówka podwiozła go w stronę Southampton. Właśnie poszukują kierowcy.

Pokręciliśmy się tam jeszcze chwilę, ale nie dowiedzieliśmy się nic więcej.

- Moim zdaniem - rzekł sierżant ponuro - żadnych wiadomości już nie będzie, poza tą jedną, że znaleziono ciało, jak to się mówi. W raporcie piszą, że ludzie z tego lokalu opowiadali, że wyglądał jak śmierć.

Hal podwiózł mnie do stacji. Pożegnałem się i kupiłem wieczorną gazetę. Zupełnie mimo woli spojrzałem na prognozę: wiatry umiarkowane, północnozachodnie. Czekając na pociąg myślałem o Higginsie, o Spółce Dellimare'a i o tym, że Minki leżą tak blisko Lulworth.

Część trzecia

- „Wiedźma Morska”! Ahoj! „Wiedźma Morska”! Mewy piszcząc zataczały kręgi, a mój głos powrócił do mnie jak samotny krzyk wśród gęstej mżawki..

Jacht leżał bez ruchu na wodach zatoki. Odbicie jego czarnych burt rozpadało się co chwila w kawałki, gdy kocie pazury wiatru drapały lustrzaną powierzchnię wody. Fale rozбивały się u wejścia do zatoki - wokół jak widma we mgle majaczyły wzgórza, szare, pozbawione wszelkiej barwy, o porośniętych trawą stokach przechodzących stopniowo w brudną biel kredowych skał.

I nigdzie żywego ducha.

- Ahoj, „Wiedźma Morska”!

Jakaś postać - żółta plama ubrania sztormowego - poruszyła się na pokładzie. Plusk wiosel... dingi wypłynęła na moje spotkanie. Osiadła ze zgrzytem na mokrym brzegu; wskoczyłem do środka i Mike odbił.

Z ulgą stwierdziłem, że nie muszę mu opowiadać o śledztwie. Czytał to wszystko w gazetach. Kiedy jednak znaleźliśmy się na pokładzie i dingi została umocowana, a moje rzeczy schowane, zaczęły się pytania: Co się stało z Patchem, dlaczego dzisiaj rano nie stawił się na rozprawę.

- Słyszałeś, że został wydany nakaz aresztowania?

- Nakaz aresztowania? Skąd wiesz? - Nie rozumiem, dlaczego był to dla mnie szok.

Wydawało się to bez sensu.

- Podawali w wiadomościach o szóstej.

- A mówili, pod jakim zarzutem?

- Nie, ale na wszystkich drogach wiodących z Southampton i postawili patrole i porty są strzeżone.

Rozmawialiśmy na ten temat w czasie posiłku. Byliśmy tylko we dwóch, Ian pojechał do domu odwiedzić rodzinę, Mike miał do niego zadzwonić, jak tylko będziemy gotowi podnieść żagle. Dotąd jednak nie dzwonił, bo ostatnia prognoza brzmiała: wiatry umiarkowane, północnozachodnie: przechodzące w zachodnie, porywiste; widoczność słaba. Najbardziej w całej tej historii intrygowało Mike'a, niczego Patch nie powiedział w sądzie o propozycji Dlimare'a. Ponieważ sprawę znał tylko z prasy, zachował stąd świeże

wspomnienie wizyty Patcha i teraz, przy wie, przypomniał nagle o paczce, którą ten mi wręczył Paimpolu.

- Mam nadzieję, że nie było tam żadnych istotnych dowodów? - powiedział.

Zupełnie o tym zapomniałem.

- Gdyby były - odparłem - prosiłby mnie z pewnością, bym je wyjął.

Skinąłem głową i poszedłem do kabiny, gdzie schowałem pakiet. Przyniosłem go do mesy. Mike zrobił na stole miejsce, a ja sięgnąłem po nóż. Przecinając sznurki miałem takie uczucie jak w czasie wojny, kiedy trzeba było się zająć resztkami dobytku kogoś z tych biedaków, co dostali kulkę.

- Wygląda na jakąś książkę - powiedział Mike. - Może dziennik okrętowy?

- Nie - odparłem - dziennik był w sądzie.

Po odwinięciu brązowego papieru znaleźliśmy kopertę, na której na maszynie napisane było: „J.C.B. Dellimare”. niżej niebieskim ołówkiem dopisano jedno słowo: „zapłać”. Koperta była rozerwana, a pieczęć banku naruszona, miałem słabą nadzieję, że może Mike się nie myli - może pakiet zawiera jakąś książkę rachunkową Dellimare’a albo spółki, która wyjaśniłaby finansowe motywy sprawy. Wysypałem zawartość koperty na stół - i patrzyłem oniemiały. wśród nakrycia leżał gruby plik pięciofuntowych banknotów. Mike spoglądał na pieniądze z otwartymi ustami. Nigdy w życiu żaden z nas nie widział tyle gotówki naraz. Podzieliłem plik na dwie części.

- Licz! - rzuciłem.

Przez parę minut w mesie nie było słyhać żadnego dźwięku poza szelestem banknotów. Po zsumowaniu wszystkiego otrzymaliśmy okrągłe 5000 funtów. Miki spojrzał na mnie.

- Nic dziwnego, że nie chciał mieć tego przy sobie w czasie odprawy celnej. - I po chwili dodał: - Czy myślisz że mimo wszystko przyjął ofertę Dellimare’a?

Potrząsnąłem głową.

- Gdyby przyjął, po cóż gasiłby ogień, po co osadzałby statek na Minkach? - Pamiętałem, w jakim stanie była kabina, kiedy poszedłem z nim po dingi. - Nie, musiał to wziąć później, po jego śmierci.

- Ale po co?

- Bóg jeden wie - wzruszyłem ramionami. Tak wiele było rzeczy, których nie mogłem zrozumieć. Zebrałem banknoty i włożyłem je z powrotem do koperty. - Jeżeli to było jego honorarium za zatopienie statku - powiedziałem - przyszedłby tu po nie zaraz po wylądowaniu w Angli.

- Tak, to prawda. - Mike wziął ode mnie kopert i marszcząc brwi obracał ją w rękę. - Dziwne, że nie odebrał tych pieniędzy. Tak jakby o nich zapomniał.

Skinąłem głową. Wyszedłem na pokład i zapaliłem świat kotwiczne. Właściwie całkiem niepotrzebnie, byliśmy bowiem jedyną łodzią na kotwicy i trudno przypuszczać, że w taką piekielną noc ktokolwiek znalazł się na wodzie. A w każdym razie miałem jakieś zajęcie. Zapaliłem papieros. Było teraz zupełnie ciemno - staliśmy w niewielkiej plam świetlnej otuleni dokoła szczelnym całunem mżawki. Wiatr zamarł w dali, woda była czarna i bardzo spokojna. Najmniejsza nawet fala nie uderzała o burtę, a jedyny odgłos był słaby poszum przyboju omywającego plażę. Stałem tak w nikłym blasku światła kotwicznego pal papierosa i zastanawiając się, co zrobić z tą cholerną forsa. Gdybym oddał ją władzom, musiałbym się tłumaczyć, skąd ją mam. A może wysłać pieniądze anonimowo, inauguruje ten sposób fundusz pośmiertny ofiar morza? Bo przecież nie oddam ich matce Patcha... i niech mnie wszyscy diabli, nie zwrócę je Spółce Dellimare'a..

Stałem pogrążony w myślach tak długo, aż mój papieros nasiąkł wilgocią. Wyrzuciłem go za burtę i szedłem na dół. Mike sprawdzał aparat nurkowy.

- Nie napiłbyś się czegoś? - spytałem.

- Dobra myśl! - skinął głową.

Wyjąłem butelkę i szklaneczki. Nie odzywałem się do Mike'a. Nie chciałem mówić na ten temat. Siedziałem z papierosem, popijając, i jeszcze raz analizowałem w myśli łą tę historię. Dłuższy czas panowało milczenie.

Nie wiem już, który z nas usłyszał to pierwsze - dość, że igle spojrzeliśmy po sobie nasłuchując. Dźwięk dochodził od strony dziobu i przypominał plusk.

- Co to może być? - Mike poderwał się na nogi. Plusk umilkł, za to na pokładzie nad naszymi głowami dały się słyszeć kroki, które powoli skierowały się w stronę rufy. Zamarliśmy w oczekiwaniu. Kroki zbliżyły się do luku. okrywa została cicho odsunięta, a w otworze ukazały się białe stopy; za nimi ociekające wodą nogawki - wreszcie cała postać mężczyzny przemoczonego do suchej nitki, stanął nagle u stóp trapu, mrugając pod wpływem światła, był blady jak śmierć, czarne włosy strąkami oblepiały głowę, a z ubrania skapywała woda.

- O Boże! - zawołałem zbyt zdumiony, by zdobyć się na cokolwiek innego. Stał trzęsąc się i dzwoniąc zębami, a ja patrzyłem na niego jak na gościa z zaświatów.

- Czy mógłbym prosić o ręcznik?... - Patch zaczął zdejmować przemoczone ubranie.

- Więc jednak Higgins miał rację... - powiedziałem.

- Higgins?

- Tak. Mówił, że pan na pewno przyjdzie na „Wiedźmę Morską”. - I po chwili dodałem: - A właściwie po co pan tu przyszedł? Byłem pewien, że pan nie żyje. - Mój Boże, nieomal tego pragnąłem uświadomiwszy sobie okropną sytuację, w jakiej mnie postawił. - Po kiego diabła pan tu przyszedł?

Zlekceważył mój wybuch. Jakby go nie słyszał albo jakby nic do niego nie docierało.

Mikę przyniósł mu ręcznik i Patch zaczął się wycierać: Stał przed nami nago - twardy, muskularny, ogorzały od słońca Adenu. Dygocąc poprosił o papierosa. Kiedy mu podałem, zapalił i zaczął wycierać włosy.

- Jeżeli pan się łudzi, że przeszmuglujemy pana do Francji, to pan się myli - powiedziałem. - Nie mamy zamiaru. Spojrzał na mnie z lekka nachmurzony.

- Do Francji? - Mięśnie jego żuchwy napięły się. - Chcę się dostać na Minki. Pan mi obiecał. Ofiarowywał pan swój jacht. - W jego głosie zabrzmiała natarczywość.

Nie spuszczałem z niego oka. Na miłość Boską, chyba nie myślał poważnie o dostaniu się na Minki!

- To było wczoraj wieczór - powiedziałem.

- Wczoraj wieczór, dziś wieczór... co za różnica? - Patch podniósł głos. Przerwał wycieranie, a na jego twarz; odmalowała się wątpliwość. Jak gdyby idąc tu był pewien że wszystko w porządku, i nagle przekonał się, że tak nie jest.

- Pan pewno nie wie - powiedziałem próbując złagodzić cios - że został wydany nakaz aresztowania pana.

Nie okazał zdziwienia, jakby tego oczekiwał.

- Długo spacerowałem wczoraj wieczorem usiłując powziąć decyzję - rzekł. - W końcu doszedłem do wniosku że gdybym dziś rano stawił się w sądzie, nigdy nie dostałbym się na „Mary Deare”. Więc jestem tutaj. Szedłem piechotą ze Swanage i pół dnia czekałem na wzgórzach, aż się ściemni.

- Czytał pan gazetę?

- Nie. A co takiego?

- Zlokalizowali „Mary Deare” i francuska ekipa ratownicza usiłuje ją ściągnąć na wodę. Mają zrobić dokładny przegląd wraka i jeśli pan uważa, że jest coś...

- Dokładny przegląd wraka. - Wydał się zaskoczony. Kiedy? Czy to zostało ogłoszone w sądzie? - dodał.

- Tak.

- Kto im powiedział, gdzie jest statek? Gundersen?

- Gundersen? Nie. Kapitan portu Saint Helier zawiadomił urzędnika awaryjnego. Jakiś rybak z wyspy Jersey musi zauważyć. Prawdopodobnie widział ludzi z ekipy ratowniczej.

- W porządku - powiedział z ulgą. - Ale będziemy musieli się spieszyć. - Wziął ręcznik. - Macie coś do picia? Sięgnąłem do szafki i podałem mu butelkę rumu i szklanek. Ręce mu się trzęsły, kiedy nalewał.

- Potrzebne mi będzie jakieś ubranie - wychylił szklaneczkę jednym haustem i przez chwilę nie mógł złapać tchu. Teraz, jak już wiedzą, że ma być oficjalny przegląd statku, musimy wziąć tempo.

Mike wyjął z szafki ubranie i położył na stole. Patch wziął bluzę.

- Jak szybko możecie wyruszyć? - zapytał.

Spojrzałem na niego.

- Czy pan nie rozumie - powiedziałem - że wydano nakaz aresztowania pana? W żaden sposób nie mogę pana brać.

Był właśnie w trakcie wkładania bluzy. Przerwał z oczyma utkwionymi we mnie. Przypuszczam, że dopiero teraz dotarło do niego, że my naprawdę nie zamierzamy go wziąć.

- Ale... ja na was liczyłem. - Jego głos nagle zabrzmiał bezradnie. I po chwili dodał ze złością: - Przecież jeszcze wczoraj obiecywaliście mnie wziąć. To była jedyna szansa i...

- No, ale pan z niej nie skorzystał - odparłem. - Powiedział pan, że już jest za późno.

- No bo było.

- Jeśli było za późno wtedy, tym bardziej jest teraz.

- Jak mogłem przyjąć waszą propozycję? Chcieli mnie przecież aresztować, byłem tego pewien. I gdybym poszedł dziś rano do sądu...

- No, ale pan nie poszedł.

- Nie.

- Dlaczego nie? Czy pan nie widzi, w jak nieprawdopodobnej sytuacji pan się znalazł?

- Pochyliłem się do przodu, postanowiłem dotrzeć do sedna prawdy. - Teraz, kiedy jest i pana obława policyjna, kiedy wszyscy są przeciwko panu, cóż, na miłość boską, skłania pana, żeby tam płynąć? Wciągnął bluzę przez głowę i oparł się o krawędź stołu.

- Coś, czego dowiedziałem się wczoraj wieczór i co mnie przekonało, że muszę się dostać na „Mary Deare” jak najszybciej.

Na moment zapadła cisza. Patrzyliśmy na niego wyczekująco. Po chwili podjął:

- Ta ekipa ratownicza jest opłacana przez Spółkę Dellimare’a.

- Skąd pan wie? - Nigdy w życiu nie przyszłoby mi to do głowy. - Skąd pan może o tym wiedzieć, skoro dopiero co ogłoszono, że ekipa ratownicza w ogóle jest na wraku.

- Zaraz wam powiem. - Zaczął wkładać pozostałe części garderoby Mike'a. - Wczoraj wieczorem, kiedy wróciłem do siebie, poszedłem na górę po płaszcz. Wybierałem si właśnie na spacer, żeby to wszystko przemyśleć. I przed domem spotkałem Janet... to znaczy pannę Taggart.. czekała na mnie na ulicy. Przyszła... - wzruszył ramiona mi. - A zresztą wszystko jedno, ale to właśnie zadecydowało. Wiedziałem, że ona we mnie wierzy. Przeszukałem wszystkie puby w okolicach portu. Byłem pewien, że w jednym z nich znajdę Burrowsa. Burrows nie może wytrzymać, żeby si nie zalać, jak tylko ma forszę, a miał ją z całą pewnością. Znalazłem go w starej części miasta i opowiedział mi to wszystko... pijany w sztok, okrutny, pewny siebie. Nienawidzi mnie za moją silną wolę, dlatego powiedział mi o tej ekipie ratowniczej. Triumfował, wiedział, że jak zatopią Statek nie zdołam już nic udowodnić. A to wszystko, bo mu kiedyś powiedziałem, że nie ma o niczym pojęcia i że moja w tym głowa, aby już nigdy nie był pierwszym mechanikiem.

Przerwał i łyknął trochę rumu. Wiatr wzmagał się i tle tej ciszy jego zawodzenie w olinowaniu stało się nagle głośne. Patch wciągnął sweter Mike'a i usiadł naprzeciw mnie. Ciągle jeszcze drżał.

- Higgins musiał obliczyć dla Gundersena kurs nasze dryfu. W każdym razie byli przekonani, że ona jest Minkach. Wynajęli łódź i popłynęli tam. A jak ją znaleźć. Gundersen zlecił tej francuskiej ekipie wyciągnięcie jej stamtąd.

- Dobrze, ale cóż to ma dla pana za znaczenie? -

Wielkie. - Przecież to zupełnie naturalne, że Spółka Dellimare'a chce odzyskać statek.

Patch odwrócił się do niego, rozsunął wargi w uśmiechu.

- Oni nie mają zamiaru go odzyskać - odparł. - Po prostu chcą, aby ta francuska ekipa go ściągnęła, to będą mogli zatopić „Mary Deare” na głębokiej wodzie.

Zauważyłem, że Mike patrzy na niego jak na szaleńca.

- I pan rzeczywiście uważa, że coś podobnego mogłoby mu się udać? - zapytał.

- Dlaczego nie?

- Ale przecież żadna ekipa ratownicza...

- Ekipa ratownicza nie ma tu nic do rzeczy. Kontrakt przewiduje tylko ściągnięcie na wodę i doholowanie statku do Southampton. Higgins i Burrows będą z pewnością na pokładzie „Mary Deare”, już Gundersen tego dopilnuje. No, a wtedy wszystko jest proste. Wystarczy, że Burrows otworzy zawory denne i „Mary Deare” spokojnie pójdzie sobie na dno na końcu liny holowniczej. Przypuszczam, że miną Casquets i zatopią ją gdzieś na

wysokości Hurd Deep. Statek zostanie na głębokości jakichś sześćdziesięciu sążni; wszyscy pomyślą, że to po prostu pech, i złożą wypadek na karb uszkodzeń kadłuba po miesiącach leżenia na Minkach. - Odwrócił się do mnie. - Teraz pan już rozumie? Muszę się tam dostać, Sands. To moja jedyna nadzieja. Muszę mieć dowód.

- Na co? - spytał Mike.

Patch spoglądał to na jednego, to na drugiego z nas. Jego oczy biegały szybko, niespokojnie.

- Muszę mieć pewność, że w ładowniach dziobowych rzeczywiście miała miejsce eksplozja.

- Ja byłbym zdania, że to raczej sprawa władz - zauważył Mike.

- Władz? O, nie. To ja muszę mieć pewność.

- Ale przecież niewątpliwie - wtrąciłem - gdyby pan poszedł do władz i powiedział im prawdę, no i o tej propozycji Dellimare'a...

- Nie mogę tego zrobić. - Nie przestawał na mnie patrzeć, a cała energia jego spojrzenia jak gdyby się wypaliła.

- Dlaczego? - spytałem.

- Dlaczego? - Spuścił wzrok i bawił się szklaneczką. - Pan przecież był ze mną na statku - wyszeptał. - No, chyba, na miłość Boską, domyślił się pan dlaczego. - Po chwili dodał szybko: - Nie zadawajcie mi już żadnych pytań. Po prostu zabierzcie mnie tam. A potem... - zawahał się. - Jak już się upewnię... - zamiast dokończyć, spojrzał mi w twarz. - No więc? Weźmiecie mnie?

- Bardzo mi przykro - odparłem. - Musi pan zrozumieć, że teraz to niemożliwe.

- Ale... - schwycił moją rękę - czy pan jeszcze nie rozumie? Przecież oni ją ściągną i zatopią na głębokiej wodzie. A wtedy nigdy się nie dowiem...

Był taki przegrany, że zrobiło mi się go żal.

Nagle w jego oczach zabłysła iskra gniewu.

- Myślałem, że jest pan trochę odważniejszy, Sands - powiedział i głos mu zadrżał. - Myślałem, że zaryzykujecie... pan i Duncan. Do diabła! Przecież mi obiecaliście!

Znów zaczęło go ogarniać podniecenie, mięśnie ręki napięły się - już nie był oklapły i, o dziwo, w jego głosie zabrzmiała siła, gdy się odezwał:

- Ale chyba nie boicie się tylko z powodu tego nakazu aresztowania, prawda?

- Nie - odparłem. - Nie tylko.

- Więc dlaczego?

Sięgnąłem po pakiet.

- To jest jeden z powodów - powiedziałem i rzuciłem mu przed nos kopertę, tak że pięćofuntówki wysypały się z niej na stół - białe, wyraźne, z czarnymi obwódkami jak nekrologi. - I pan pozwolił, żebym ja to zabrał nie wiedząc, co tam jest. - Obserwowałem go, jak patrzył zmieszany na banknoty, i po chwili podjąłem: - A teraz może pan nam powie prawdę: dlaczego wziął pan te pieniądze i dlaczego nie powiedział pan w sądzie o propozycji Dellimare'a?

Zawahałem się; nie spuszczałem z niego wzroku, ale on unikał mojego spojrzenia. - Pan wziął te pieniądze z kabiny Dellimare'a już po jego śmierci, prawda?

- Tak - w głosie Patcha zabrzmiało zmęczenie i wyczerpanie.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Podniósł na mnie oczy. Były to oczy człowieka, którego po raz pierwszy spotkałem na „Mary Deare”. - Po prostu dlatego, że tam były. Myślę, że już wtedy nie należały do niego... a zresztą nie wiem... - Zmarszczył czoło, jak gdyby usiłował skupić się na czymś co go nie interesowało. Robił wrażenie człowieka zagubionego w piekle tragedii osobistej. - To było głupie z mojej »trony. I niebezpieczne. Ale zdałem sobie z tego sprawę dopiero później... no, cóż... byłem załamany. Kiedy człowiek wie, że musi walczyć z całą grupą ludzi, aby im udowodnić, że się zrobiło wszystko, żeby uratować statek, którego oni nie chcieli ratować... - przerwał, myślami w dalszym ciągu błądząc gdzie indziej.

- Czy właśnie dlatego nie powiedział pan w sądzie o propozycji Dellimare'a? - zapytałem.

- Nie. - Poderwał się nagle. - Nie, nie dlatego. - Stał wyglądając przez otwarty luk; po chwili wrócił do stołu. - Czy jeszcze nie rozumiecie? - Utkwił wzrok w mojej twarzy. - Ja go zabiłem.

- Dellimare'a? - Patrzyłem na niego w ciszy doznanego szoku.

- On wcale nie wypadł za burtę. - A po pauzie dodał: - Ciało jest jeszcze na „Mary Deare”.

Byłem tak oszołomiony tą wiadomością, że nie mogłem nic wykrztusić. I wtedy nagle jak potok popłynęła cała historia.

Stało się to tej nocy, kiedy był sztorm, zaraz po tym, jak mu doniesiono o wybuchu ognia w radiokabinie. Wyszedł właśnie na mostek sprawdzić, czy będzie można stamtąd opanować ogień, kiedy zobaczył Dellimare'a idącego górnym pokładem w stronę rufy.

- Ostrzegłem, że go zabiję, jeśli tylko zobaczę, że coś kombinuje ze statkiem. Nie miał najmniejszej potrzeby iść na rufę.

Rzucił się wtedy za nim i dopadł rufowej części pokładu w momencie, kiedy Dellimare zniknął w luku kontrolnym ładowni czwartej.

- Powinienem po prostu zatrzasnąć za nim pokrywę i koniec.

Zamiast tego jednak poszedł za Dellimare'em do ładowni i zastał go tam przyczajonego koło przedniej grodzi, z ręką między górną skrzynią ładunku a blachą poszycia.

- Pamiętam świetnie jego twarz, przerażoną, upiornie bladą w świetle mojej latarki. Na pewno wiedział, że przyszedłem go zabić.

Głos Patcha drżał, kiedy opowiadał nam o tym wszystkim, co już tak długo w sobie dławił.

Dellimare poderwał się z krzykiem, trzymając w ręku coś w rodzaju walca. Patch podszedł do niego z zimną, dynamiczną furią i wyrzucił go pięścią w twarz. Padając Dellimare roztrzaskał sobie głowę o stalowy kątownik.

- Chciałem go złamać, zmiażdżyć, zniszczyć, chciałem go zabić. - Wpatrzony w nas oddychał ciężko, a światło pogłębiało tylko cienie na jego twarzy. - Za dużo już tej nocy wydarzyło się na statku: zalane ładownie dziobowe, pożar w radiokabinie i... jeszcze ten nędzny szczer schodzący tam na dół... a przez cały czas wiatr o sile sztormu. Do diabła! Co byście zrobili na moim miejscu? Byłem przecież kapitanem. Statek w śmiertelnym niebezpieczeństwie... a on usiłuje go zatopić. Uprzedzałem go... - Urwał nagle i otarł czoło.

Potem spokojniej już mówił o tym, co się stało, gdy Dellimare leżał zwinięty w bezkształtny kłębek na jednej ze skrzyń z silnikami lotniczymi, a krew prześwitywała przez jasne, rzadkie włosy. Nie zdawał sobie sprawy, że go zabił - w każdym razie jeszcze nie wtedy. Po trochu gniew go opuszczał i zdołał jakoś wwindować Dellimare'a po pionowym trapie na górę. W pewnym momencie fala zalewająca pokład o mało nie ścięła go z nóg, dotarł jednak na górny pokład. Obierając tę drogę miał pewność, że nie spotka nikogo z załogi. Kiedy zbliżył się do nadbudówki śródokręcia, w świetle padającym z iluminatorów zobaczył jego głowę. Wiedział już, że Dellimare nie żyje.

- Miał skręcony kark - powiedział martwo, beznamiętnie.

- Ale przecież mógł pan powiedzieć, że miał wypadek, że spadł do ładowni czy coś w tym rodzaju - zasugerowałem. Przypomniał mi się czarny pył i odgłos zgarnianego węgla i zrozumiałem, co to miało znaczyć.

Sięgnął po papierosy, zapalił i znów usiadł naprzeciwko mnie.

- Musiała mnie ogarnąć panika - odparł. - Biedak nie wyglądał przyjemnie: cały tył głowy zmasakrowany. - Najwyraźniej znów widział krew i kołyszącą się głowę, bo krople potu pokryły mu czoło. - Postanowiłem wyrzucić go za burtę.

Położył ciało, żeby je dokładnie obejrzeć, i kiedy się schylił, by je podnieść, zobaczył w drzwiach nadbudówki Higginsa. Oczywiście byłoby szaleństwem nieść wtedy właśnie ciało do relingu. Dziwnym trafem jednak właz do lewego bunkra stał akurat otworem - zrzucił ciało po pochylni i zatrzasnął pokrywę.

- Dopiero w kilka godzin później zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. - Zaciągnął się papierosem, ręce mu drżały. - Zamiast pozbyć się tego człowieka, czułem ciężar jego ciała, jak kamień młyński u szyi. - Zniżył głos do szeptu; przez chwilę siedział w milczeniu. Potem dodał: - Kiedy pan przyszedł na pokład, spuściłem akurat do bunkra sztormtrap, chciałem się dostać do ciała, ale kołysanie statku pogrzebało je pod tonami węgla.

Zapanowała długa cisza, podczas której słyszałem wysoką, śpiewną nutę wiatru w olinowaniu. Łańcuch kotwiczny dzwonił po kamieniach w takt kołysania jachtu. Potem, ze spuszczoną głową, powiedział do siebie:

- Zabiłem go, bo uważałem, że tak będzie sprawiedliwie. Uważałem, że zasłużył na śmierć. Byłem przekonany, że uratuję w ten sposób życie przeszło trzydziestu ludzi... w tym swoje własne.

Spojrzał na mnie.

- No, powiedziałem już całą prawdę.

Skinąłem głową. Wiedziałem, że to była prawda. Wiedziałem, dlaczego musiał tam wracać, dlaczego nie mógł powiedzieć w sądzie o propozycji Dellimare'a.

- Powinien pan być iść na policję - powiedziałem - zaraz po przyjeździe do Anglii.

- Na policję? - Patrzył na mnie bez kropli krwi w twarzy. - Jak mogłem?

- No, ale gdyby im pan powiedział o propozycji Dellimare'a...

- A czy pan myśli, że by mi uwierzyli? To byłyby przecież tylko moje słowa. Nie miałem żadnych dowodów. W jaki sposób mógłbym na przykład usprawiedliwić... - Jego wzrok pobiegł w stronę leżącej na stole koperty. - Widzi pan te pieniądze? - Wyciągnął rękę i wziął całą garść piątek. - On mi to proponował. Całą sumę. Miał ją u siebie w kabinie i wyłożył przede mną całe pięć tysięcy... z tej koperty, która tu leży. Zebrałem wszystko i rzuciłem mu w twarz. Powiedziałem, że prędzej spotkamy się w piekle, niż zrobię dla niego tę brudną robotę. I właśnie wtedy go ostrzegłem, że go zabiję, jak będzie próbował działać przeciwko mnie i na szkodę statku. - Przerwał na chwilę, oddychając ciężko. - A potem ten sztorm i woda w ładowniach dziobowych, i pożar w radiokabinie, i... jak go znalazłem tam na

dole... - Nie spuszczał ze mnie oczu. Miał twarz zmęczoną i ściągniętą jak wtedy, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem. - Byłem tak pewien, że postąpiłem słusznie... wtedy... - wyszeptał.

- No, dobrze, ale to był przypadek - powiedział Mike. - Do diabła, przecież nie zamierzał pan go naprawdę zabić.

Patch wolno potrząsnął głową, przegarniając palcami włosy.

- Nie, to nieprawda - odparł. - Ja zamierzałem go zabić. Do szalu doprowadzała mnie myśl o tym, na co chciał mnie namówić i... co usiłował zrobić. Mój pierwszy statek od dziesięciu lat... - Znow popatrzył w szklaneczkę. - Kiedy osadziłem statek na Minkach, myślałem, że będę mógł wrócić, pozbyć się ciała i jakoś udowodnić, że on chciał zatopić „Mary Deare”. - Spojrzał na mnie. - Czy pan nie może tego zrozumieć? Ja muszę się przekonać, że to było słuszne.

- Ale jednak to był przypadek - powiedziałem łagodnie. - Mógł pan przecież zgłosić się do władz... - zawahałem się, po czym dodałem: - Był przecież czas, kiedy pan się do tego przygotowywał... kiedy pan zmienił kurs na Southamton po okrążeniu Ushant.

- Miałem jeszcze statek - wymamrotał, a ja uświadomiłem sobie, co znaczył statek dla człowieka takiego jak Patch.

Dopóki czuł pod nogami pokład „Mary Deare” i był jej kapitanem, ufał sobie, ufał w słuszność swoich poczynań. Sięgnął po butelkę.

- Można jeszcze? - W głosie jego brzmiała rezygnacja. Patrzyłem, jak sobie nalewa, i w tym momencie zrozumiałem jego rozpaczliwą potrzebę usprawiedliwienia się. uprzytomniłem sobie jego reakcję na widok załogi stłoczonej jak stado owiec wokół Higginsa na policji w Paimpolu. pierwszy statek od dziesięciu lat, znów ta sama historia. Co a potworna złośliwość losu.

- Kiedy pan jadł ostatni raz? - zapytałem.

- Nie wiem. To zresztą nieważne. - Przełknął trochę alkoholu, oklapły, z drżącymi rękami.

- Przyniosę panu coś do zjedzenia. - Wstałem i poszedłem do kuchni. Zrazy w szybkowarze były jeszcze gorące. Nałożyłem mu na talerz i postawiłem przed nim. Zawołałem Mike'a na pokład. Świeży powiew przerzedził mgłę; niewyraźne sylwetki wzgórz rzucały wokół zatoki garbate cienie, które rozplływały się w wąskim gardle jej wejścia. Stałem przez chwilę zachodząc w głowę, jak mu to wyperswadować. Ale Mike zgadł, o czym myślę.

- Chcesz wziąć „Wiedźmę Morską”, prawda, John? Skinąłem głową.

- Na cztery dni - odparłem. - Najwyżej pięć. Nie więcej. Mike patrzył na mnie, błądy w słabym blasku światła kotwicznego.

- A czy nie lepiej byłoby oddać tę całą sprawę w ręce władz?...

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, jak mu wytłumaczyć, co czuję. Po chwili odezwał się:

- Więc ty mu wierzysz, wierzysz, że Spółka Dellimare'a chciała zatopić statek?

- Nie wiem - wymamrotałem. Nie byłem pewien. - Ale jeśli przyjmujemy, że ładunek został zamieniony, że wszystko było z góry uplanowane... - zawahałem się na wspomnienie Higginsa. A jeśli to on podłożył ogień w radiokabinie, pobił Patcha i wywołał wśród załogi panikę... - Tak - powiedziałem - ja mu jednak wierzę.

Mike milczał. Odwrócił się ode mnie wpatrzony w wejście zatoki. W końcu odezwał się:

- Czy jesteś tego pewny, John? Pomyśl, ty przecież podejmujesz dla niego szalone ryzyko.

- Jestem całkowicie pewny - odparłem.

Skinął głową.

- Okay. Wobec tego im prędzej wyruszymy, tym lepiej.

- Ty przecież nie musisz płynąć - powiedziałem.

Spojrzał na mnie z tym swoim flegmatycznym, poważnym uśmiechem.

-,Wiedźma Morska” i ja zawsze jesteśmy razem - odparł. - Nie uda ci się wziąć jednego bez drugiego. - Spojrzał w górę na top masztu; proporczyk nie został ściągnięty i wskazywał wiatr zachodni. - Chyba będziemy mogli płynąć pod żaglem. - Uważał, że pod żaglem będzie lepiej, bo nasz silnik był nastawiony na moc, a nie na szybkość.

Na dole zastałem Patcha rozpartego w krzesle, ze szklaneczką w ręku; palił papierosa. Jedzenie stało nie ruszone. Oczy miał przymknięte, lekko kołysał głową. Nawet nie spojrzał, kiedy weszliśmy.

- No, to szykujmy się do drogi - powiedziałem.

Nie drgnął.

- Zostaw go - poradził Mike. - Damy sobie radę sami. Pójdę zapuścić motor. - Zaczął naciągać sweter.

Ale Patch słyszał. Powoli odwrócił głowę.

- Dokąd płyniecie, do Southampton? - Jego głos był martwy, bez życia.

- Nie - odparłem. - Zabieramy pana na Minki.

Spojrzał na mnie.

- Minki - powtórzył wolno, nie mogąc ogarnąć tego przyćmionym umysłem. - Płyniecie do „Mary Deare”? - I nagle zerwał się na nogi potracając stół i tłukąc szklaneczkę.

- Naprawdę? - Rzucił się w moją stronę chwytając mnie obiema rękami. - Chyba nie mówi pan tego po to, żeby mnie uspokoić. Myśli pan poważnie, prawda?

- Tak - odparłem. - Jak najpoważniej. - Zupełnie jakbym usiłował przekonać dziecko.

- O, Boże! - wykrzyknął. - O, Boże, a ja myślałem, że już wszystko stracone. - Zaczął się nagle śmiać, potrząsał mną, ścisnął Mike'a za rękę. - Myślałem, że oszaleję - powiedział. - Ta okropna niepewność. Po dziesięciu latach człowiek dostaje statek i znów jest kapitanem, i... Nie macie pojęcia, co to jest nagle stracić wiarę w siebie... - Zaczął palcami przeczesywać włosy, oczy mu zabłyśły, nabrały życia. Jeszcze nigdy nie widziałem go takim. Odwrócił się i zgarnął całą kupkę piątek leżących na stole.

- Proszę, niech pan to weźmie... - Wcisnął mi pieniądze do ręki. - Nie chcę tego. To wszystko dla pana.

Nie był pijany. Po prostu oszołomiony - reakcja po zbyt silnym napięciu nerwowym.

Odsunąłem banknoty.

- O tym pogadamy później - powiedziałem. - Dopłynie pan na Minki bez mapy?

Robił w tej chwili wrażenie, jak gdyby jego umysł nagle zaskoczył. Zawahał się jak żeglarz rozstrzygający problem nawigacyjny.

- To znaczy z Les Sauvages do „Mary Deare”?

- Tak.

Kiwnął głową. Zmarszczył czoło - myślał intensywnie.

- Tak. Tak, oczywiście, pamiętam kurs. Ale wszystko zależy od prądów. Macie „Locję Kanału”?

Skinąłem głową. Miałem mapy Kanału. Brakowało mi tylko szczegółowej mapy Minków.

- Postawimy żagiel przed podniesieniem kotwicy - powiedziałem. - Sięgnąłem po kurtkę i poszliśmy na pokład wyjąć z pokrowców grot i bezanżagiel. Posłałem Mike'a, żeby uruchomił silnik, podczas gdy my z Patchem wsadziwszy listwy do pochw wciągnęliśmy grot i zaknagowaliśmy jego fał tak, że lik żagla napiął się sztywno. Starter jęknął i motor zaskoczył wprawiając w drgania pokład pod moimi stopami. „Wiedźma Morska” nagle ożyła. Wciągnęliśmy dingi na pokład i na jachcie przygotowanym już do drogi zaczął się ruch.

Usłyszałem to w momencie, kiedy przymocowywałem kliwer do forsztagu: od strony morza dochodził wyraźny stukot silnika. Stałem chwilę nasłuchując, potem zgasilem światło kotwiczne i pobiegłem na rufę krzycząc do Mike'a, żeby podnosił kotwicę. Mógł po prostu nadpływać jakiś inny jacht, ale było wątpliwe, żeby w taką noc ktokolwiek chciał narażać łódź wymacując w ciemności drogę, i to jeszcze do Lulworth Cove! Poza tym nie miałem

najmniejszej ochoty, żeby nas tu przyłapano z Patchem na pokładzie. Byliśmy w tej chwili w niezgodzie z prawem i chciałem się wydostać z zatoczki niepostrzeżenie. Zgasilem światła i wysłałem Patcha na dziób do pomocy Mike'owi. Po chwili byłem przy kole sterowym. Łańcuch nawijał się szybko, gdy z włączonym silnikiem wciągałem kotwicę.

Odgłos zbliżającej się łodzi był już teraz zupełnie wyraźny, a od strony skał dochodziło echo stukotu silnika. Jasny punkt światła topowego pojawił się w wyjściu z zatoki wznosząc się i opadając wraz z falą. Mrugnęło zielone oko prawego światła pozycyjnego, a następnie czerwone, gdy wykręcili.

- Kotwica puściła! - zawołał Mike.

- Zostaw to! - odkrzyknąłem. - Stawiaj kliwer!

Duża biała plama żagla popłynęła w górę na tle ciemności. Wybrałem szoty i „Wiedźma Morska” zaczęła sunąć po fali, gdy skierowałem jej dziób w stronę morza. Nadchodząca łódź była właśnie dokładnie w gardzieli zatoki.

- Jak myślisz, co to może być, policja? - zapytał Mike, który wrócił na rufę, żeby mi pomóc w klarowaniu szotów.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Stawiaj bezan.

Na moment mignęła mi w mroku twarz Patcha wpatzonego w morze. Potem widziałem, jak idzie na rufę pomagać Mike'owi. Trzymałem silnik na zmniejszonych obrotach, by nas nie usłyszeli poprzez warkot własnego motoru, w nadziei, że uda mi się wymknąć niepostrzeżenie w ciemnościach.

Wiatr w zatoczce był bardzo słaby, mimo to posuwaliśmy się stale obranym kursem. Tamci pomału wpływali środkiem zatoki, reflektorem oświetlając skały u wejścia. Za chwilę byli już wewnątrz i - sunęliśmy prosto na nich. Pod żaglem miałem niewielkie możliwości manewrowania. Nie pozostało mi nic innego jak trzymać kurs i mieć nadzieję, że nas miną.

Ale oni lecieli prosto i minęliśmy się tak blisko, że widziałem dokładnie kształt dużej motorowej łodzi z oświetlonym dziobem i długą, pochyłą nadbudówką. Mignęła mi nawet niewyraźna sylwetka człowieka w sterówce wypatrującego nas wśród nocy.

Nagle ich reflektor przebił ciemność oślepiając mnie na chwilę i wychwytyjąc z mroku biały trójkąt naszego grotżagla. Jakiś głos zawołał w naszą stronę. Przypuszczam, że pytał o nazwę jachtu, ale słowa utonęły w ryku naszego motoru, który szedł teraz na pełnych obrotach. Żagle łopotały wściekle, kiedy płynęliśmy po zawietrznej skał i jacht wznosił się na fali. Wreszcie byliśmy na pełnym morzu i wiatr wypełnił żagle. „Wiedźma Morska” położyła się na burcie. Spieniona dziobem woda przesuwała się wzdłuż kokpitu, podczas gdy jacht mknął naprzód pędzony silnikiem i żaglem.

- Zawracają! - krzyknął Mike.

Spojrzałem do tyłu. Ich światła topowe oraz zielone i czerwone pozycyjne widoczne były za nami na tle ciemnego zarysu lądu. Wypływali właśnie z zatoki.

Mike skoczył do kokpitu naciągnąć szot grota, a ja skierowałem jacht na południe. Z wszystkimi światłami wygaszonymi - nawet bez lampy kompasowej - sterowałem z wiatrem, oglądając się od czasu do czasu przez ramię za motorówką. Jej topowe światło tańczyło najpierw na fali w przesmyku, a potem kołysało się monotonicznie, rytmicznie, gdy wypłynęli na morze. Czerwone i zielone światła pozycyjne pozostały utkwione w nas jak para oczu. Reflektor sondując noc ukazywał to tu, to tam czarną pomarszczoną powierzchnię.

- Gdybyśmy wyruszyli pół godziny wcześniej... - Patch spoglądał w stronę rufy.

- A gdybyśmy wyruszyli o pięć minut później - uciął Mike - już byłby pan w areszcie.

- Jego głos zdradzał krańcowe zdenerwowanie i wiedziałem, że Mike jest z tego niezadowolony nie mniej niż ja. - Pójdę wciągnąć kotwicę na pokład - oświadczył oddalając się w stronę dziobu. Wysłałem za nim Patcha.

Teraz, kiedy jacht był w ruchu, w kokpicie zrobiło się zimno. Nie docierało to jednak do mojej świadomości. Zastanawiałem się nad goniącą nas łodzią. Zbliżała się nieznacznie, a jej reflektor, sięgający do nas poprzez wzburzoną wodę, zapalał nasze żagle jakimś widmowym blaskiem. Już nie sondował mroku; był nastawiony prosto na nas i nie miałem najmniejszej wątpliwości, że nas wychwyił. Deszcz znowu zelżał i białe płótna zaczęły nas zdradzać.

Na dziobie Mike zwijał fały, a Patch przymocowywał kotwicę. Przyszli razem na rufę.

- John, czy nie lepiej byłoby stanąć?

- Przecież jeszcze wam nie kazali. - Głos Patcha był twardy, natarczywy. - Nie macie obowiązku robić nic bez wyraźnych sygnałów. - Był znów na morzu, a człowiek we własnym żywiole nie poddaje się tak łatwo. Wszedł do kokpitu. Jego twarz stężała i znów nabrała wyrazu siły. - No więc, płynie pan czy nie?

Nie było to wyzwanie w całym tego słowa znaczeniu, tym bardziej nie groźba, a jednak zabrzmiało tak, że zastanowiłem się, co by zrobił, gdybym mu odmówił.

Mike poderwał się, jego porywcze usposobienie wzięło górę.

- Jeśli uznamy za stosowne zatrzymać jacht, zrobimy to na pewno.

Zgaszono reflektor. Nagle spłynęła na nas ciemność.

- Ja pytałem Sandsa. - Głos Patcha zadrżał w mroku.

- John i ja jesteśmy współwłaścicielami tego jachtu - rzucił Mike. - Męczyliśmy się razem, harowaliśmy, sporządzali plany, żeby się dorobić własnego sprzętu, i nie mamy

zamiaru go narażać po to tylko, żeby pana wyciągnąć z tej kabały. - Wszedł do kokpitu starając się utrzymać równowagę mimo kołysania jachtu. - Powinieneś stanąć - zwrócił się do mnie. - Tamci są coraz bliżej i jak policja zobaczy Patcha na pokładzie, będzie nam dosyć trudno udowodnić, że nie mieliśmy zamiaru przeszwarować go za granicę, zwłaszcza z całą tą forszą tam na dole. Złapał mnie za ramię. - Słyszysz, John?! - krzyczał poprzez warkot silnika. - Musisz stanąć, zanim ta łódź policyjna nas dogoni.

- To może wcale nie być policja - odparłem. Myślałem o tym cały czas, jak byli na dziobie. - Policja wysłałaby wóz patrolowy, nie łódź.

- Jeśli nie policja, to któż, do diabła?

Spojrzałem przez ramię, zastanawiając się, czy przypadkiem wyobraźnia nie wzięła góry nad zdrowym rozsądkiem. Ale nie - łódź w dalszym ciągu płynęła za nami. Jej białe światło topowe, rozkołysane na fali, ukazywało smukłą sylwetkę masztu i zarys nadbudówki.

- A jednak jest - wymamrotałem.

- Co?

Obróciłem się do niego.

- Dobrze jej się przyjrzałeś, Mike, jak wypływaliśmy z zatoki?

- Owszem. A co takiego?

- Jaki to mógł być typ łodzi, zauważyłeś?

- Chyba stary Pankhurst. - Mike był inżynierem wodnym i doskonale znał się na łodziach motorowych.

- Jesteś tego pewien?

- Tak myślę. Tak, z całą pewnością.

Poprosiłem, żeby zszedł na dół i wyszukał „Gryzeldę” w Rejestrze Lloyd’a.

- Jeśli znajdziesz ją w Rejestrze i opis się zgodzi, będzie mi potrzebna ocena jej szybkości.

Mike zawahał się, spojrzał szybko na mnie, potem na Patcha, po czym oddalił się w stronę głównego luku.

- No, dobrze, a jeśli to „Gryzelda”? - zapytał Patch.

- Wobec tego została zaczarterowana dziś rano - odparłem. - I to przez kogoś, kto był w sądzie.

Znów wycelowano w nas reflektor i Patch spojrzał na mnie.

- Jest pan pewien?

Kiwnąłem głową. Widziałem, że stara się to zrozumieć.

„Wiedźma Morska” położyła się na burtę pod wpływem silniejszego podmuchu i poczułem szarpnięcie śruby. Piana opryskała mi twarz. Właśnie wrócił Mike.

- Skąd wiedziałeś, że to „Gryzelda”? - zapytał.

- Aha, więc jednak miałem rację.

- Tak. Albo „Gryzelda”, albo jakaś bliźniacza łódź. Pięćdziesiąt stóp długości. Budowana przez Pankhursta w 1931 roku.

- Maksymalna szybkość?

- Trudno powiedzieć. Ma dwa sześciocyldrowe pankhurstowskie silniki. Ale silniki są oryginalne i wszystko zależy od tego, jak były konserwowane. Tak w przybliżeniu przypuszczam, że rozwija niewiele ponad osiem węzłów.

- „Wiedźma Morska” w dalszym ciągu leżała na burcie, a na dziobie wierzchołki fal wdzierały się na pokład.

- W czasie ciszy?

- No, tak, w czasie ciszy.

Wiatr przybierał na sile i fala już zaczynała się łamać. Przypuszczałem, że mniej więcej w przeciągu dwóch godzin prąd zmieni się na wschodni. Wtedy świeży powiew wzniesie krótką stromą falę, co by w sumie zmniejszyło szybkość „Gryzeldy” przynajmniej o jeden węzeł.

- Ja nie rezygnuję - powiedziałem do Mike'a. - Jak się postaramy, to ich przez noc zgubimy.

Opowiedziałem mu o maklerze morskim, którego spotkaliśmy z Halem, i o przestrodze Higginsa.

- Przepowiedział nawet, że pan przyjedzie do Lulworth Cove - rzekłem odwracając się do Patcha.

- Higgins! - Spojrzał w stronę rufy. Reflektor oświetlił jego twarz. Było coś osobliwego w blasku tych oczu - gniew, strach, podniecenie - nie umiem powiedzieć. Potem reflektor zgasł i obok mnie pozostała tylko ciemna sylwetka.

- No, jeśli to tylko Spółka Dellimare'a... - w głosie Mike'a brzmiała wyraźna ulga - to oni chyba nie mogą nam nic zrobić, prawda?

Patch zwrócił się gwałtownie ku niemu.

- Pan chyba nie zdaje sobie sprawy... - rzucił ostro z ciemności, ucinając zdanie. Zrozumiałem jego nastrój i spojrzałem przez ramię. Ciekawe, czy to złudzenie, czy rzeczywiście motorówka była teraz bliżej? Zacząłem rozglądać się dookoła w poszukiwaniu

jakiegoś innego statku. Ale nie było nic - tylko noc i białe wierzchołki grzywaczy nacierających na nas z mroku.

- No, więc płyniemy dalej? - Nie byłem zdecydowany, co robić.

- Nie macie wyboru - rzekł Patch.

- Nie mamy? - Mike zszedł do kokpitu. - Moglibyśmy wziąć kurs na Poole. Ta łódź jednak za nami płynie i... A w ogóle uważam, że całą sprawę powinno się przekazać władzom. - W jego głosie brzmiało zdenerwowanie.

Fala złamała się o dziobnicę spryskując rufę pianą. Pod wpływem silniejszego podmuchu jacht przechylił się na burtę, tak że zawietrzną stronę pokładu zupełnie zalało. Morze było w tym miejscu płytsze i na stromej fali „Wiedźma Morska” potykała się krótkimi, niespokojnymi szarpnięciami. Śruba dygotała pod sterem, a dziób co chwila nurzał się w falach wznosząc fontanny wody, która zalewała pokład.

- Na miłość boską, wyłącz pan ten silnik! - krzyknął do mnie Patch. - Czy pan nie widzi, że śruba hamuje?

- Nie pan kieruje tą łodzią! - rzucił Mike.

- Ale to przecież zmniejsza naszą szybkość - powiedział Patch.

Miał rację. Już od dłuższego czasu zdawałem sobie z tego sprawę.

- Wyłącz silnik, Mike, dobrze? - poprosiłem.

Mike zawahał się, po czym zniknął w kabinie nawigacyjnej.

Warkot silnika zamilkł pozostawiając ciszę, na tle której szum morza wydawał się nienaturalnie głośny.

Pod samym żaglem łódź wtopiła się w żywioły, dla których została stworzona, poddając się woli wiatru i fali. Ruch stał się łatwiejszy, a woda przestała zalewać pokład na dziobie. Ale chociaż Patch miał rację, Mike wyszedł z kabiny nawigacyjnej nieprzytomny z wściekłości.

- Pan jest cholernie pewny, że dla pana widzimi się weźmiemy udział w tych wyścigach - rzucił. I zwracając się do mnie dodał: - Posłuchaj, John, płynmy z wiatrem i na Poole.

- Z wiatrem - wtrącił Patch - oni będą szybciej.

- Wobec tego kieruj się pan pod wiatr i płynmy do Weymouth.

- To na nic - odparłem.

A Patch dodał:

- Tak czy inaczej, oni nas wezmą.

- No, to cóż z tego - burknął Mike. - Przecież i tak nie mogą nam nic zrobić. Po prostu prawo jest po ich stronie. I to wszystko. Ale nie mogą nic zrobić.

- Mój Boże! - wykrzyknął Patch. - Czy pan jeszcze nie rozumie?! - Pochylił się naprzód, przysuwając do mnie twarz.

- Niech pan mu powie, Sands. Pan widział Gundersena. I pan zna ich zamysły. - Spojrzał na mnie, po czym gwałtownie odwrócił się do Mike'a. - Niech pan posłucha!

- powiedział. - Był projekt zarobienia na czysto przeszło ćwierć miliona funtów. Ładunek został zamieniony. Z tą partią się udało. A z resztą nie. Kapitan odmówił udziału. Próbowali zatopić statek w czasie sztormu, ale im się nie powiodło. Polecono Higginsowi wykonać to zadanie i Higgins spartaczył. - Jego głos przybrał wysoki ton, tak usiłował przekazać to, w co sam głęboko wierzył. - Czy nie może pan pojąć... dwunastu ludzi utonęło, jeden starzec nie żyje - być może zamordowany - i statek osadzony na Minkach. Oni nie pozwolą, żebym się dostał na „Mary Deare”. I żebyście wy się tam dostali. Oni nie wpuszczą was nawet do portu, przynajmniej do czasu, aż jakoś rozporządzą statkiem.

Mike spojrzał na niego.

- Ale to wszystko fantazja - powiedział.

- Dlaczego fantazja? Muszą przecież wiedzieć, że jestem na pokładzie. A wy byście przecież nie wyruszyli, gdybyście nie wierzyli w tę historię. Niech pan sobie wyobrazi ich sytuację, gdyby prawda wyszła na jaw.

Mike zwrócił się do mnie.

- Czy ty w to wszystko wierzysz, John? - Był bardzo blady i zdezorientowany.

- Lepiej spróbujmy ich zgubić - odparłem. Patch miał swoje osobiste powody, żeby nas popędzać. Jednego wszakże byłem pewien: że nie chciałbym się spotkać w ciemności z tamtą łodzią.

- Mój Boże! Przecież to angielski Kanał. Oni nie mogą nam tu nic zrobić. - Mike patrzył wyczekująco na Patcha i na mnie. - No cóż, do diabła, mogliby nam zrobić?! - A potem spojrzał w ciemność, która nas otaczała, po trochu zdając sobie sprawę, że choć byliśmy w Kanale, nie miało to najmniejszego znaczenia. Byliśmy po prostu my trzej, osamotnieni wśród bezmiaru rozkołysanych wód, poznaczonych białymi wierzchołkami fal. Bez słowa wyjął z szafki log i poszedł wyrzucić loglinę za rufę.

- No, więc płyniemy dalej. - Po nagłym odprężeniu głos Patcha wydał się zmęczony. Przypomniało mi to, że przecież w ogóle nie spał ubiegłej nocy i nic nie jadł, a przez tyle dni żył w strasznym napięciu nerwowym.

Mike znów wrócił do kokpitu.

- Mam wrażenie, że jesteśmy górą - rzekł.

Spojrzałem w tył, na „Gryzeldę”. Od czasu do czasu wędrujące grzywacze przesłaniały jej światła pozycyjne.

- Kiedy zmieni się kierunek prądu - powiedziałem - pójdziemy pod wiatr, może wtedy uda nam się ich zgubić.

Wstałem sztywny zza koła sterowego.

- Obejmiesz pierwszą wachtę, Mike? - Wpadało na każdego po dwie godziny w czterogodzinnych odstępach, przy czym jeden miał być przy sterze, a dwóch pozostałych w pogotowiu. Było nas rozpaczliwie mało jak na taki ciężki rejs. Oddałem mu ster i poszedłem do kabiny nawigacyjnej zrobić zapis w dzienniku okrętowym. Patch udał się za mną.

- Czy zastanawiał się pan, kto może być na pokładzie tamtej łodzi? - zapytał. Potrzęsnałem głową ciekaw, co mi powie.

- Chyba orientuje się pan, że nie Gundersen.

- A kto wobec tego?

- Higgins.

- Co za różnica który? - spytałem. - Do czego pan zmierza?

- Po prostu do tego - odparł szczerze - że Gundersen nie należy do ludzi podejmujących choćby najmniejsze ryzyko. Ale jeśli to Higgins... - Spojrzał na mnie starając się odgadnąć, czy rozumiem, co ma na myśli.

- Chciał pan powiedzieć, że Higgins to desperat...

- Tak. - Patch przez chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku. - Nie ma potrzeby mówić tego Duncanowi. Jeżeli Higgins nie zatrzyma nas, zanim dotrzemy do tego holownika, to przepadł. A jak go aresztują, reszta stchórzy. Taki Burrows, na przykład, pierwszy przejdzie na świadka oskarżenia. Rozumie pan? - Odwrócił się. - Pójdę coś w siebie wrzucić. - W drzwiach zawahał się. - Tak mi przykro - powiedział - naprawdę nie chciałem wpakować pana w tę kabałę.

Skończyłem zapis w dzienniku okrętowym i tak jak stałem, w ubraniu, rzuciłem się na koję w kabine nawigacyjnej. Ale spałem niewiele. Kołysanie było nieznośne, a za każdym razem, gdy spojrzałem przez otwarte drzwi, widziałem światła „Gryzeldy” tańczące w ciemności za naszą rufą. Wsłuchiwałem się w świst wiatru w takielunku, czujny, pełen niepokoju, czy podmuch nie słabnie. Dwukrotnie Mike musiał mnie wzywać do pomocy przy wybieraniu szotów, a o drugiej przejąłem od niego ster.

Zmienił się kierunek prądu, fala stała się stroma i zaczęła się łamać. Wzięliśmy kurs na południowy zachód. Podchodząc pod wiatr wybraliśmy szoty tak, że żagle były niemal

płaskie. Zrobiło się zimno i dęło nam prosto w twarz; lodowate bryzgi były o nasze ubrania sztormowe, podczas gdy „Wiedźma Morska” walczyła z wiatrem prując wodę, która kaskadami spływała z dziobu.

Z tyłu światła pozycyjne „Gryzeldy” posuwały się naszym nowym kursem, a biały punkt światła topowego tańczył w ciemności jakiś szalony taniec w takt jej przechyłów. Ale łódź motorowa nie jest tak posłuszna żywiołom jak jacht, toteż coraz częściej to zielone, to czerwone jej oko nikało pod linią wody, aż wreszcie mogliśmy dojrzeć jedynie skaczący na fali błędny ognik światła topowego „Gryzeldy”.

Głos Mike’a przedarł się do mnie poprzez ryk wichru i morza:

- Nareszcieśmy sobie z nimi poradzili! - Był podniecony. - Jeśli teraz zmienimy... - dalszy ciąg zginął gdzieś w drodze, porwany przez wiatr, stłumiony przez łomot fali, która właśnie rozbiła się o dziób. Ale ja wiedziałem, co Mike miał na myśli. Gdybyśmy zamiast płynąć kursem południowozachodnim zmienili go na północnozachodni, istniało duże prawdopodobieństwo, że by tego nie dostrzegli mimo gwiazdzistej nocy. A jak byśmy się już raz ich pozbyli, można było popłynąć z wiatrem na wschód i obrać kierunek na Alderney Race.

Nie ulega dla mnie w tej chwili najmniejszej wątpliwości, że Mike miał rację i że gdybym poszedł za jego radą, uniknęlibyśmy późniejszej tragedii. Ale zmiana ruchu statku, gdyśmy skręcili pod wiatr, spowodowała na pokład Patcha. Widziałem go, jak siedział na pokrywie głównego luku wypatrując „Gryzeldy”, i zastanawiałem się, jak by zareagował, gdybyśmy teraz zrobili zwrot w lewo i zawrócili w stronę angielskiego wybrzeża. Na domiar złego mieliśmy za dużo żagli, a przecież były jeszcze baksztagi do podciągania i szoty do obsługi; wystarczyło jedno poślizgnięcie - jeden fałszywy krok i stracilibyśmy maszt!

- Wiesz, nie uważam, żeby to było słuszne - powiedziałem do Mike’a. Mieliśmy za mało ludzi i była noc. A poza tym, kiedy człowiek jest zmordowany, zmarznięty i przemoczony, pokusa, żeby siedzieć bez ruchu i nic nie robić, jest naprawdę ogromna. Byłem pewien, że płyną w prostej linii za nami.

Najwyraźniej Mike podzielał moje przekonanie, ponieważ zamiast twardo obstawać przy swoim, wrzucił tylko ramionami i poszedł się położyć do kabiny nawigacyjnej. Wydaje mi się w tej chwili przedziwne, że mogłem nie docenić faktu, iż światło „Gryzeldy” przestało się ukazywać za naszą rufą, a zaczęło migotać od strony lewej burty. Gdybym zdał sobie z tego sprawę, zrozumiałbym, że nie zostawiliśmy „Gryzeldy” w tyle, a tylko odchodzimy w bok. Płynęła trochę bardziej południowym kursem i utrzymywała prędkość unikając

prostopadłych, miazdzących ataków fali. A ja - jak to się często w nocy zdarza - przeceniłem naszą szybkość.

Pod koniec mojej wachty niebo się zaciągnęło i wiatr przycichł. Zawołałem Patcha i zluźowaliśmy szoty zmieniając kurs na południowo południowozachodni. Przestaliśmy przecinać fale i zgodnie z ich linią posuwaliśmy się w dzikich podskokach. Wiatr był pomyślny i „Wiedźma Morska” sunęła jak ekspres.

Podgrzałem trochę zupy i jedliśmy ją w kokpicie obserwując świt, który nadchodził w blasku zimowego, posępnego światła. Patch stał wpatrzony w stronę rufy. Ale nie było widać nic prócz bezmiar siwych sfalowanych wód.

- No, to w porządku - powiedziałem. - Zostawiliśmy ich w tyle. - Skinął głową w milczeniu. Jego twarz była szara. - W tym tempie osiągniemy Casquets za jakieś dwie godziny - dodałem schodząc na dół, żeby się trochę przespać.

W godzinę później Mike obudził mnie krzyżąc, żebym szedł na pokład. W jego głosie brzmiało podniecenie.

- Spójrz tam, John - powiedział, kiedy wychynałem z luku. Wskazywał na lewo, ale z początku nie mogłem nic zauważyć. Zaspane oczy chłoneły zimne światło dnia, szarzystą powierzchnię morza i nieba, ale nagle, gdy jacht się uniosł, wydało mi się, że coś widzę - coś jakby maszt czy pławę słupkową sterczącą w miejscu, gdzie horyzont kładzie kres wędrówce fal. Przetarłem oczy, wytyżyłem wzrok i kiedy „Wiedźma Morska” znów się uniosła na fali, zobaczyłem to zupełnie wyraźnie: niewielki maszt. Wynurzył się właśnie z wody, a za nim kadłub łodzi, brudnobiałe w świetle ranka.

- „Gryzelda”? - spytałem.

Mike kiwnął głową i podał mi lornetkę. Płynęła, z całą pewnością. Widziałem, jak wyrzuca strumienie wody i jak od czasu do czasu fala uderza w jej dziób wzbijając obłoki piany.

- Gdybyśmy zeszłej nocy skręcili...

- No, aleśmy nie skręcili - odparłem. Spojrzałem w stronę rufy, gdzie zgarbiony nad kołem sterowym siedział Patch w pożyczonym ubiorze sztormowym. - On już wie? - spytałem.

- Tak. Pierwszy ją zobaczył.

- Co powiedział?

- Nic. Wcale nie był zdziwiony.

Popatrzyłem jeszcze raz przez szkła usiłując ocenić izbybkość łodzi.

- I co dalej? - spytałem. - Patrzyłeś na log o szóstej?

- Tak. W ciągu ostatniej godziny robiliśmy osiem.

Osiem węzłów! Popatrzyłem w górę na żagle. Były wydęte, naprężone, twarde - ładne parę ton szarpiące maszt pokonujące opór wody. Mój Boże! To smutne, że mimo całonocnej gonitwy nie zdołaliśmy ich zgubić!

- Myślałem, że gdyby... - powiedział Mike. - Gdyby nas dogonili...

- To co?

- Nic by nam takiego nie mogli zrobić, prawda? To znaczy... - zawahał się spoglądając na mnie niepewnie.

- No tak, chyba masz rację - odparłem i poszedłem do kabiny nawigacyjnej. Byłem zmęczony; nie chciało mi się nad tym zastanawiać. Zrobiłem zliczenia na podstawie szybkości, kursów, którymi płynęliśmy, uwzględniając prądy, i stwierdziłem, że jesteśmy o jakieś dziesięć mil na północnopółnocny zachód od Casquets. W przeciągu dwóch godzin prąd pływowy powinien się zmienić na zachodni i znieść nas w stronę Alderney i półwyspu Cherbourg. Ale ta przeklęta łódź dzieliła nas od brzegu i nie było od niej ucieczki, a już w żadnym razie w dzień. Zostałem w kabine nawigacyjnej i wysłuchałem prognozy: wiatry słabnące, lokalne mgły; niż znad Atlantyku powoli przesuwają się na wschód.

Wkrótce po śniadaniu dojrzeliliśmy Casquets - północnozachodni przyczółek Wysp Normandzkich. Prąd pływowy odwrócił się i był teraz przeciwko nam. Dłuższy czas mieliśmy Casquets w polu widzenia - szary skalny szpic, o który rozbijały się fale. Przedzieraliśmy się szlakiem parowców biegnącym od Ushant w górę Kanału; po drodze dostrzeżliśmy tylko dwa statki, i to ledwie widoczne na horyzoncie. Gdy „Wiedźma Morska” znalazła się na wysokości wyspy Guernsey, ruch na parowcowym szlaku ograniczył się do kilku smug dymu w miejscu, gdzie morze stykało się z niebem. Cały ranek Patch spędził na pokładzie - albo odbywając swoją wachtę przy kole sterowym, albo drzemiąc w kokpicie, albo wpatrując się w szarą przestrzeń, która dzieliła nas od „Gryzeldy”. Czasem dawał nura do kabiny nawigacyjnej, gdzie w szaleńczym zapale z pomocą linii i cyrkla wykreślał nasz kurs i obliczał czas przybycia na Minki. Raz napomknąłem, żeby poszedł na dół się przespać, ale za całą odpowiedź usłyszałem:

- Przespać? Nie zmruję oka, dopóki nie zobaczę „Mary Deare”.

I tkwił tam dalej, z poszarzałą twarzą, wyczerpany, żyjący samymi nerwami jak w czasie przesłuchania. Przypuszczam, że bał się zejść na dół - bał się, że kiedy straci ją z oczu, „Gryzelda” w jakiś sposób wpełźnie na nas. Był przeraźliwie zmęczony. Bez przerwy pytał o kierunek prądu pływowego. Nie mieliśmy mapy tych prądów i to go dręczyło. Nawet kiedy

około południa prąd się odwrócił gnając nas znów na zachód, nie przestawał sprawdzać naszej pozycji w stosunku do wystrzępionego zarysu wyspy Guernsey.

Powinienem może wyjaśnić, że pływy są to ruchy wód polegające na sześciogodzinnym przyptywie i sześciogodzinnym odpływie, ruchy, które przesuwają całą masę wodną kanału La Manche, wydymają ją w jakieś niesamowite „wybrzuszenia w ogromnej zatoce francuskiego wybrzeża obejmującej Wyspy Normandzkie. Kiedy przyptyw jest największy, woda wpada wąską gardzielą między Aldemey a stałym lądem z szybkością sięgającą nieraz siedmiu węzłów. Ten sam kierunek prądu w rejonie głównego masywu Wysp Normandzkich powtarza się co dwanaście godzin. Ponadto różnica poziomów wody w czasie przyptywu i odpływu waha się od trzydziestu do czterdziestu stóp. Wspominam o tym, żeby wyjaśnić naszą ciągłą troskę o kierunek prądu pływowego, oraz dlatego, że zjawisko to nie pozostało bez wpływu na dalsze wypadki. Poza tym cały ten obszar usiany był podwodnymi rafami, skalnymi progami i wysepkami, więc żeglowanie w tej części Kanału zawsze łączyło się z pewnym napięciem nerwowym.

Trzymając się kursu płynęliśmy prosto na centralną część Guernsey. Powierzyłem nasz jacht zachodniemu prądowi i minawszy kipiel znaczącą podwodne progi znane pod nazwą Les Frettes, śledziliśmy pilnie „Gryzeldę”.

W rzeczy samej nie miała wyboru i kiedy wyspa zbliżyła się do niej od strony lewej burty, zmieniła kurs płynąc w prostej linii za nami.

Na położonym bardziej na zachód cyplu Guernsey znajduje się Les Hanois, wysunięta w morze latarnia usytuowana na grupie skał. Mijaliśmy ją tak blisko, że widać było każdy szczegół - kormorany stojące na głazach jak sępy i białą pianę skłębionych u jej stóp grzywaczy. Dokładnie za nami, płynąc naszym śladem torowym, huštała się i wznosiła „Gryzelda”, z której dziobu tryskała fontanna rozpylonej wody. Była o niecałe ćwierć mili od las i Patch wsparty o kabinę nawigacyjną obserwował ją przez lornetę.

- No, jak? - spytałem. - Czy to Higgins? - Widziałem jakąś postać poruszającą się po pokładzie.

- Tak - odparł. - Bez wątpienia Higgins. I Yules też. Jest jeszcze ktoś w sterówce, ale nie mogę dojrzeć, kto.

Wręczył mi szkła. Bez trudności poznałem Higginsa. Stał przy relingu wpatrzony w nas, a jego masywna postać balansowała zgodnie z przechyłami łodzi. Higgins, Yules Burrows - trzech ludzie, którzy kierowali „Mary Deare”! A z drugiej strony - my, oddaleni o czterdzieści mil od statku. Mike, który właśnie był przy kole sterowym, zawołał nagle:

- Jeśli teraz zrobimy zwrot, moglibyśmy osiągnąć Peter Port przed nimi.

Mieliśmy przed sobą prostą drogę z wiatrem wzdłuż południowego wybrzeża wyspy. Mogliśmy dotrzeć do SaintMartin bez obawy, że nas prześcigną, potem zrobić parę mil na silniku i już bylibyśmy w Peter Port. Spojrzałem na Patcha, który zszedł do kokpitu.

- Teraz pana zmienię - oznajmił. To nie była propozycja. To był rozkaz.

- Nie. - Mike patrzył na niego z błyskiem gniewu w oczach.

- Powiedziałem, że pana zmienię. - Patch sięgnął po ster.

- Słyszałem, co pan mówił. - Mike przekręcił koło sterowe krzycząc do mnie, żebym zluzował szoty. Ale Patch również trzymał ręce na szprychach. Stojąc miał przewagę. Obrócił ster do pierwotnego położenia i utrzymał go tak mimo obelg Mike'a. Ich twarze nieomal się dotykały: twarz Patcha, surowa, pełna napięcia, i Mike'a - sina z wściekłości. Stali tak przez dwie długie minuty znieruchomiali - dzięki bezwładności - jak dwa posągi.

Moment podjęcia decyzji minął. „Gryzelda” opłynawszy skały Les Hanois zmieniała właśnie kurs, aby oddzielić nas od Peter Port. Patch zauważył to i powiedział:

- Teraz nie ma pan innego wyjścia. - Nie zwolnił uchwytu na kole, ale napięcie znikło z jego głosu. Mike przestał mu wymyślać. Najwyraźniej zrozumiał, bo odwrócił się i spojrzał na łódź motorową. Następnie puścił koło i wstał.

- Skoro czuje się pan kapitanem tego jachtu, niech pan nim steruje. Ale, do cholery - rzucił - jeśli mu się cokolwiek stanie... - Spojrzał na mnie chłodno i ciągle jeszcze trzęsąc się ze złości zszedł na dół.

- Bardzo mi przykro - powiedział Patch. Usiadł za kołem, głos miał zmęczony.

- To nie pański jacht - przypomniałem mu.

Wzruszył ramionami odwracając się w stronę „Gryzeldy”.

- A jak pan uważa, cóż innego mogłem zrobić?

Nie było sensu dłużej tego roztrząsać. Nie pozostało nam nic innego, jak płynąć do „Mary Deare”. Gdyby jednak wiatr osłabł...

- No, a przypuśćmy, że Higgins nas prześcignie...

- powiedziałem. Spojrzał na mnie szybko.

- To wykluczone. - I dodał: - Musimy być tam pierwsi.

- Dobrze, a jeśli jednak... - pomyślałem sobie, że przecież mimo wszystko Higgins musi się liczyć z prawem. - On chyba nic takiego nie może zrobić.

- Nic? - zaśmiał się trochę dziko. - Skąd pan wie, co Higgins może zrobić? On się boi.

- Spojrzał na mnie kątem oka. - A pan by się nie bał na jego miejscu? - Popatrzył w górę, na żagle. Jego głos stał się znów spokojny i rzeczowy, kiedy zmieniając kurs na północnozachodnią pławę Minków poprosił mnie, żebym zluzował szoty.

Potem nie mówiliśmy już nic i stopniowo zdałem sobie sprawę z nasilającego się warkotu łodzi motorowej. Z początku był bardzo słaby, jak lekki akompaniament do szumu morza, ostrzegł mnie jednak, że wiatr zaczyna słabnąć. Chmury zrzedły i nad wodą zawisł wilgotny blask, i wyspa Jersey leżała jak na dłoni od strony lewej burty. Uruchomiłem silnik i od tego momentu wiedziałem, że „Gryzelda” nas dogoni.

Prognoza zapowiadała pogłębianie się nizu nad atlantyckiego i jego coraz szybsze przemieszczanie się na wschód. Ale to i tak nic by nam nie pomogło. Przez cały czas siła wiatru słabła i mieliśmy „Gryzeldę” na trawersie; dzieliła nas od wyspy Jersey. Blask przygasł okrywając morze; niebo chłodną, świetlistą szarzyną. Horyzont znikł. Patch zszedł na dół, żeby coś na siebie włożyć. Przyszło nagle oziębienie, wiatr dał w zmiennych, gwałtownych porywach. Zza koła sterowego obserwowałem zbliżającą się stale „Gryzeldę” i zastanawiałem się, co zrobi Higgins, co ja bym zrobił na jego miejscu. Próbowiałem myśleć rozsądnie. Ale to wcale nie takie łatwe, kiedy człowiek jest zziębnięty, zmęczony i siedzi sam nieomal równo z poziomem wody, izolowany w tej głuchej przestrzeni. Tak, to poczucie izolacji! Miewałem je już dawniej na morzu, ale nigdy w tak silnym stopniu. A teraz ogarnęły mnie jakieś przecucia. Morze miało wygląd oleisty i wielkie fale narastając od zachodu przewalały się pod nami.

Z początku nie zauważyłem mgły. Myślałem o Higginsie. I nagle masa szarobiałej plazmy zaczęła pełznąć ku nam poprzez morze spowijając i pochłaniając wodę w swoje fałdy. Mike przyszedł na górę, więc przekazałem mu ster i przywołałem Patcha na pokład. Na „Gryzeldzie” również dostrzeżono mgłę i łódź obróciła się ku nam. Patrzyłem, jak się zbliżają, czekając tylko, aż mgła zamknie się wokół nas.

- Zmienimy kurs, jak tylko stracimy ją z oczu - powiedziałem, gdy Patch ukazał się w luku.

Była nie więcej niż jakieś dwa kable od nas, gdy jej sylwetka zaczęła się rozplywać, a potem znikła nagle, jakby ją coś pochłonęło.

- Ostro na wiatr! - zawołał Mike obracając koło. „Wiedźma Morska” wykonała zwrot pod wiatr, a kliwer łopotał, gdy zluzowałem szot. Bom grotzągła przeleciał nad pokładem i gdy obaj z Patchem wybieraliśmy szot kliwra, jacht poszedł lewym halsem! Wracaliśmy własnym śladem torowym poprzez zimną, martwą, lepką przestrzeń.

Wyprostowałem się, wsłuchany w warkot silników łodzi motorowej, usiłując ocenić jej pozycję i zastanawiając się nad tym, czy mgła jest dostatecznie gęsta, żebyśmy mogli uciec.

Ale Higgins najwidoczniej przewidział nasze plany czy może straciliśmy zbyt dużo czasu na zmianę kursu - dość że stukot silników „Gryzelda” mieliśmy teraz na trawersie, a jej zarys zaczął się znów pojawiać. Odniosłem wrażenie, jakby jej dziób rozpruł zasłonę mgły na dwoje i „Gryzelda” wynurzyła się nagle w całej swojej okazałości sunąc prosto na nas. Zbliżała się pod kątem ostrym na pełnych obrotach silników, a jej ostry dziób pruć fale wznosząc fontanny wody, która spadała deszczem na sterówkę. Krzyknąłem do Mike’a, żeby znów zmienił hals. Płynąc szybko „Wiedźma Morska” miała duży przechył i byłem pewien, że jeśli obie łodzie będą się trzymać swych kursów, musi dojść do zderzenia. Kiedy więc Mike nie reagował, poczułem nagle, że mam zupełnie sucho w gardle.

- Zrób zwrot! - wrzasnąłem na niego, a w tym samym momencie Patch krzyknął:

- Skręć, człowieku, na miłość boską, skręć!

Ale Mike stał wsparty na kole, wpatrzony w zbliżającą się łódź z wyrazem zdecydowania na twarzy.

- Niech on skręci - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ja się nie złamię!

Patch skoczył do kokpitu.

- Przecież on w nas wyrżnie.

- Nie odważy się. - Mike uparcie trzymał się kursu śledząc „Gryzeldę” zmrużonymi oczyma. Nagle pobladł.

Kątem oka dojrzałem Higginsa wychodzącego ze sterówki. Wołał coś, a jego potężny głos dotarł do nas przez ryk silników:

- Przygotujcie się! Podchodzę do was! - „Gryzelda” skręciła i rozkołysana sunęła od strony dziobu.

Potem już wszystko poszło bardzo szybko. Mike krzyknął, żeby zluzować szoty. - Spróbuję wyminąć ją za rufą! - Obrócił koło sterowe i dziób „Wiedźmy Morskiej” skierował się w stronę łodzi motorowej. „Gryzelda” była właśnie w połowie zwrotu, tak że mieliśmy dość miejsca, żeby ją wyminąć za rufą, gdybyśmy to zrobili błyskawicznie.

Ale sprawy przybrały zły obrót. Ja zluzowałem szot kliwra, natomiast Patch, nie przyzwyczajony do żagli, nie zdołał zluzować szotu grota i akurat w tym momencie „Wiedźma Morska” przechyliła się pod wpływem podmuchu wiatru. Wszystkiemu był winien ten nieszczęsny podmuch. Prąc z całą siłą na grot „Wiedźmy Morskiej” uniemożliwił szybkie wykonanie zwrotu. Higgins zwalniał właśnie, żeby dobić do naszej burty. Uderzyliśmy prosto w nawis rufowy „Gryzeldy”, uderzyliśmy całą siłą naszego potężnego silnika i wielu ton wzdętych wiatrem żagli. Trafiliśmy lewą burtą o kilka stóp od rufy, którą właśnie łódź była zwrócona ku nam. Dał się słyszeć trzask, skrzypienie łamanego drewna i dziób „Wiedźmy

Morskiej” wznosił się do góry, jak gdyby chciał się wspiąć na „Gryzeldę”. W końcu zatrzymaliśmy się z jakimś straszliwym, spazmatycznym zgrzytem. Mignął mi tylko Yules z wybałuszonymi oczyma i otwartymi ustami, kiedy cisnęło mną o kabinę nawigacyjną. Rozhuśtany bom runął w moją stronę zadając mi straszliwy cios w ramię, które wyskoczyło ze stawu, i rzucając mną z kolei o reling.

Pamiętam, jak najpierw oślepiony bólem trzymałem się relingu, a potem leżałem na pokładzie z twarzą przywartą do metalowego zwoju szotu kliwra. Trzask drewna nie ustawał; ktoś krzychał. Zmieniłem położenie mimo przeszywającego bólu. Spojrzałem w dół i zobaczyłem przepływające ciało. Był to Yules. Rozpaczliwie bił wodę rękami, poblady, z kosmykiem mokrych włosów na oczach.

Pokład wibrował pode mną, jak gdyby puszczo w ruch świdry pneumatyczne. W całym ciele czułem to drżenie.

- No jak, w porządku? - Mike wyciągnął rękę i postawił mnie na nogi. Zagryzłem usta.
- Bydlę! - Spoglądał ku dziobowi. Wszystkie piegi odcinały mu się pomarańczowo na tle gipsowobiałej cery, a włosy płonęły czerwienią.

- Zabiję go! - Trząsał się z wściekłości.

Odwróciłem się i zobaczyłem Higginsa wypadającego ze sterówki „Gryzeldy”. Krzychał coś, a jego grzmiący, donośny głos dominował nad warkotem silników i nieustającym trzaskiem łamanego drewna. „Gryzelda” i „Wiedźma Morska” stały szczipione ze sobą, Higgins złapał za nasz bukszpryt i z zębami obnażonymi jak u zwierzęcia, z nabrzmiętym byczym karkiem i naprężonymi muskularni ramion usiłował rozdzielić łodzie gołymi rękami.

Mike poruszył się; Miał ponure, mściwe spojrzenie człowieka, który widzi, jak obraca się wniwecz coś, co kocha i dla czego ponosił trudy. Wołałem na niego, gdy jak wariat leciał naprzód po stromym pokładzie wrzeszcząc i przeklinając Higginsa, a wreszcie rzucił się z bukszprytu prosto na niego, waląc go w ataku ślepej furii.

Wtedy łodzie rozczepiły się przy akompaniamencie trzasku drzewa i bulgotu wody - więcej nie widziałem już nic. Patch włączył wsteczny bieg silnika, a ja pokuśtykałem do kokpitu krzyżąc, żeby zaczekał.

- Mike tam został! Nie możemy go przecież zostawić!

- Chce pan, żeby nam zupełnie jacht wybebeszyło? - rzucił obracając koło sterowe, podczas gdy „Wiedźma Morska” zaczęła się cofać. - Te śruby wypruwały z niej flaki.

Niejasno zdałem sobie sprawę, że chodzi mu o śruby „Gryzeldy”, i zrozumiałem przyczynę dziwnego wibrowania pokładu. Odwróciłem się śledząc coraz szerszy pas wody

między łodziami. Rufa „Gryzeldy” była zanurzona, a lewa burta miała wyrwaną ogromną dziurę, jakby od uderzenia taranem. Higgins wracał właśnie do sterówki. Na pokładzie „Gryzeldy” nie było nikogo więcej. Nagle poczułem się chory i zmęczony.

- Co się z nim stało? - spytałem. W ustach miałem słodkomdłący smak krwi z przygryzionej wargi. Moja ręka i cała połowa ciała była bezwładna i drętwą z bólu.

- Widział pan, jak to było?

- Nic mu nie jest. Po prostu stracił przytomność.

Zaczął mnie wypytwać o ramię, ale poleciłem mu włączyć bieg naprzód i podjąć kurs.

- Niechże pan nie straci jachtu!

Sylwetka „Gryzeldy” zaczęła się rozpluwać, a po chwili zupełnie znikła. Patch ustawił dźwignię biegów na luzie doszedł nas nieprzyjemny, zgrzytliwy odgłos silników. Dała się słyszeć detonacja, w chwilę później druga i cisza.

- Silnik wysiada...

Żagle, maszt i cały jacht zaczęły mi wirować przed oczami, więc usiadłem. Patch wydał mi się nieprawdopodobnie wysoki, kiedy tak stał przy kole sterowym kiwając nade mną głową.

Wreszcie przykre uczucie minęło. Woda wdarła się do kokpitu. Spojrzałem bezmyślnie, jak Patch wraca po pochyłości pokładu. A potem silnik zachłysnął się i umilkł.

Potrząsnąłem głową w obronie przed ogarniającym mnie zamroczeniem. Przy sterze nie było nikogo. Zawołałem Satcha, usiłując się podnieść. Wychynął z głównego luku, w spodniach ociekających wodą.

- Zalewa już kuchnię.

Mój wzrok pobiegł aż do bukszprytu zanurzonego w fali.

Ma dziobie cały pokład był zalany. Patrzyłem na to, powoli zaczynając rozumieć, co się stało. Patch przemknął koło mnie i wpadł do kabiny nawigacyjnej. Po chwili wyszedł z nożem składanym w rękę.

- Idzie na dno - powiedziałem i mój własny głos zabrzmiał mi w uszach martwo i beznadziejnie.

- Tak - potwierdził. - Mamy niewiele czasu. - Zaczął przecinać liny mocujące dingi. Widziałem, jak uniósł ją tak, że kilem oparła się o reling - wystarczyło ją tylko zepchnąć na wodę. W dalszym ciągu płynęliśmy, ledwo pokonując opór wody, gdy ponad schylonymi plecami Patcha, który umocowywał linę dingi, raz jeszcze dojrzałem niewyraźną sylwetkę „Gryzeldy” wolno posuwającą się na granicy widoczności.

- Jest tam jakaś żywność? - Patch zbierał wszystkie rzeczy z kabiny nawigacyjnej i wrzucał je do dingi - koce, trencze, latarki, bengalskie ognie sygnałowe, nawet ręczny kompas.

- Trochę czekolady. - Wyjąłem z szuflady stołu trzy tabliczki i jakieś słodycze. Wyciągnąłem także kamizelki ratunkowe z szafy na rufie. Ruszałem się powoli, niezdarnie i zaniem zdolałem wrzucić to wszystko do dingi, cały pokład był już zalany, maszt pochylony do przodu, a dół kliwra w wodzie.

- Szybko! - ponaglał Patch. - Niech pan wchodzi! - Odwiązał już cumę. Wgramoliłem się. Nie przedstawiało to specjalnych trudności: dingi była równo z pokładem. Wszedł za mną i odepchnął łódź.

Nie widziałem, jak „Wiedźma Morska” szła na dno. Kiedy odpłynęliśmy, powoli znikła we mgle z zadartą nieco rufą, z postawionym kliwrem i bezanżaglem, zanurzona aż po kabinę nawigacyjną. Przedstawiała dziwny widok - jak widmo statku skazane na wieczną tułaczkę pod wodą. Byłem bliski łez, kiedy rozplynęła się i nagle znikła.

Odwróciłem się, żeby spojrzeć na „Gryzeldę”. Leżała jak kłoda, paskudnie zanurzona rufą, wolno unosząc się na fali - bezużyteczna, jak tylko może być bezużyteczna łódź motorowa, której silniki odmówiły posłuszeństwa.

- Mocniej prawym - powiedziałem.

Spojrzał na mnie bez słowa. Jego postać kiwała się rytmicznie w takt ruchu wiosła.

- Mocniej prawym, na miłość boską - powtórzyłem - przecież to nie jest kierunek do „Gryzeldy”.

- Bo wcale nie płyniemy do niej.

Przez moment nie rozumiałem, o co chodzi.

- No, a gdzież... - Nagle głos mi się załamał. Ogarnęło I mnie śmiertelne przerażenie. Pudło kompasu leżało otwarte u jego nóg. Wiosłując nie spuszczał z niego oka. Sterował według kompasu.

- Na miłość boską! - wrzasnąłem. - Chyba nie myśli pan płynąć tam w dingi!

- Dlaczego nie?

- No, dobrze, a co z Mike'em?! - Zupełnie straciłem głowę. Widziałem, jak Higgins usiłuje spuścić swoją dingi na wodę. - Nie wolno panu tego robić. - Złapałem go za rękę, kiedy pochylił się do przodu, i chwyciłem jedno z wiosła. Poczułem w całym ciele straszliwe szarpnięcie bólu. - Nie wolno panu tego robić, mówię, że nie wolno!

Spoglądał na mnie z twarzą tuż obok mojej twarzy.

- Nie? - Jego głos zaskrzeczał w ciszy, a poprzez wodę doleciało słabe wołanie o pomoc: rozpaczliwy, przeciągły krzyk.

Wyrwał mi wiosło z ręki i znów zaczął wiosłować.

- Jak ci się nie podoba, to możesz wysiąść i płynąć sam, jak ta nędzna ofiara. - W tym samym momencie znów dobiegł nas krzyk. Tym razem na tle fali dojrzałem ciemną głowę i dwa ociekające wodą ramiona, które rozpaczliwymi ruchami usiłowały zbliżyć się do nas.

- Ratunku!

Patch nie przestawał wiosłować lekceważąc wołanie.

- Chcesz go tu zostawić, żeby utonął? - spytałem usiłując obudzić w nim jakąś iskierkę ludzkich uczuć.

- To Yules - odparł. - Niech go Higgins wyłowi.

- A Mike? - zapytałem. - Co z Mike'em?

- Nic mu nie będzie. Tamta łódź nie zatonie.

Wiosła zanurzały się i unosiły, zanurzały się i unosiły, a on kołysał się w przód i w tył. Siedziałem i obserwowałem, jak oddala się od tamtego człowieka. Ale cóż mogłem zrobić? Miałem ramię wybite ze stawu; wystarczyło go dotknąć, żeby sprawić mi straszny ból, i on o tym wiedział. Może miał i rację z tą łodzią. Przecież tylko rufa była strzaskana, część dziobowa ocalała. No, a Yulesa wyłowi Higgins. Spuścił już na wodę swoją dingi i właśnie oddalał się od „Gryzeldy”. W niesamowitym przymglonym świetle wyglądał jak gigantyczny grzbietopławek. Yules widziały jak się zbliża, i zaprzestał rozpaczliwych ruchów. Był akurat między nami a Higginsem. Leżał spokojnie na wodzie, nie krzyczał - czekał po prostu, aż go wyciągną.

Nie umiem powiedzieć, dlaczego trwałem tak skulony w pozycji, która sprawiała mi potworny ból. Ale czułem, że muszę zobaczyć, jak go będą wyławiać. Zdawałem sobie sprawę, że uczucie grozy, które mnie nagle ogarnęło, jest niczym nie uzasadnione.

Higgins wiosłował szybko, długimi pociągnięciami, a za każdym ruchem u tępego dzioba dingi ukazywał się bryzg białej piany. Od czasu do czasu oglądał się przez ramię idobrze widziałem, że patrzy na nas, nie na tonącego.

Oddalaliśmy się stale od Yulesa, tak że nie zdawałem sobie sprawy z odległości dzielącej go od Higginsa, słyszałem jednak, jak wołał: - Alf! Jestem tutaj! - i widziałem, jak podniósł rękę. Słowa zabrzmiały czysto i wyraźnie w mglistej ciszy. Nagle zaczął krzyczeć i płynąć z jakąś dziką rozpaczą, młóćąc rękami wodę i bezładnie wierzgając nogami.

Ale Higgins nawet się nie zawahał, nie odezwał się ani słowem. Skazał go na śmierć, a wiosła zanurzały się i unosiły z nieubłaganą regularnością, ociekając wodą za każdym uderzeniem, które go do nas zbliżało.

Usłyszeliśmy jeszcze jeden rozpaczliwy krzyk - i cisza.

Oślupiały spojrzałem na Patcha.

- Jego dingi jest większa od naszej - rzekł. I to miało być wyjaśnienie. Chciał powiedzieć, że Higgins usiłując nas dogonić nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Twarz Patcha była zupełnie biała. Wiosłował teraz szybciej, czoło pokrył mu błyszczący pot. Jego słowa przyprawiły mnie o zimny dreszcz, siedziałem sztywny, niepomny bólu.

Od tej pory bez przerwy czułem za nami obecność dingi.

Widzę ją dziś jeszcze pełznącą jak chrząszcz wodny w nieustannej pogoni poprzez nierealny opar mgły, słyszę skrzypienie dulek, plusk i chlupot wiosel. Mam przed oczami Patcha, jego zaciętą twarz to zbliżającą się, to oddalającą ode mnie - zgodnie z ruchem wiosel - tak długo, aż ból pokrytych pęcherzami rąk kazał mu zacisnąć zęby, tak długo, aż popękały pęcherze plamiąc krwią wiosła - godzina po godzinie męki.

W pewnym momencie Higgins znalazł się o niecałe pięćdziesiąt jardów za nami i mogłem dojrzeć każdy szczegół jego łodzi. Była to jasnoniebieska metalowa dingi,- trochę pognieciona, spłowiała ze starości, z odpryskującą farbą iz grubym odbijaczem z płótna żaglowego wokół nadburcia. Pięć czy sześćosobowa, miała zadarty dziób i za każdym pociągnięciem wiosła szczyrzyła się brzydkim, jak gdyby napszonym uśmiechem.

Ale Higgins używał swej siły nierozważnie i w ogóle nas nie doścignął. Mgła zrzędła i nocą wyglądała jak postrzępiony welon, przez który prześwitywały gwiazdy. Młody księżyc oświetlił tę scenę jakimś dziwnym blaskiem, tak że w dalszym ciągu widzieliśmy płynącego naszym śladem Higginsa - drobne fosforyczne kropelki znaczące pióra wiosel, gdy je unosił nad wodą.

Raz przystanęliśmy na chwilę i Patchowi udało się nastawić moją zwichniętą rękę. Wkrótce przesunąłem się la środkową ławkę i wziąłem lewe wiosło. Chociaż sprawiało ni to niemały ból, utrzymywaliśmy zupełnie dobrze równowagę, bo Patch był już bardzo zmęczony. W ten sposób posuwaliśmy się całą noc według kursu dzięki kompasowi, który połyskując blade leżał u naszych stóp. księżyc zaszedł i blask zgasł. Straciliśmy Higginsa z oczu. Zerwał się wiatr łamiąc fale i przelewając wodę przez burty. Me około czwartej znów ucichł i w końcu gwiazdy zbladły w brzasku powracającego dnia.

Był to jeden z tych zimnych spowitych w chmury ranków, które nadchodzą leniwie. Wywabił z mroku wzburzone, pełne wirów morze i płachtę mgły rozpiętą między nami a francuskim wybrzeżem.

Śniadanie składało się z trzech kawałków czekolady stanowiących połowę całego zapasu. Drewniane części dingi pokryły paciorki rosy, a nasze ubrania nasiąkły wilgocią. Woda zalewała łódź za każdym przechyłem i przy naszym wyczerpaniu sterowanie stawało się coraz trudniejsze.

- Jak daleko jeszcze? - wykrztusiłem.

Patch spojrział na mnie z twarzą poszarzałą, z oczami głęboko wpadniętymi.

- Nie wiem - odparł. Usta miał spękane i pokryte solą. Zmarszczył się usiłując zebrać myśli. - Prąd jest wschodni, a za dwie godziny zmieni kierunek. - Zanurzył rękę i obmył twarz słoną wodą. - Nie powinno trwać długo.

Niedługo! Zgrzytnąłem zębami. Miałem sól w oczach, w ustach, sól wżerała mi się w skórę. Przeniknął mnie chłód ranka. Boże, bodajbym nigdy nie był spotkał tego nieszczęśnika, który w tej chwili wiosłował obok mnie jak szalony. Stał mi przed oczami Mike i nasze plany. A teraz przyszłość przestała istnieć - „Wiedźma Morska” przepadła i nie było nic, na czym można by myśl zatrzymać, tylko Minki i męka konania za każdym uderzeniem wiosła, i o świcie morze było puste, mógłbym przysiąc. Przeszukałem je starannie - każdą zmarszczkę, każdy wir, każdą nagle wzniesioną falę. Nie było nic, absolutnie nic. I nagle nad jego ramieniem Patcha dojrzałem jakiś punkt. Słońce wznosiło się do góry wielką kulą ognia i rozżarzone kontury chmur pstrokaciły niebo na wschodzie, a cała ta powódź barw odbijała się w morzu jak gdyby tylko po to, aby tym wyraźniej ukazać mi czarny punkt - łódź z dwoma wiosłami i sylwetkę człowieka. Wkrótce lepka płachta mgły otuliła nas ponownie. Plamka rozmazała się i znikła. W tym momencie wydało mi się, że gdzieś na wschód od nas usłyszałem słaby dźwięk dzwonu, ale kiedy przestaliśmy wiosłować, ucichł. Nie było słyhać nic, nic, tylko morze, tylko chlupot wody w szarym, zamkniętym wokół nas świecie. W chwilę później poprzez nieprzenikniony całun przedarł się szum i prawie jednocześnie pociemniało; mgła zrobiła się czarna, a koło nas przemknął cień jak gdyby nadbudówki okrętu wojennego. Piętrzył się nad nami zamazany i niewyraźny - potężny masyw skalny, u którego stóp spokojnie pieniała się woda; potem gnani falą straciliśmy go z oczu.

- Mój Boże, jesteśmy na miejscu - wyszeptałem zdumiony. Przestaliśmy wiosłować i dokoła słyhać było tylko szum morza. Następną skałą wynurzyła się spoza szarej kurtyny - ponury kamienny obelisk, jak zakrzywiony palec z białą kryzą piany u stóp, prześliznął się obok nas ukradkiem. Na chwilę przeklęta mgła wywołała we mnie jakąś koszmarną wizję

geologiczną, w której skały same płynęły pod parą jak statki. Nadchodziła fala - coraz większa i większa - aż wreszcie złamała się nagle. Woda wdarła się przez burzę, a nami rzuciło do tyłu. gdy łódź uderzyła o rafę. Zakręciło nami i zanim następna fala zdążyła się złamać, byliśmy przemoczeni, a dingi do połowy zalana. Dalsze pchanie się poprzez wiry i niebezpieczny labirynt skał było beznadziejne. Osiągnęliśmy wprawdzie Minki, ale na obszarze raf o powierzchni około dwudziestu mil na dziesięć trudno dotrzeć do celu.

- Będziemy musieli poczekać, aż mgła opadnie - powie dział Patch. - Za duże ryzyko. Prawie mielizna.

Po zawietrznej jakiejś brzydkiej wysepki znaleźliśmy małą zatoczkę, gdzie woda była gładka jak lustro. Przycumowaliśmy dingi i sztywni wygramoliliśmy się na brzeg Mimo biegania i tupania okrywała nas lodowata powłoka potu i dygotaliśmy pod przemoczonymi trenczami. Roz mawiając zjedliśmy resztę czekolady, wdzięczni za dźwięk naszych własnych głosów w tym zimnym, ponurym pustkowiu. Przypuszczam, że to było nieuniknione: Patch musiał mówić o „Mary Deare”. Byliśmy tak blisko niej, obezwładnieni przez mgłę. Najpierw rozmawialiśmy trochę o Rice’ie, potem mówił mi o śmierci Taggarta. Jakby odczuwał wyraźną tego potrzebę.

- Biedaczysko! - wyszeptał. - Dla tej dziewczyny zaprzedałby duszę w każdym porcie Dalekiego Wschodu Rujnował sobie zdrowie i zapijał się brnąc w jakieś ciemne interesy, o ile tylko dawały mu więcej niż gaża kapitańska Dlatego wzięli go z Singapuru.

- Więc to Gundersen go zaangażował? - spytałem.

- Prawdopodobnie. Nie wiem. - Wzruszył ramiona mi. - A zresztą obojętne, który z nich, w każdym razie wybrali zły moment. Stary wracał właśnie do córki i nie miał zamiaru zatapiać statku w czasie ostatniego rejsu.

- I dlatego Dellimare się go pozbył. Czy to pan sugeruje? - spytałem.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie przypuszczam, żeby chciał go zabić. Myślę, że po prostu zabrał mu alkohol i czekał, aż stary zmięknie na tyle, że zrobi, co będą chcieli. Skąd mógł wiedzieć, że Taggart umrze tej nocy? - Uśmiechnął się do mnie kącikiem ust. - Ale to właściwie na jedno wychodzi. - Siedział wtedy z kapitanem parę godzin słuchając strzępów jego życiorysu przewijających się wśród majaczeń: ryzyko, szwindle, ciemne interesy, no i... ci dwaj, co utonęli. Od tej pory zaczął pić. - Jak większość z nas po prostu chciał zapomnieć ciągnął Patch wywołując ducha tego straszego starca pochłonięty całkowicie jego tragedią, stojąc na skale jak mnich, rozdygotany pod swoim brązowym płaszczem.

I nagle zaczął mówić o niej. Ta jej fotografia... jak wiele dla niego znaczyła... Była mu powiernikiem, natchnieniem, symbolem wszystkich szalonych nadziei. A potem spotkanie w Saint Mało i szok, kiedy stwierdził, że są rzeczy, których nie może jej powiedzieć, a ona się orientuje, że coś przed nią ukrywa.

- Pan ją kocha, prawda? - zapytałem. Byliśmy sobie jakoś dziwnie bliscy, sami w tej nieprawdopodobnej mgle i ciszy otaczającego nas zewsząd morza.

- Tak. - Jego głos zabrzmiał wysoką nutą, jak gdyby nawet tutaj myśl o niej mogła go podnieść na duchu.

- Nawet pomimo tego, co panu zrobiła w sądzie?

- Ach, to! - Machnął ręką. Ostatniego wieczoru w Southampton przysłała go przeprosić. I wtedy powiedział jej wszystko: wszystko, co powierzał jej fotografii. - Musiałem przecież komuś powiedzieć - wymamrotał.

Nagle podniósł głowę i wyczuwając podmuch wiatru, który nadszedł od wilgotnej pustki, zaczął węszyć. - Jeszcze ciągle zachodni - rzekł. Zastanawialiśmy się, jak szybko opadnie mgła. Nie podobał mu się ranek. - Ten niż - burknął. - Musimy dotrzeć do statku ratowniczego, zanim dmuchnie na dobre. - Jego słowa zabrzmiały złowieszczo.

Wkrótce po tym trzeba było wracać do dingi. Poziom wody się podniósł zakrywając rafy w naszej zatoczce; łodzią kołysało teraz bez przerwy. Byliśmy w jakimś dziwnym podmorskim świecie, gdzie wszystko ociekało wodą, a jej powierzchnia podnosiła się stale, aż wreszcie potężny bastion skalny zmałał do rozmiarów niewielkiej wysepki wynurzonej zaledwie na dwie stopy.

Była druga godzina i fala wezbrała znacznie, zraszając nas, skulonych w łodzi, deszczem rozpylonej piany.

Zaledwie zdawałem sobie sprawę z upływu czasu. Mgła wisiała wokół nas tak gęsta, że mieliśmy wrażenie, jakby na całym świecie nie istniało nic oprócz tego nędznego skrawka skały i ponurej, rozhuśtanej toni.

Nie rozmawialiśmy wiele. Byliśmy rozpaczliwie przemarznięci. Dryfując czuwaliśmy na zmianę aż do omdlenia. Woda opadła i kamienny cypel ukazał się ponownie niby jakiś potwór wynurzający cielsko z wody.

Było zaledwie po piątej, kiedy mgła zrzędła. Zerwał się wiatr rozpędzając szarżyznę, która stopniowo przeszła w rażącą oczy tęczową poświatę. Zaczęły się wyłaniać różne kształty krzepnąc w kontury skał, a morze coraz bardziej się oddalało. Nad naszymi głowami pojawiła się »lama nieba, przeraźliwie błękitnego, i nagle opary znikły - zabłysło słońce.

Znaleźliśmy się w roziskrzonym świecie błękitnozielonej wody, upstrzonej skalnymi wierzchołkami.

Przycumowaliśmy dingi i wdrapaliśmy się na szczyt pokrytej skorupiakami i porośniętej wodorostami fortecy, skąd ukazał się naszym oczom fantastyczny wprost widok, 'robiło się bardzo gorąco. Morze wokół nas usiane było wysepkami - mila za milą ponurych raf i skalnych występów obraz Minków na godzinę przed niską wodą. Za nami prześwitywała otwarta przestrzeń morza, tylko na południowym zachodzie wyspy tkwiły tak gęsto, że niemal zlewały się w jeden zwarty masyw.

Bez trudu zidentyfikowaliśmy latarnię morską na Maitesse Ile, wznoszącej się na wysokość trzydziestu jeden stóp w czasie wysokiej wody. Dzięki temu punktowi Patch już bez trudu mógł określić cel naszej wyprawy. Skała, na[której staliśmy, znajdowała się po północnej stronie Minków, jakąś milę w głąb zewnętrznego bastionu Pipette Rocks, Patch wyliczył, że „Mary Deare” powinna leżeć na południe od nas. Sprawdziłem potem to na dokładnej mapie i okazało się, że miał rację. Te trzy mile jednak, które dzieliły nas od statku, stanowiły największe zagęszczenie raf. Ale wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, nie wiedzieliśmy także, jak przedziwnym zmianom może ulec konfiguracja sterczących z wody głazów w ostatnich stadiach odpływu. Wiało teraz dość silnie i na długiej, maszerującej wytrwale zachodniej fali zaczął się tworzyć brzydki czub. Pobielalo od piany, zwłaszcza wokół podwodnych progów. Uświadomiłem sobie, że należy zachować ostrożność, gdy nagle dostrzeżliśmy Higginsa. Stał na potężnym kamiennym bloku o niecałe pół mili na wschód od nas. Był to prawdopodobnie Grand Vascelin; dojrzelismy wyraźnie czarnobiałą latarnię na szczycie, a kiedy Patch mi go pokazał, Higgins zląził właśnie do swojej dingi, która kołysała się u stóp skały połyskując radośnie w słońcu błękitem farby.

Ruszyliśmy szybko, ślizgając się, potykając i gramoląc do łodzi. Odbiliśmy błyskawicznie, nie zdążywszy nawet obmyślić kursu wśród labiryntu wysepek, pomni jedynie na to, że zachodni już wówczas prąd sprzyja Higginsowi i że musimy te trzy mile dzielące nas od holownika przebyć, nim on nas dogoni.

Oczywiście nie powinniśmy byli nigdy pokazywać się na tle nieba. Gdybyśmy się choć chwilę nad tym zastanowili, wiedzielibyśmy, że w momencie, gdy widoczność się poprawi, będzie nas wypatrywał z dogodnego punktu. Nie dlatego, żebyśmy o nim zapomnieli. Trudno zapomnieć o kimś, kto ze zbrodnią w sercu ściagał cię całą noc poprzez zdradliwy szmat morza. Nie, myślę, że to po prostu mgła tak jakoś odizolowała nas psychicznie, że gdy tylko ustąpiła, rzuciliśmy się, by z możliwie najwyższego punktu spojrzeć

na świat, tak długo przed nami ukryty. Była to instynktowna reakcja ludzi otępiełych z zimna i wyczerpania.

Nałożyliśmy kamizelki ratunkowe - jedyna rzecz rozsądna i odbiliśmy od skały, która przez blisko dwanaście godzin była naszym schronieniem. Patch zaczął wiosłować kierując się na południowy zachód. Z dala od zawietrznej strony skały poczuliśmy nagle siłę wiatru i kołysanie fali. Wiatr by zachodni, przeciw prądowi pływowemu, i fala właśnie zaczęła się łamać. Przeleciało mi przez głowę, że może to już wkrótce będzie niska woda. Słońce wyglądało anemicznie, a blade języki gnanych wiatrem pierzastych chmur oblizywały niebo.

Prąd nie był zbyt silny, ale niósł nas nieubłagane w kierunku największego skupiska obnażonych raf. Masyw ten przecinają dwa kanały, czegośmy wtedy dojrzeć nie był w stanie. Patch wiosłując przeciw prądowi usiłował przedostać się na stronę wschodnią, gdzie dojrzelibyśmy wolni przestrzeń morza. I nagle - zmienił kurs. Byłem właśnie zajęty wylewaniem wody za pomocą ziudwestki, więc pojrzałem na niego pytająco. Myślałem, że prąd jest za silny albo on może uważa, że bierzemy za dużo wody. Ale kiwnął tylko głową w stronę rufy.

- Higgins - powiedział. Obróciłem się szybko, by zobaczyć błękitną dingi wynurzającą się właśnie spoza rumowiska poszarpanych skał. Była nie dalej niż dwa kable za nami. Znaleźliśmy się teraz na otwartej płaszczyźnie, w szerokim kanale dzielącym zewnętrzną ścianę raf od ich głównego masywu. Nie było żadnych skał, które by nas osłoniły, i łamiące się ustawicznie grzywacze chlustały przez burtę choć ani na chwilę nie przestawałem wylewać wody, poziom jej stale się podnosił.

Słyszałem ciężki oddech Patcha wydostający się z trudem przez zęby i za każdym razem, kiedy, spojrzałem w stronę rufy, odnosiłem wrażenie, że Higgins zbliża się w swojej luźnej metalowej dingi, lżej i łatwiej sunącej niż nasza. Trzymał się trochę bardziej na wschód, spychając nas do obszaru wolnego od głazów i przypierając do zewnętrznej części głównej rafy, wzdłuż której łamała się fala spiętrzona białą kipiela ponad czarnymi zębami frędzli skalnej.

- Będzie pan musiał skrócić pod wiatr! - zawołałem.

Patch spojrzał przez ramię, nie przestając wiosłować, i skinął głową.

Dwudziestostopowej długości ściana była już blisko. Za każdym pociągnięciem wiosła woda z całą siłą uderzała w dziób z prawej burty, wlewając się do środka i grożąc zatopieniem. Nie pozostawało nic innego, jak trzymać się kursu płynąc na skały i być dobrej myśli.

Prąd przyszedł nam z pomocą znosząc wzdłuż kamiennego szańca na zachód, w stronę zatoczki, gdzie poziom wody wznosił się o cztery do pięciu stóp. Każde uderzenie wiosła gnało nas głębiej w zatoczkę, coraz bardziej uniemożliwiając odwrót.

- Nigdy się stąd nie wydostaniemy! - krzyknąłem do Patcha.

Nie odpowiedział. Brakło mu tchu. Spojrzałem za rufę i zobaczyłem, że Higgins zmniejszył dzielącą nas odległość do niecałych dwustu jardów. Patch wiosłował wytrwale. I nagle ponad jego ramieniem spostrzegłem, jak przeciwległy brzeg rozstępuje się tworząc - o dziwo! - kanał wodny.

- Niech pan patrzy! - wskazałem.

Patch spojrzał szybko, dostrzegł przerwę i skierował ku niej dingi. Byliśmy w pierwszym z dwóch kanałów, mając wiatr w plecy. Łódź wznosiła się i opadała na stromej fali. Braliśmy teraz bardzo mało wody, tak że bez trudu mogłem opróżnić dingi, dzięki czemu płynęliśmy lekko i gładko.

- Jesteśmy w domu! - Głos Patcha, pełen ufności, dotarł do mnie przez wiatr i szum wody walącej w obie ściany przesmyku. Uśmiechał się obnażając zęby i rozrzutnie trwonil cenną energię wiosłując szybkimi, gwałtownymi ruchami.

Ledwo skończyłem wylewanie wody, usiadłem obok niego na ławce i zaczęliśmy wiosłować w zgodnym rytmie, nie odzywając się, tylko obserwując, jak niezliczone fale to wtrącają w przepaść, to wydzwigają na swoich grzbietach Higginsa. Świat uśmiechał się nieśmiałym migotem białej fali. Tylko skały były ponure, a ich groźbę potęgował jeszcze blask słońca.

Osiągnęliśmy najwyższy punkt kanału, strzeżony przez samotny skalny szczyt, i nagle otwarła się przed nami szeroka przestrzeń ze skupiskiem raf na wprost. W miejscu tym, osłoniętym nieco od wiatru, tu i tam widać było białe plamy spienionej wody. W miarę jednak jak zbliżaliśmy się do tego szerokiego rozlewiska, zaczęła zachodzić jakaś przeraźliwa zmiana. Pierwszym jej symptomem była fala, która wzniosłszy się nagle za rufą złamała się kładąc nas na burtę i grożąc wywróceniem.

Patch krzyknął, że jesteśmy na rafie. Wyprowadziliśmy łódź z tego niebezpiecznego miejsca. Woda wzbierała teraz bez przerwy. I nagle rozejrzawszy się dokoła zauważyłem, że spokojna dotąd toń burzy się i w wielu innych punktach.

- Prąd! - wrzasnął mi Patch do ucha. - Ciągnij, ciągnij, to prąd.

Nie trzeba mnie było ponaglać. Wyszarpałbym sobie obydwie ręce ze stawów, żeby tylko wydostać się z tej potwornej okolicy. Wszędzie wokół nas pełno było białych plam, które łączyły się z innymi plamami tworząc nieregularne linie. To, co przed chwilą jeszcze

było otwartą płaszczyzną, nagle przedzierzgnęło się w ryczący kocioł piany, masa wodna zaś opadła jak winda, obnażając kamienie i żwir na przestrzeni zamkniętej wałami centralnego trzonu raf. Zaledwie zdołałem zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, kiedy fala uniosła nas do góry, aby po chwili rzucić skałę. Gwałtowny wstrząs upadku dotarł poprzez stos pacierzowy do podstawy czaszki jak cios.

Woda kipiała wokół, biała w słonecznym blasku, połyskująca jak mydliny. Skały i kamienie ukazały się na moment zniknęły pod następną falą zieleni, która uniósłszy naszą łódź ponownie cisnęła nią o rafy. W chwili wzniesienia panoramiczny jak gdyby obraz okolicy - czarne spiętrzone wokół skały, rozszalała biel skłębionych wód i migające tu ówdzie skrawki dna - przemknął mi przed oczami, podczas gdy łódź zawirowała gwałtownie, zmiażdżona i sekundę później o wystający cypel skalny. Ta niewielka oaza pośrodku straszliwego chaosu to wynurzała się, to nowiła - w zależności od fali.

Wygramoliliśmy się wreszcie z dingi brodząc po kolana, kiedy woda opadła, odwróciliśmy łódź do góry dnem, żeby ją opróżnić. Jeden rzut oka upewnił nas, że zniszczenie przekracza możliwość reperacji: dwie deski były podziurawione na całej prawie długości.

- To nie ma znaczenia! - zawołał Patch. - I tak prędzej czy później musielibyśmy ją zostawić. Chodźmy.

Pochylił się i wyjął z pudła ręczny kompas. To było jedyne, co wziął.

- No, niech pan idzie! - powtórzył. - Resztę drogi przejdziemy na piechotę albo przepłyniemy.

Stałem i patrzyłem na niego. Myślałem, że zwariował, że wydaje mu się, iż jest Chrystusem zdolnym chodzić po powierzchni wzburzonego morza. Ale nie, nie był szalony. Był po prostu żeglarzem i jego umysł pracował szybciej niż mój. W scenerii zaszła już pewna zmiana: mniej spienionej wody, za to w miarę postępowania odpływu coraz liczniej pokazywały się skały, kamienie i łaty żwiru. A w odległości dwustu jardów po kolana w wodzie brnął Higgins, ciągnąc za sobą swoją dingi.

Schyliłem się po cumę, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że to bezcelowe.

- Niech pan idzie! - ponaglił Patch. - Musimy się stąd wydostać przed następnym przypływem. - Skierował się na południe, a ja ruszyłem za nim potykając się o niewidoczne kamienie, wpadając w wykroty, przemoczony, półprzytomny, wyczerpany. Ryk fali odpływał, zmierzając gdzieś w dal w odległym pomruku, aż w jednej chwili - rzekłbyś - wyjąca kipiel zastygła, cicha nagle i spokojna. Niewielkie, wzniesione nieco, żwirowate łachy połyskiwały

w słońcu wilgocią, a wokół nich małe, zmarszczone wiatrem bajorka, otoczone czarną barierą rafy.

Wrażenie izolacji, samotności i oddalenia było przeraźliwe. Potęgował je postępujący w ślad za nami Higgins, który podszedł właśnie do naszej dingi. Obejrawszy się w tył zobaczyłem, jak unosi ją do góry, a następnie rozbija o skalny występ. Trzask łamanego drewna zabrzmiał ostro, okrutnie. Cały dziób poszedł w drzazgi, mój ostatni kontakt z „Wiedźmą Morską” został brutalnie zerwany.

A potem znów ruszył za nami. Metaliczny dźwięk obijającej się o kamienie dingi towarzyszył nam bez przerwy, kiedyśmy potykając się przebywali skaliste połączenie obnażonego dna, to znów brnęli poprzez wodę, tak głęboką miejscami, że trzeba było płynąć.

I cały czas miałem niejasną świadomość, że jesteśmy o dwadzieścia mil od francuskiego wybrzeża, na obszarze odwiedzanym jedynie przez nielicznych miejscowych rybaków, na kamienistej plaży, która w przeciągu krótkich sześciu godzin znajdzie się na głębokości trzydziestu stóp - zmiążdżona, uwięziona, sprasowana milionami ton wody. Jedyne, co mi dodawało sił, to myśl o statku ratowniczym, tak już teraz bliskim. Musiał być o jakieś dwie mile stąd., najwyżej trzy... a tam - koja, suche ubranie i gorąca zupa..

Patch potknął się i przewrócił; wstał jednak i brnął dalej. Byliśmy w połowie drogi do południowego bastionu czarnych raf i gramoliliśmy się poprzez pomost zjeżonych, zębatych skał. Upadał potem jeszcze parę razy. Nie tylko zresztą on - padaliśmy obaj. Byliśmy u kresu sił i kiedy noga się pośliznęła, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Ciężyły nam i plątały krok przemoczone ubrania.

Słońce powoli gasło wśród pierzastych obłoków. Nadpłynęły chmury. Nie zauważyłem nawet, jak to się stało - oczy zalewał mi pot. Nie widziałem nic prócz tego, co miałem bezpośrednio pod nogami. Spostrzegłem tylko, że żwir i kamienie stały się nagle szare, pociemniały. A potem, znacznie później, poczułem na twarzy leciutką mżawkę. Pomruk morza zaczął wracać, kiedy przedzieraliśmy się właśnie przez ogromne bloki głazów rozrzucone wokół głównego wzniesienia.

Już dawno nie oglądałem się do tyłu, więc nie wiedziałem, gdzie jest Higgins. Nie słyszałem już i błękitnej dingi. Jej dźwięk zagubił się gdzieś w szumie morza i tętnie mojej własnej krwi. Wdrapywaliśmy się na ostatni obrośnięty wodorostami skalny występ.

Przystanąłem na chwilę, żeby spojrzeć na Patcha, który patrzył z wierzchołka na południe, wsparty o kamienną barierę.

- Widzi ją pan? - wykrztusiłem.

- Nie. - Potrząsnął głową. Wygramoliłem się na szczyt i razem patrzyliśmy na południe. W dalszym ciągu Minki. Ale już inne. Więcej morza. Te same wysepki, ale rzadsze. A na wprost nas - otwarta przestrzeń morza, przysłonięta i zamazana przez deszcz.

- Nie widzę jej - westchnąłem.

- Na pewno gdzieś tu jest. - Jego głos był bezbarwny, znużony. Czarne włosy zwisały mu na oczy, a twarz i ręce były pokrwawione; reszty obrazu dopełniało błoto i przemoknięta, obwisła odzież. Wziął mnie za ramię.

- A pan jak? - zapytał.

- W porządku - odparłem.

Spojrzał na mnie i po raz pierwszy dostrzegłem w jego oczach cień zainteresowania. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i odwrócił głowę.

- Przepraszam. - I to było wszystko.

- Jak pan sądzi, daleko jeszcze? - spytałem.

- Będzie z mila.

Mila do przepłynięcia. Zważyłem, czy w ogóle uda nam się ją przebyć. Znow wzięłam mnie za ramię i poprzez rumowisko drobnych raf wskazał zwarty masyw skalny, górujący nad otoczeniem. To chyba GruneaCroc.

Wznosiła się gdzieś na horyzoncie, na pół przesłonięta mżawką, a na sam dźwięk swego imienia znikła nagle ukryta za gęstniejącym deszczem. Gdzieś za tą skałą leżała „Mary Deare”.

Z tyłu, z północnego zachodu nadeszła fala łapczywie oblizując kamienie, gnana przez wiatr i zmierzający ku południowi prąd. Ale Higgins był poza jej zasięgiem, wiosłował sobie powoli, bez wysiłku w stronę pobliskiej rafy. Przycumował dingi śledząc nas pilnie - jak bestia osaczoną ofiarę. Mógł sobie pozwolić na zwłokę, bo z każdą stopą przyływu wielkość naszej grzędy zmniejszała się o połowę.

Znaleźliśmy jakiś skalny nawis, który dał nam schronienie przed deszczem i wiatrem pozwalając obserwować Higginsa. Siedzieliśmy skurczeni z zimna, przytuleni do siebie; przyływ wznosił się stale - aż wreszcie zamknęła się nad nami noc.

Gdyby tylko widoczność była lepsza; żebyśmy mogli przynajmniej zobaczyć „Mary Deare”, może udałoby się nam zwrócić na siebie uwagę ekipy ratowniczej. Ale nie było widać nic; nie było ich nawet słychać. Jedyne, co do nas docierało, to łomot fal o przeciwległą ścianę rafy. Zastanawiałem się, jak to będzie, kiedy przyływ osiągnie punkt kulminacyjny. Czy woda zacznie się przewalać przez wierzchołki tych skał? Ale wtedy i tak już nas tu nie

będzie. Nasz plan przewidywał ześlizgnięcie się do wody na jakąś godzinę przed wysoką wodą i dotarcie do GruneaCroc.

Liczyliśmy, że nadciągający z południa poprzez główną masę raf prąd podrzuci nas w stronę tej skały. Mimo iż Patch zgubił kompas, sądziliśmy, że winna być dostatecznie eksponowana jako jedyny widoczny w czasie wysokiej wody punkt na całym obszarze ciągnącym się na południe od nas. Gdy wreszcie podjęliśmy decyzję, nic już nie zaprzętało naszych myśli. Wtedy po raz pierwszy odczułem głód. Ale nie tylko to mnie trapiło, męcząca była świadomość, że nie zostało mi już ani trochę ciepła - jak gdyby leszcz i kęsające zimno dotarły do źródeł życiodajnego ognia i wygasiły go we mnie. Popadłem w jakiś straszliwy tan zamroczenia i zamglonymi oczami obserwowałem, jak włąz, do którego zacumował swą dingi Higgins, powoli ginie pod wodą. Higgins zaczął znów wiosłować, bezlitośnie smagany przez falę. Jakoś nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Byłem widocznie zbyt zmęczony. W miarę jak prąd wody zyskiwał na sile, Higgins przyspieszał tempo. Me stopniowo jego uderzenia stawały się coraz słabsze, aż w końcu nie pozostawało mu nic innego, jak przyłgnąć do pobliskiej skały. Wkrótce i ona jednak skryła się pod wodą, a choć od nowa chwycił za wiosła, prąd coraz bardziej go od nas oddalał. Wreszcie skryła go noc. Znaczyło o oczywście, że nie musimy się martwić, gdzie akurat będzie Higgins w momencie, gdy opuścimy naszą kryjówkę, kiedy jednak człowiek ma w perspektywie szmat wody do przepłynięcia i nie jest pewien swoich sił, kwestia, czy po drodze spotka łódź, czyjej nie spotka, przestaje być obojętna.

Po trochu zaczynałem tracić świadomość. Byłem tak przemarznięty, tak całkowicie pozbawiony ciepła, że przestałem cokolwiek odczuwać.

Obudziła mnie woda, która miała temperaturę wyższą niż moje ciało i letnią kąpielą obmywała mi nogi. A potem nagle chlusnęła mi w twarz. Odzyskałem przytomność poczułem, że Patch się poruszył.

- Rany boskie! - wymamrotał. - To już chyba jest wysoka woda!

Wstaliśmy zeszywniali, na siłę próbując się rozprostować. Czyżby to była wysoka woda? Czy już zaczynał się odpływ? Mój otępiały mózg szukał odpowiedzi na te pytania - wiedziałem, że są ważne, ale nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego. Deszcz ustał. Wzeszły gwiazdy i zaczęły się gromadzić nisko zawieszone chmury. Błede refleksy księżycowego blasku kładły się na atramentowoczarnej wodzie.

- No co, zaczynamy? Która godzina? - Głos Patcha zabrzmiał jak skrzek. - Która godzina, na miłość Boską? Stał mi zegarek.

Mój stanął również. Nie było sposobu zorientować się ani w czasie, ani w kierunku prądu. Tknięty nagłym strachem otrzeźwiałem, zdałem sobie sprawę, że nie mamy wyboru. Jeśli zostaniemy na tej skale, umrzemy z wyczerpania - za dzień, dwa - ale umrzemy na pewno. A jutro nie zbierzemy już sił, by przepłynąć tę milę. Zresztą woda była ciepła - cieplejsza niż oblepiające nas przemoczone ubrania, cieplejsza niż wiatr i lodowaty deszcz, który znów nam zagrażał. No i mieliśmy przecież kamizelki ratunkowe, a gdyby prąd okazał się niesprzyjający, starczyło innych skał, żeby na nich umrzeć.

- Gotów? - spytałem.

Patch zawahał się i nagle stwierdziłem, że zupełnie straci wiarę w siebie. Był marynarzem nawykłym do statków, a nie do samego morza - żywiołu igrającego z ludzkim ciałem jak z piłką.

- No, trzeba ruszać - powiedziałem. - Idziemy. Niech się pan trzyma blisko mnie i nic nie mówi.

Nadaliśmy maksymalnie kamizelki ratunkowe i zsunęliśmy się razem z kamiennego parapetu. Kiedyśmy tu przyszli, o trzydzieści stóp niżej sterczały głazy; teraz zesliśmy prosto w wodę, w ciepłą, rozkołysaną wodę, i leżąc na plecach płynęliśmy wolno na południe, nogami zwróceni do Gwiazdy Polarnej, która od czasu do czasu migotała poprzez strzępy skłębionych chmur.

Płynęliśmy obok siebie - w odległości dwóch wyciągniętych ramion - posuwając się stale, lecz powoli. Wkrótce zostawiliśmy za sobą rafy, unosząc się i opadając łagodnie na potężnej fali. Słyszeliśmy, jak łomocze o odległe głazy, które gdzieś na zachód od nas odpierały jej główne ataki.

- Idzie sztorm - wyszeptał Patch.

Wiatr przycichł, fala była duża, ale łagodna. Morze drzemało wzdychając we śnie. A jednak wiedziałem, Patch ma rację. Choć wiatr był słaby, rozdarte na strzęp} chmury gnały po niebie, a ryk morza na zachodzie brzmiał złowrogo jak detonacje. Nagle - nie wiadomo skąd wyskoczył w górę grzywacz, który zalał nas i odepchnął od siebie. Na moment dotknąłem nogami jakiegoś głazu, po chwili wszystko ucichło, a my unosiliśmy się i opadali jak dawniej. Minęliśmy jeden z tych kamiennych filarów, które w czasie odpływu sterczą z wody niby wartownicy.

Skalna grzęda, na której spędziliśmy pół nocy, znikła teraz powoli - znikła „za rufą”, upewniając nas, że płyniemy we właściwym kierunku. Nie przegapiliśmy sprzyjającego prądu. Patch zaczął brodzić.

- Nie widzę GruneaCroc - powiedział szcękając zębami. - Chyba powinniśmy skrócić trochę na zachód.

Zaczęliśmy płynąć mając Gwiazdę Polarną i Wielki Wóz 50 lewej stronie i zastanawiając się, jak długo jeszcze wytrzymamy. Zęby mi dzwoniły, a woda, która na początku wydawała się tak ciepła, teraz lodowatym kompresem dębiła brzuch. Mieliśmy zupełnie puste żołądki i żadnej nadziei na odzyskanie utraconego ciepła. Za chwilę któregoś: nas złapie kurcz i to będzie koniec. Ciężyły nam przemoczone ubrania, a nadęte kamizelki ratunkowe odbierały swobodę ruchów. Każde uderzenie musiało być silne, żeby pokonać opór wody, a siła była równoznaczna: energią - z resztkami naszej energii życiowej. Bóg jeden wie, jak długo płynęliśmy tej nocy. Wydawało się, że bez końca. A każdy ruch był ledwo dostrzegalnie słabszy od poprzedniego. I cały czas marzyłem o tym, żeby mieć na obie kombinezon z gumy piankowej albo chociaż płetwy la nogach. Już od lat nie pływałem w taki idiotyczny sposób.

Popadłem w stan jakiegoś psychicznego omdlenia, jakiejś stagnacji bólu i ostatecznego wyczerpania, w którym znów widziałem siebie przedzierającego się do starego zbiorni-:owca poprzez jasne i przezroczyste wody Morza Śródziemnego - połyskujące bielą piasku i srebrem rybiej łuski - siebie, jak płynę lekki i beztroski, o nienagannej równowadze, ciepły i oddychający bez trudu przez akwalung.

- John! John! - Otworzyłem oczy. Otaczała mnie czarna noc. Przez moment myślałem, że się zapadam w głębiny, wtedy dojrzałem gwiazdę i usłyszałem szum łamiącej się fali.

- John! - zawołał ponownie jakiś głos z ciemności.

- Tak.” Co się stało?

- Jest jakaś skała. Widzę ją. - Był to głos Patcha.

„Dziwne - pomyślałem - nigdy przedtem nie mówił do mnie John”.

Później dodał: - Napędziłeś mi stracha przed chwilą. Nie mogłem się ciebie dowołać. Myślałem, że cię zgubiłem.

Zainteresowanie przebijające z jego tonu nappełniło mnie jakimiś cieplejszymi uczuciami do tego człowieka.

- Przepraszam cię. Po prostu drzemałem, nic więcej. Gdzie ta twoja skała?

Obróciwszy się, nie dalej niż sto jardów w prawo na tle jasnej łuny rozpryskującej się fali zobaczyłem mroczny kształt. Przeszukałem wzrokiem ciemność dokoła. Była pełna grzywaczy i wydało mi się, że na ich tle dostrzegam jakąś zwartą masę.

Przyszło mi do głowy, że przecież na „Mary Deare” muszą być światła. Tym bardziej, jeśli pracuje tam ekipa ratownicza. Raz jeszcze zbadałem otaczający nas mrok, ale nie było

nic - nawet najmniejszego błysku. Może tak dalece starali się dochować tajemnicy, że bali się zapalać światła! I nagle zaświtała mi myśl, że może już ściągnęli ją na wod i hohiją. Przeszło mnie zimno, tym razem jeszcze bardziej intensywne i obezwładniające. Czulem, jak mięśnie lewe nogi skręcają mi się w węzeł.

- Tam coś jest za tą skałą - wychrypiał Patch. - Spróbujemy się tam dostać?

- Dobra - odparłem. To już i tak nie miało znaczenia. Lepiej nawet umrzeć w wodzie niż na którejś z tych zakazanych raf. Leżałem na plecach, ledwie poruszając nogami i uderzając rękami w wodę, już nie ciepłą, lecz lodowatą. Płynąłem automatycznie, podczas gdy mój umysł plątał się w dociekaniach na temat światła. Przecież muszą być światła. Jeśli tylko nie zostaliśmy zniesieni z powrotem w centralny rejon Minków, powinniśmy je widzieć o samego początku.

- Powinny być światła - wymamrotałem.

- Światła? Tak, właśnie. Powinny być światła - jego głos był cichy, jak gdyby przestraszony. - Powiedz im, że zapalili. - Był znów na statku. Błądził gdzieś myślami. - No, zapalcie te światła, czy nie słyszycie?! - I nagle zawołał:

- John! - Jego głos był nieprawdopodobnie słaby.

- Co?

- Tak mi przykro, że cię wpakowałem w tę kabałę. - Wymamrotał jeszcze coś na temat mojego jachtu. - Powinienem sobie palnąć w ten głupi łeb. - Na moment zapanowała cisza. - Zastraszili mnie wtedy za pierwszym razem, tam przed sądem. - Woda chlusnęła mi na twarz i następne, co usłyszałem, to: -...im się postawić... trzeba było to zlekceważyć... - Szum fali zagłuszył wszystko. Umilkł. Jego ręce spoczęły bezwładnie. Widziałem tylko zarys nieruchomej głowy.

- Co ci jest?! - zawołałem. Nie odpowiadał. Podpłynąłem do niego. - Co ci jest? - powtórzyłem.

- Popatrz! Widzisz?!

Byłem pewien, że oszalał.

- Obudź się! - krzyknąłem. - Musimy płynąć do tej skały, słyszysz?.

Złapał mnie za ramię żelaznym chwytem tonącego, a kiedy się oswobodziłem, wrzasnął:

- Patrz, człowieku! Patrz tu, do diabła. Patrz i powiedz, że to nie sen!

Wyciągnął rękę. Odwróciłem głowę i na tle gwiazd dojrzałem wysoki palec masztu, a poniżej czarne cielsko nadbudowy mignęło mi na moment w fosforycznym blasku łamiącej się fali.

Zaczęliśmy płynąć, niepomni zimna i wyczerpania, ciągnąc zmęczone i ociężałe ciała poprzez wodę. Zbliżaliśmy się od strony dziobu, który przypominał obmywaną falami rafę wyłaniając się od czasu do czasu spośród fontanny wody. Potem spoza dziobu, spoza sterczącego jak wielki palec masztu wyłonił się mostek, komin i ukośna linia wznosząca się w kierunku zadartej rufy.

W dolinie fali jakaś lina napięła się nagle i szarpnęła moje lewe ramię tak, że krzyknąłem zachłystując się wodą. Fala pochłonęła mnie na chwilę. Minałem dziób posuwając się z trudem wzdłuż zalanej burty, aż wreszcie dostałem się na statek w miejscu, gdzie część dziobowa wznosi się nad pokładem.

Rzuciło mną o pokrywę pierwszego luku z taką siłą, że poczułem ból w naderwanych ścięgnach; zacząłem zjeżdżać po obrośniętym wodorostami pokładzie, gdy fala ustępowała w kłębowisku białej piany. Zatrzymałem się wreszcie; w odpływniku, kurczowo uczepony nadburcia, i kiedy wdarła się następna fala, w ucieczce przed nią zdołałem się i jakoś przedostać w kierunku rufy i uchwyciwszy się masztu, zachrypniętym, piskliwym głosem zacząłem wołać Patcha przerażony, że go zgubiłem. Ten moment paniki trwał bez końca. Z nas dwóch ja pływałem lepiej, byłem oswojony z morzem. Powinienem z nim zostać, dopóki bezpiecznie” nie wyląduje na pokładzie. A jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że nie zdobędę się na to, by wrócić i szukać go w ciemności; byłem zmęczony, śmiertelnie zmęczony - naprężone do ostateczności mięśnie groziły skurczem. Ale ponad wszystko nie chciałem być sam na tym statku. To był martwy statek, martwy jak skały Minków. Czulem to instynktownie. Całym ciałem wyczuwałem jego martwość i rozpaczliwie brak mi było Patcha. Przywarłem więc do masztu i wykrzykiwałem jego imię, podczas gdy morze z hukiem przelewało się przez dziób złośliwie łyskając białą kipiącą wody.

Nie zauważyłem, jak wylazł na pokład. Ciągle jeszcze nawoływałem go, kiedy nagle zjawił się koło mnie - niezgrabna, zataczająca się postać w kamizelce ratunkowej, wyraźna na białym tle wzburzonej fali.

- No, wszystko w porządku - wykrztusił. - Już jestem.

Uścisnął mi dłoń. Staliśmy tak chwilę z trudem łapiąc oddech, uniesieni nagłą radością tego uścisku.

- Powinny przecież być światła - powiedział w końcu z jakimś dziecinnym rozczarowaniem, jak gdyby ekipa ratownicza pozbawiła go z dawna oczekiwanej przyjemności.

- Prawdopodobnie zgasili je na noc - odparłem be przekonania. Wiedziałem, że statek jest wymarły.

- Ale przecież powinny być - powtórzył z uporem.

Mijając po drodze luk drugiej ładowni powlekliśmy trapem na górę w stronę rufy. Drzwi nadbudówki były rozwalone, powyginane i wyrwane z zawiasów. Przeszliśmy po omacku korytarz, minęliśmy dawną kabinę Patcha, i potem kabinę Dellimare'a, i poprzez ziejący pustką otwór drzwi wydostaliśmy się na górny pokład, gdzie bezczynne żurawiki łodziowe sterczały jak wykrzywione palce na tle jaśniejszych plam oświetlonego przez gwiazdy nieba, a złamany pod przedziwnym kątem komin rysował się w mroku niewyraźnym konturem.

Chlupocząc butami po stalowym pokładzie, wychudzeni do ostateczności, przemierzaliśmy w tę zimną noc całą „Mary Deare” aż do małej nadbudówki na rufie i z powrotem wzdłuż prawej burty - nawołując co chwila:

- Ahoj! Jest tam kto?! Ahoj!

Ale nie odpowiedziało nam nawet echo. Wąty dźwięk naszych głosów zagubił się w lodowatej ciemnej nocy, pochłonięty przez ryk fal.

Przy burcie „Mary Deare” nie było statku ratowniczego. Nie zabłysło nagle żadne światło, żeby nas zawieść do ciepła kabiny. Wołaliśmy i wołaliśmy - bez skutku. Statek był bez życia - martwy jak tego dnia, kiedyśmy go opuścili.

- Mój Boże - westchnął Patch. - Jesteśmy pierwsi. Nikogo tu jeszcze nie było. - W jego głosie zabrzmiała nuta ulgi, a nawet radości. Wiedziałem, że myśli o tym, co leżało przysypane węglem w lewym bunkrze. Ale ja pamiętałem w tej chwili jedynie o tym, że jestem przemarznięty, mokry obolały i że zamiast koi, suchego ubrania, ciepłego jedzenia i picia, i towarzystwa ludzkich istot, którego oczekiwałem - nie ma tu nic, nic prócz pokrytego szlamem i skorupiakami wraka, który przez sześć długich tygodni odpierał ataki morza.

- Chodźmy poszukać jakiegoś suchego ubrania i przespać się trochę - powiedział odgadując mój nastrój. - Zaraz lepiej się poczujemy. - Ale kiedy powlekliśmy się z powrotem w stronę mostku wymacując drogę poprzez czarny żelazny tunel korytarza prowadzącego do jego kabiny, stwierdziliśmy, że morze wtargnęło i tutaj. Piasek zazgrzytał w otwieranych siłą drzwiach, a ze środka przez wybite iluminatory, które spoglądały jak para błyszczących oczu, wionął na nas zimny podmuch.

Pulpit wyrwany z uchwytów leżał gdzieś w kącie przewrócony na bok, szuflady z ubraniami Patcha i Taggarta były pełne wody, a w dużej ściennej szafie nie znaleźliśmy nic prócz sterty nasiąkniętych wilgocią, zapiaszczonych koców, kurtek i papierów.

Przeszliśmy na główny pokład - do mesy i kuchni. Tam było jeszcze gorzej. Woda przewalila się przez całą długość korytarzy, wpadła do kajut oficerskich i prosto na rufę, do

kabin załogi. Wszystko, czego dotknęliśmy w tej nieprzeniknionej czerni, było przesycone wodą i pokryte szlamem. Ani jednego miejsca, którego by morze nie spenetrowało.

- Może sama rufa jest sucha. - Patch powiedział to głosem znużonym, bez cienia nadziei.

Zaczęliśmy się cofać po omacku lewym korytarzem, zdrętwiali i nieczuli z zimna, nie mogąc opanować dreszczy. O Boże! Żeby tylko na rufie było sucho! Niespodziewanie pod wpływem nagłego ruchu statku zatoczyłem się i wyrznię ramieniem o ścianę. Czułem go całym ciałem - jak pierwszy delikatny dygot zwiastujący trzęsienie ziemi. A potem statek znów się poruszył.

- Słuchaj! - Jego głos zabrzmiał niecierpliwie w ciemności. I Ale nie mogłem usłyszeć nic oprócz huku morza walącego o kadłub. - Ona jest w ruchu - wyszeptał. - Zniosła ją fala.

- Jakim sposobem?

- Nie wiem, ale tak jest. Nie czujesz?

Owszem, czułem, jak drży, jak się unosi, a potem wracał w swoje zwirowe łożysko. Ale mimo to nie przestawała dygotać, a z głębi jej trzewi dobywał się jakiś powolny zgrzyt i cały czas trzęsła się, jak gdyby przez sen usiłowała się uwolnić od śmiertelnego łoża raf.

- To niemożliwe - mamrotałem. Statek przecież nie może płynąć, kiedy ma dziób zanurzony jak rafa podwodna a fale przelewają się po nim. To musi być złudzenie i wtedy przyszło mi do głowy, żeśmy utonęli. Ale czy topielcy wracają do swoich statków, by śnić, że opuściwszy skalne labirynty podróżują jak duchy poprzez mroczne niesamowite morza? Straciłem zdolność logicznego myślenia. Statek był martwy, wiedziałem z pewnością. Życzyłem sobie jedynie stracić świadomość zimna i bólu i położyć się spać.

Podtrzymała mnie wyciągnięta w moją stronę ręka. Nogi bezwiednie deptały żelazny korytarz i wspinały się po trapie do góry, tam, gdzie był chłód nocy, migotanie gwiazd, pijany komin i nie kończący się ryk morza.

Na rufie potknęliśmy się o rozciągniętą w poprzek dolnego pokładu linę. Brzęczała i śpiewała w takt przechyłów statku, który poruszał się jak pijak, kreśląc masztami na niebie dziwne wzory; my zaś wspinaliśmy się po trapie, by zniknąć na koniec w czeluści małej nadbudówki.

W kabinie bosmana znalazła się jakaś odzież. O ile pamiętam, ani mokrą, ani suchą - w każdym razie cieplejszą niż moje nasiąknięte wodą ubranie. Prócz tego była rozmokła koja ze stertą koców cuchnących wilgocią jak psia sierść, a przede wszystkim sen - całkowite zapomnienie - znacznie bardziej doskonałe niż jakiegokolwiek niebo, o którym mógłby marzyć najedzony, siedzący przy własnym kominku człowiek.

Po jakimś czasie - a może nawet po latach - w to boskie odosobnienie wpłynęły ludzkie kroki. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie obudziły albo żebym chociaż odzyskał świadomość. W każdym razie nie zaraz. Po prostu docierał do mnie stukot kroków - donośny, metaliczny odgłos stąpania po stalowym poszyciu. Natarczywy, wścibski dźwięk. Był za moją głową, koło łóżka, z jednej i z drugiej strony, a potem coraz dalej - powolny, spokojny, celowy krok... marsz nieboszczyka poprzez krainę snu i zapomnienia. Kiedy ucichł, obudziłem się.

Światło dzienne przedarło się wreszcie do moich oślepych źrenic. Kupa zamokłych derek w rogu wilgotnego stalowego więzienia poruszyła się, a potem wstała. Był to Patch z szarą ze zmęczenia twarzą.

- Wydawało mi się, że słyszę kroki - powiedział. Jego oczy przypominające dwa czarne kamienie zatopione głęboko w oczodołach koloru kości słoniowej miały dziki wyraz. - Mógłbym przysiąc, że ktoś tu chodził.

Wygramoliłem się spod ciepłej sterty koców przesiąkniętych słoną wilgocią, zmarznięty i sztywny, z dręczącym uczuciem ssania w żołądku i piekielnym bólem ramienia. Wszystko wróciło do mnie nagle - jak cios. Powlokłem się do drzwi i wyrzałem na zewnątrz. Więc jednak to prawda, nie sen. Znów jestem na „Mary Deare”, tylko - mój Boże - tym razem to wrak! Pokryte rdzą widmo statku, oblepione warstwą zielonego szlamu, najeżone szarym zarostem skorupiaków. Komin zwisał pod jakimś zwariowanym kątem, a mostek piętrzył się powykręcany i zmasakrowany.

Był odpływ i jak okiem sięgnąć wokół wraka Minki szczyrzyły swoje czarne zęby - tu i ówdzie otoczone obwódką białej piany. Opoдал żadnego statku ratowniczego na kotwicy, żadnego holownika - nawet łodzi rybackiej.

Nie było nic poza ohydny, znajomym zarysem GruneaCroc i masywem raf za nią... ani śladu życia, tylko bezlitośnie ołowiane niebo z jakimś nieprzyjemnym poblaskiem, który rysując czarno kontury chmur, nadawał im zimny wygląd.

- Mój Boże! - zachrypiałem. Instynktownie jakoś pojąłem, co nas czeka, co znaczyła bladość ranka i surowa szarzysta nieba.

Patch, węsząc w powietrzu ponad moim ramieniem, wymamrotał:

- Robi się ciemno na dobre.

Na zachodzie było ponuro, czarny klin chmur, ostrą linią znacząc horyzont, królował pomiędzy niebem a morzem. Wiatr wprawdzie był słaby, ale łomot wód o sterczące rafy brzmiał złowieszco i nawet tutaj, w miejscu osłoniętym skałami, o burtę „Mary Deare” rozbijała się dosyć potężna fala.

- A te kroki... - odezwałem się. - Co to było?

Bez słowa zaprzeczył, unikając mego wzroku. Bóg jeden wie, co miał na myśli. Wstrząsnął się tylko, a mnie przyszło do głowy, że przez ten statek wielu ludzi musiało stracić życie. Potem stała się dziwna rzecz: niewielki obłok rdzy podniósł się jak kłęb czerwonej pary z nadburcia dolnego pokładu, ponad którym przemknęła stalowa lina. Pojawiła się pętla, zatrzymała chwilę na nadburciu - i ze słabym pluskiem zniknęła w wodzie. Statek znów był spokojny - nigdzie żadnego ruchu. Patch chwycił mnie za ramię.

- Dziwne - powiedział, a jego głos zabrzmiał głucho.

Staliśmy dłuższy czas jak wrośnięci w ziemię, obszukując wzrokiem całą długość statku.

Ale wszystko było ciche i pogrążone w bezruchu - wszystko prócz morza.

- Ktoś jest na pokładzie - powiedział. Twarz miał ściągniętą i wynędzniałą zupełnie jak tego dnia, kiedy go spotkałem po raz pierwszy. - Posłuchaj! - Ale nie usłyszałem nic oprócz chłupotu fal o burtę i grzmotu przyboju wśród raf. Wrak był cichy i spokojny jak grób. Samotny morski ptak poszybował gdzieś obok bezdźwięcznie w szumie wiatru, biały jak papierowa kula na tle chmur.

Patch zszedł na dolny pokład i przystanął, żeby się przyjrzeć pokrywie czwartego luku. Z bliska stwierdziłem, że nie jest to zwykła brezentowa płachta przymocowana drewnianymi listwami, ale świeżo przyspawana do zrębnicy stalowa płyta. Rzucił okiem na bomby ładunkowe, po czym przeszliśmy do luku trzeciego, którego pokrywa była również przyspawana. W końcu trapek wydostaliśmy się na pokład szalupowy.

Tu wszystkie nawiewniki zostały wyjęte i wały się po pokładzie jak amputowane części ciała, zaś szyby wentylacyjne przykryto zardzewiałymi płytami z blachy.

Komin odcięto u podstawy, a otwór zabezpieczono blachą. Świetlik w maszynowni zamknięto hermetycznie, wodoszczelne drzwi wzdłuż lewego i prawego korytarza głównego pokładu wyjęto i otwory zostały dokładnie zakryte.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że opowieść rybaków z Saint Helier była prawdziwa: ekipa ratownicza działała na statku. Uszczelnili cały kadłub „Mary Deare” i według wszelkiego prawdopodobieństwa załatali otwory w ładowniach dziobowych. To tłumaczyło unoszenie się statku na fali i nachylenie linii pokładów. Statek był nieomal gotów do ściągnięcia z raf. Spojrzałem na Patcha. Stał nad zsysem lewego bunkra, z oczami wbitymi w wyrwaną z zawiasów pokrywę, rzuconą niedbale opodal, na miejscu której widniała przyspawana stalowa płyta. Znaczyło to, że ciało Dellimare’a pozostanie w swojej stalowej

trumnie, dopóki przedstawiciele władz, zaopatrzeni w odpowiednie narzędzia, nie wejdą na pokład doholowanego do portu wraka.

Czekały go dni, a może tygodnie straszliwego napięcia. Kiedy się odezwał, na jego twarzy malowała się rozpacz.

- No, tak. - Odwrócił się, a jego wzrok pobiegł wzdłuż całego statku w stronę rufy. - Oni będą musieli założyć rufowy hol - dorzucił.

Nie nadążałem za tokiem jego myśli. Zastanawiałem się nad tym, że właściwie wszystko zostało już zrobione i że nigdzie nie było statku ratowniczego.

- Jak myślisz, dlaczego ją zostawili? - spytałem.

Spojrzał w niebo, pociągnął nosem zwrócony na zachód, wężąc bryzę, która nadchodziła w nieregularnych porywach.

- Pewnie prognoza była zła - odparł. - Może zapowiedź sztormu.

Popatrzyłem na wystrzępione rafy i przypomniało mi się, cośmy przeżyli. Możliwe, nie daj Boże...

- Co to? - głos Patcha był przenikliwy, dobitny. Zza nadburcia mostku dobiegł nas spazmatyczny kaszel diesla, który po chwili przeszedł w regularny warkot motoru. Przez moment staliśmy nieruchomo, wsłuchani w jego muzykę, czując pod stopami wibrowanie pokładu.

Potem rzuciliśmy się korytarzem do mostku. Stanęliśmy u szczytu trapu wiodącego na dziobowy dolny pokład, gdzie za lukiem drugiej ładowni stała potężna pompa ssąca. Maszyna szła na pełnych obrotach, zaś gruba rura, tam gdzie ginęła w otworze wyciętym specjalnie w pokrywie luku kontrolnego, pulsowała strumieniem wody, która rozlewając się po pokładzie nikała w odpływnikach.

A jednak nie było nikogo. Dolny pokład ział pustką i w całej dziobowej części statku ani żywego ducha.

Kryło się w tym coś niesamowitego.

- Zajrzyj na mostek - powiedział Patch. - Ktoś przecież musiał uruchomić tę pompę.

Daliśmy nura z powrotem w korytarz i wyszliśmy na mostek. Wszystko było takie znajome, ale jednak straszliwie zmienione. Powybijane szyby, potrzaskane drzwi, przez, które gwizdał wiatr pędząc po zasypnym piachem pokładzie małe strumyki wody. Nikogo - ani tu, ani w kabinie nawigacyjnej. Nagle Patch, wskazując coś, chwycił mnie za ramię. W pewnej odległości od dziobu sterczała jak filar skała z omotaną wokół niej grubą stalową cumą. Lina, mocno naprężona, biegła od skały do statku spełniając rolę kotwicy. Była to ta sama lina, o którą zacząłem podplwając w nocy do dziobu.

Ale Patch wskazywał na coś innego... na małą błękitną dingi wylaniającą się właśnie spod dziobu „Mary Deare”. Był to Higgins, który wiosłował w stronę skały. Czapka z daszkiem na byczej głowie, potężne bary i granatowy żeglarski sweter - wszystko rysowało się wyraźnie w zimnym szarawym blasku. I nie mniej wyraźne były jego intencje. Krzyknąłem z mostku, ale mnie nie usłyszał. Rzuciłem się więc do trapu, trapem na dolny pokład i na dziobówkę.

- Higgins! - wrzasnąłem ile sił. - Higgins!

Ale chwilami porywy wiatru były tak silne, że mój głos do niego nie docierał. Dobił właśnie do skały i przywiązawszy dingi zaczął się wspinać. Dosięgnął wreszcie stalowej pętli i specjalnie przyniesioną w tym celu żelazną sztabą zaczął ją podwazyć, podczas gdy ja, stojąc pod wiatr, krzychałem do niego z dziobu „Mary Deare”.

Cały czas był obrócony do mnie plecami. Kiedy udało mu się już podwazyć pętlę, zepchnął ją ze skalnego szpica i cała utrzymująca statek lina - od punktu zaczepienia aż do kluzy - zwisała luźno wpadając z chlupotem do wody.

Potem Higgins zszedł ze skały i wszedł do dingi.

Dojrzał mnie w momencie, kiedy odczepił linę, i przyglądając się bacznie trwał jakiś czas w bezruchu. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, a potężne ramiona opadły ze zmęczenia. Ani na chwilę nie przestawałem wołać, aby z powrotem zamocował cumę do skały.

- Idzie sztorm! - wrzeszczałem. - Sztorm! - Powtarzałem w kółko to jedno słowo, jak gdybym chciał je wbić w tę tępa głowę.

Być może powiodło mi się, bo Higgins odbił od skały, zawrócił dingi jednym wiosłem i skierował ją w stronę „Mary Deare”. Czy ogarnęła go panika i rozpaczliwie usiłował się dostać na pokład, czy też poruszony nagle niezwykłością tego miejsca chciał nas ratować - nie dowiem się nigdy. Prąd pływowy był południowy o szybkości około trzech węzłów i chociaż Higgins wiosłował jak szaleniec, żeby go przewyciężyć, posunął się zaledwie o jakieś dwadzieścia jardów. Zmęczył się szybko i po pierwszym wybuchu energii nie robił już dalszych postępów - stopniowo poddawał się prądowi, który znosił go coraz dalej od statku.

W końcu dał za wygraną. Zatrzymał się po zawietrznej GruneaCroc i objąwszy skałę siedział ze schyloną głową, oklapły z wyczerpania, nie spuszczać oka ze statku.

Hałas pompy zamarł nagle i wówczas zdałem sobie sprawę z wycia wiatru w potrzaskanej nadbudowie. Patch wyłączył silnik i wyszedł mi naprzeciw, gdy schodziłem na dół z dziobówki.

- Musimy ją zatopić. - Jego głos zabrzmiał donośnie i czysto. - To nasze jedyne wyjście.

Ale nie było sposobu zatopić jej teraz. Każdy otwór wentylacyjny, każda dziura była uszczelniona, nie mogliśmy się dostać do kingstonów. Nawet drzwi maszynowni zostały zaspawane, żeby tylko uniemożliwić dopływ wody. Ekipa ratownicza uszczelniła cały wrak jak łódź podwodną.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak być dobrej myśli - powiedziałem.

Patch zaśmiał się. Jego śmiech zadźwięczał głucho pod stalowym sklepieniem korytarza.

- Zachodni sztorm przyniesie dużą falę. Zepchnie „Mary Deare” w czasie przyływu. Musi znieść, nic jej przecież nie trzyma. Wypompowano z niej całą wodę, z wyjątkiem dwóch ładowni dziobowych. - Jego głos zabrzmiał szorstko, chrapliwie. - Nie chodzi przecież o mnie - przyjrzał mi się. - Ale ty... - A potem wzruszył ramionami i dodał:

- Lepiej chodźmy zobaczyć, czy nie ma tu czegoś do zjedzenia.

Byłem zaskoczony, że tak szybko pogodził się z sytuacją, idąc za nim do kuchni cały czas wyrzucałem sobie, że nie zbudziłem się w porę. Francuska ekipa ratownicza przycumowała statek bezpiecznie z dziobu i z rufy, a Higgins luzował liny.

Nie mogłem nawet nienawidzić tego człowieka. Nie miałem dość siły. Ale gdybym tylko wstał w momencie, kiedy usłyszałem te kroki... Jakby czytając w moich myślach Patch odezwał się:

- Jedno jest pewne. Higgins będzie się miał z pyszna w tej swojej dingi.

W kuchni panowały ciemności i zaduch. Przed nami było tu już morze i Francuzi. Ani śladu puszek. Szafa pełna chleba, który przypominał rozmokłą, zapleśniałą masę, jakieś mięso rojące się mrowiem robaków, pokryte szlamem piachem masło. Jedyne, cośmy znaleźli godnego uwagi, to kawałek sera nie zepsuty w środku, szklanka na wpół wysuszonej musztardy, trochę marynat i nadtłuczony słoik dżemu pomarańczowego.

Pochłonęliśmy to wszystko zaspokajając pierwszy głód, następnie splądrowaliśmy mesę, kabiny załogi i oficerów. Oszukiwania nasze uwięczyła garść jakichś lepkich roztopionych słodczy, słoik konserw z imbiru - i - najcenniejsze ze wszystkiego - dwie puszki wołowiny, niewątpliwie własność któregoś palacza.

Unieśliśmy skromny łup do małej nadbudówki na rufie, gdzie zjedliśmy go dygocąc i słuchając coraz silniejszego wycia wiatru.

Sztorm nadszedł szybko i fala zmieniła kierunek. Potężne grzywacze rozbijając się o burty „Mary Deare” zaczęły sięgać mostku. Wkrótce poczuliśmy ruch statku pod nogami. W

pewnym momencie, kiedy wyjrzałem przez drzwi, mignęła mi błękitna dingi balansująca od zawietrznej GruneaCroc.

Około południa sztorm był w pełni. Fale waliły w przednią część statku, mostek co chwila ginął za białym tumanem spienionej wody, a cały kadłub dygotał od wściekłych ataków morza. Zalewało dolny pokład, a ciosy fal o poszycie burt były tak gwałtowne, że w pewnej chwili zdałem sobie sprawę, iż wstrzymuję oddech, jak gdybym sam te ciosy odbierał. Huk nie ustawał. Wypełniał całkowicie moją głowę, nie pozostawiając miejsca na żadną inną myśl poza straszliwą, nieustanną świadomością grozy. A w dali, za obmywanym przez morze wrakiem, malały kikuty raf w miarę, jak Minki niknęły w chmurze białej piany.

Jeszcze raz zobaczyłem Higginsa, mniej więcej na jakieś dwie godziny przed wysoką wodą. „Mary Deare” zaczynała się właśnie unosić i przesuwać w swoim piaszczystym łożysku, zaś GruneaCroc sterczała jak szary ząb przesłonięty gnany przez wiatr obłokiem pyłu wodnego. Higgins opuszczał się z wierzchołka skały do swojej dingi. Widziałem, jak wszedł i chwycił za wiosła. Potem przyszedł szkwał zamazując wszystkie kontury i nagle Higgins zniknął mi z oczu za kurtyną deszczu.

Wtedy widziałem go po raz ostatni. Zresztą nie tylko ja. Przypuszczałem, że usiłował dobrnąć do „Mary Deare”

A może wyobrażał sobie, że zdoła w swojej dingi dotrzeć do lądu? W każdym razie nie miał wyboru:- GruneaCroc byłaby nieosiągalna w czasie wysokiej wody.

Dłuższy czas stałem w drzwiach nadbudówki z oczami przymrużonymi od deszczu, wypatrując go poprzez szkwał. Wreszcie woda zapędziła mnie z powrotem do środka. Kiedy powiedziałem Patchowi, jak Higgins zginął, wzruszył tylko ramionami i odparł:

- Ma szczęście sukinsyn, pewnie już nie żyje. - W jego głosie nie było złości, tylko zmęczenie.

Nadbudówka miała około dziesięciu stóp na sześć, ściany wyłożone stalową blachą, koję, parę połamanych gratów iluminator bez szyby i podłogę pokrytą warstwą piachu. Było tu wilgotno i zimno, a w powietrzu kłębił się tuman przygnanej wiatrem mżawki. Kabina rezonowała na każdy dźwięk jak blaszane pudło. Wybraliśmy ją jednak na schronienie, ponieważ była wysoko na rufie.

Przez jakiś czas zdawaliśmy sobie sprawę z ruchu polegającego na unoszeniu się i opadaniu stalowych ścian w takt salw karabinowych rozbijających się o kadłub statku fal. Teraz było to przesuwanie się i zgrzyt stępki - dźwięk wyczuwani raczej niż słyszany, bo trudno mówić w tych warunkach o słyszeniu czegokolwiek poza niewiarygodnym wprost, przytłaczającym rykiem morza. A potem stopniowo zaczęło się uciszać. Pył wodny przestał

wpadać przez iluminator drzwi otworzyły się z trzaskiem. „Mary Deare”, uwolniona ze swego łóżyska, zawracała właśnie dziobem do wiatru.

Stwierdziłem, że GruneàCroc zamiast za lewą jest już a prawą burtą, a „Mary Deare” płynie. Poruszała się nieco łatwiej, huk morza nie był już tak przeraźliwy. Wysoko zadarta rufa spełniała w pewnym sensie rolę żagla statek sunął wprost na łamiące się fale. Słyszałem, jak wałą w mostek, i widziałem, jak woda rozpryskując się w ogromny biały obłok wdziera się każdą szczeliną, podczas gdy GruneàCroc ginie w oddali.

Krzyknąłem do Patcha, że jesteśmy na otwartych wodach; wyszedł z kabiny, żeby popatrzeć na nieprawdopodobne zjawisko: pływający wrak, którego pokłady, nachylone tak, że cała przednia część statku była pod wodą, przypominały wartkie strumienie.

- Płyniemy! - krzyknąłem. - Jeśli tylko uda nam się wyminąć Les Sauvages, wszystko będzie w porządku.

Spojrzał na mnie. Zastanawiał się chyba, czy nie pozostawić mnie w nieświadomości, ale po chwili rzekł:

- Zaraz będzie wysoka woda.

Skinąłem głową.

- Pewnie za chwilę. - I nagle uświadomiłem sobie prawdę: jprzez jakieś dobre sześć godzin po wysokiej wodzie prąd będzie północnozachodni, prąd, który zagna nas z powrotem na Minki - na obnażone w czasie odpływu rafy. - O Boże! - wyrwało mi się. Wróciłem do kabiny i padłem na koję.

Najpotworniejsze ze wszystkiego było to, że nie mogliśmy zrobić nic - absolutnie nic.

Aż do zmroku tłukliśmy się w białym kłębowisku nie widząc ani śladu skały. Nie wiem, czy spałem, czy po prostu leżałem w stanie jakiegoś zamroczenia, w każdym razie wstrząs rzucił mną o podłogę. Wszystko to przyszło nagle jak cios zbrojnej pięści: gwałtowne zderzenie, a potem powolny trzask i zgrzyt, w miarę jak stalowe poszycie ustępowało pod naporem patroszących statek skalnych złomów; jednocześnie łomot fal przybrał na sile, stał się jeszcze bardziej przytłaczający.

Leżałem zupełnie nieruchomo tam, gdzie upadłem, czując całą swoją istotą granitowe zęby i w każdej chwili oczekując, że pochłonie nas morze. Ale nic się nie stało, tylko przepływający nad nami obłok rozpylonej wody musnął mnie po twarzy, a przeraźliwy zgrzyt nie ustawał, wtapiając się w ogólny hałas.

Podłoga kabiny była zupełnie przechylona i kiedy zdołałem się podnieść, nagłe drgnienie statku rzuciło mną tak, że wypadłszy przez drzwi, z głuchym łoskotem i potwornym bólem zwichniętej ręki zatrzymałem się o gródź.

Wtedy zobaczyłem resztę statku i nagle ból przestał się I liczyć. „Mary Deare” leżała na burcie odcinając się wyraźną linią od kipieli. Mostek przypominał kupę pogiętego szmelcu, a złamany w połowie przedni maszt dyndał w kłębowisku stalowych lin bomów ładowniczych. Ponad dziobem bezustannie przewalały się fale. Patch leżał w pół oparty o drzwi nadbudówki. Krzyknąłem do niego:

- Jak długo... - słowa uwięzły mi w gardle.
- Zanim pójdzie na dno?
- Tak. Jak długo to potrwa?
- Bóg raczy wiedzieć.

Przestaliśmy się odzywać. Tkwiliśmy w miejscu zbyt przemarznięci, zmęczeni i zafascynowani tym wszystkim by się poruszyć, obserwując, jak z morza piany wyłaniają się poszarpane wierzchołki głazów.

Męczący półmrok z wolna ustąpił ciemności. Usłyszeliśmy! trzask odłamującego się dziobu, powolną agonię stortuowanego metalu - oddartego gdzieś za rumowiskiem mostka. Po czym reszta statku, jak gdyby uwolniona od ciężaru, uniosła się lekko, sunąc z przeraźliwym dygotem i jękiem poprzez najeżone rafy. W lewo, na tli łamiącej się fali, widać było czarny klin dzioba, z którego boku, w miejscu gdzie zostało rozerwane poszycie, wysypywał się ładunek. Bele bawełny kołysały się dokoła na wodzie a z wielkimi skrzyniami zawierającymi rzekomo silnik lotnicze igrały fale rozbijając je w drzazgi o skały.

Patch chwycił mnie za ramię.

- Popatrz! - krzyknął.

Podpłynęła do nas otwarta skrzynia, której zawartość kaskadą wpadała do morza. Bóg jeden wie, co to było. 4rok nie pozwalał mi dojrzeć. Z pewnością jednak nie był rozwarty blok lotniczego silnika.

- Widziałeś? - Wskazywał coś, wciąż trzymając mnie zaamię.

Nagle opuściło go całe podniecenie: wrak, na którym staliśmy, pękł w poprzek tylnej części górnego pokładu. przez całą szerokość statku otworzyła się ogromna szczelina. - lewy trap wiodący na dolny pokład, wyrwany z uchwytów, skręcał się z wolna, jak gdyby siłą niewidzialnej ręki. Nity puściły z hukiem karabinowych wystrzałów, a blachy stalowego poszycia darły się niby perkal.

Szczelina poszerzała się - jard, dwa jardy - aż wreszcie noc zakryła statek. Jednocześnie opadająca woda odsłoniła rafy, morze cofnęło się i wrak znieruchomiał.

Wróciliśmy do kabiny, pod przemoczone koce. Żaden: nas nie odezwał się słowem. Może zasnęliśmy. Nie pamiętam.

Nie zachowałem żadnych wspomnień z tej nocy. Jest ona pustą kartą w mojej pamięci.

Nieustanny ryk morza, jakaś niesamowita nuta, którą wiatr wygrywał na powykręcanych metalu, i brzęk oberwanej lachy - to wszystko, co mogę sobie przypomnieć. Nie czułem strachu. Przypuszczam, że nie odczuwałem już lawet zimna. Osiągnąłem to stadium fizycznego i psychicznego wyczerpania, - które przekracza granice wszelkiego odczucia.

Ale pamiętam świt. Wsączył się do mrocznych zakamarków mojej świadomości wrażeniem czegoś niezwykłego. Udałem sobie sprawę z jakiegoś ruchu - z głębokiego kołysania to na jedną, to na drugą stronę. Słyszałem szum morza, ale nie było w nim już wczorajszej mocy. Ustał łoskot i ryk mas wodnych; ktoś mnie wołał. Blask słoneczny wraził moje oczy, jakaś twarz pochyliła się nade mną, warz spocona i zarumieniona pod siwiejącą szczeciną zarostu, z głęboko osadzonymi oczami i skórą napiętą na czole i kościach policzkowych.

- Płyniemy! - powiedział Patch. Popękane wargi rozchyliły się w czymś na kształt uśmiechu. - Chodź i zobacz.

Powlokłem się do wyjścia i ujrzałem dziwną scenę. Rify zginęły. Słońce lśniło na falującej powierzchni morza, ale nigdzie ani śladu skały. Cała dziobowa część dolnego pokładu „Mary Deare” znikła, reszta zaś była pod wodą. Ale Patch miał rację - płynęliśmy, sama rufa i nic więcej. Świeciło słońce, wiatr przycichł. Czułem, jak Patch dygocze oparty o mnie. Myślałem, że to wzruszenie. Ale nie. To była gorączka.

Około południa nie mógł się już ruszyć. Z szeroko rozwartymi oczami, z niezdrowym rumieńcem, cały spływał potem. Zbyt długo przebywał na Wschodzie, żeby wytrzymać noc pod gołym niebem w przemoczonym ubraniu i o głodzie. Wieczorem stracił przytomność. Jego majaczenia w przeważającej części były niezrozumiałe, lecz od czasu do czasu słowa docierały wyraźnie: zorientowałem się, że jeszcze raz odbywa ten rejs przez Zatokę Biskajską, wydaje rozkazy, rozmawia z Rice'em... Urywane strzępy zdań świadczyły o straszliwym napięciu, jakie przeżywał.

Pod koniec dnia przeleciał nad nami niewielki samolot. Patrzyłem, jak ku północnemu zachodowi zniża lot i połyskuje skrzydłami w blasku zachodzącego słońca. Szukali nas na Minkach. Potem zapadła noc, a my - głęboko zanurzeni - wciąż unosiliśmy się na wodzie. Ustał wiatr, na czystym niebie pełnym gwiazd wisiał młody księżyc kreśląc wąską srebrną smugę na spokojnym morzu, które wzdychało łagodnie jak odpoczywający olbrzym.

Tej nocy byłem tak osłabiony, że ledwo mogłem się poruszać. Wstrząsany od czasu do czasu dreszczami Patch leżał jak trup w bladej poświacie, z wypiekami na twarzy, z szeroko

rozwartymi oczami. W pewnym momencie zerwał się cały rozdygotany, łapiąc mnie za rękę i wylewając z siebie potok beładnych słów. Ale ten nagły wybuch trwał krótką chwilę. Nie miał siły, padł z powrotem wyczerpany. Do rana leżałem tuż przy nim, ale przecie:-sam nie miałem dość ciepła, żeby go ogrzać, i o świcie wyglądał niby zjawa, jakiś maleńki, skurczony pod stertą cuchnących koców.

Po wschodzie słońca raz jeszcze zobaczyłem Minki. Majaczyły na horyzoncie - niewielkie strzępiaste plamy czerni, wyraźne na tle jasnego już nieba.

A potem, znacznie później, doszedł mnie warkot silnika samolotu. Wyciągnąłem Patcha na pokład, na słońce, ale był już zupełnie nieprzytomny. Samolot minął nas. Widziałem jego cień na wodzie; zebrałem się w sobie i zamglonymi, pełnymi piasku oczami zacząłem go szukać na niebie. Zrobił łuk i wychodząc z kręgu słonecznego światła wracał do nas tuż nad wodą. Złapałem się za reling i kiedy śmignął mi nad głową z warkotem silników, zacząłem wymachiwać do niego kocem.

Samolot odleciał w stronę Minków. W jakiś czas potem, leżąc na ciepłym pokładzie w stanie półprzytomności, usłyszałem pulsowanie silnika i głosy.

Była to łódź ratunkowa z Peter Port. Podpłynęli do burty i na dźwięk przyjaznych głosów wróciło życie... Silne ręce przesadziły mnie przez reling, włożono mi do ust papierosa. Zostaliśmy rozebrani ze sztywnego od soli, przemoczonego odzienia i zawinięci w koce. I wreszcie przyszedł sen - cudowne ciepło i odprężenie. Pamiętam jednak, że zanim zapadłem w nieświadomość, ktoś powiedział:

- Może chcecie ostatni raz spojrzeć na wasz statek? - Czyjaś ręka uniosła mi głowę. Nie zapomnę nigdy ostatniego mgnienia tego, co z niej zostało. Była zwrócona do nas rufą, zanurzona tak, że nadbudówka, w której spędziliśmy dwie noce, wyglądała jak pływający kurnik. I nagle w zagłębieniu fali ujrzałem przezarty rdzą napis: „MARY DEARE - Southampton”.

Jeśli chodzi o mnie, historia „Mary Deare” kończy się u kresu Minków. Z Patchem jednak sprawa miała się zgoła inaczej. Był w nią znacznie bardziej bezpośrednio zamieszany, co uświadomiono mi natychmiast, ledwo ocknąłem się w szpitalu w Peter Port. Nie zdawałem sobie wówczas z tego sprawy, ale spałem przeszło dwadzieścia godzin. Dokuczał mi potężny głód, zaś pielęgniarka przyniosła jedynie niewielki kawałek gotowanej ryby oświadczając, że ktoś bardzo pilnie chce się ze mną zobaczyć. Myślałem, że to może Mike, kiedy jednak drzwi się otwarły, stanęła w nich dziewczyna.

- Kto to? - spytałem. Zastłony były zaciągnięte i w pokoju panował mrok.

- Janet Taggart. - Podeszła do mojego łóżka i dopiero wtedy ją poznałem. Wyglądała na bardzo zmęczoną, miała głębokie sińce pod oczami. - Musiałam się z panem zobaczyć, jak tylko się pan obudzi.

Zapytałem, jak tu trafiła, na co odparła:

- Pisali w gazetach. Przyszłam od razu. - Pochyliła się nade mną. - Niech pan posłucha, panie Sands. Ja pana bardzo proszę, niech pan posłucha. Pozwolili mi tu wejść tylko na chwilę. - Jej głos drżał z niecierpliwości. - Musiałam się z panem zobaczyć, zanim pan będzie z kimkolwiek rozmawiał.

Zawahala się, więc spytałem:

- No, dobrze, ale o co chodzi? - Z trudnością mogłem się skupić. Tylu rzeczy chciałem się dowiedzieć, a w dalszym ciągu byłem zamroczony.

- Wkrótce przyjdzie tu policja pana przesłuchać. - Urwała. Odniosłem wrażenie, że z trudnością formuluje słowa. - Gideon uratował panu kiedyś życie, prawda?

- Gideon? - Oczywiście miała na myśli Patcha. - Tak - odparłem. - Tak, z pewnością. - I wreszcie spytałem o jego zdrowie. Czy nie mówiono mi, że ma zapalenie płuc? Miałem jakieś niejasne wspomnienie, że mówił mi to lekarz oglądając moje ramię.

- Tak - powiedziała. - Jest bardzo chory. Ale ostatniej nocy przeszedł kryzys. Teraz już będzie wracał do zdrowia, mam nadzieję.

- Była z nim pani cały czas?

- Tak, zależało mi na tym. Musiałam, na wypadek gdyby bredził. - I dodała spieszenie.

- Panie Sands, ten Dellimare... pan wie, co się z nim stało, prawda?

Skinąłem głową. Więc i to jej powiedział.

- Nikt przecież teraz nie musi się dowiedzieć - mruknąłem.

Poczułem się zmęczony i bardzo słaby. - Cała dziobowa część statku odłamała się o rafę.

- Tak, wiem. To właśnie powód, dla którego musiałam się z panem zobaczyć, zanim złoży pan jakiegokolwiek zeznanie. Niech pan nikomu o tym nie mówi, dobrze? Bardzo pana proszę. On już dość przeżył.

Skinąłem głową.

- Dobrze, nie powiem nikomu - odparłem. - Ale jest jeszcze Mike. On też wie.

- Mike Duncan? Z nim już się widziałam. Nie rozmawiał jeszcze z nikim z prasy ani z policji. Obiecał, że nie zrobi w tej sprawie nic, dopóki nie zobaczy się z panem. Wszystko zależy od pana.

- Widziała się pani z Mike'em? - Uniosłem się na łóżku. - Co u niego słychać? Zdrow?

- Tak, jest tu, w Peter Port. - Znów pochyliła się nade mną. - Czy mogę mu powiedzieć, że pan zapomniał, co Gideon panu mówił? I że pan sobie życzy, żeby on milczał?

- Tak - odparłem. - Tak, oczywiście. Nie ma powodu mówić o tym teraz. Było, przeszło, sprawa skończona. - Potem spytałem, jak znaleziono Mike'a.

- Rybak z Saint Helier znalazł motorówkę przed samym sztormem. Na pokładzie był jeszcze jakiś człowiek, Burrows, ciężko ranny, ale złożył na policji zeznania w sprawie Higginsa. A teraz - dodała - czas już na mnie. Trzeba jeszcze wpaść do pana Duncana, a potem muszę być przy Gideonie, jak się obudzi, pilnować, żeby nic nie mówił. Mógłby wszystko zepsuć - uśmiechnęła się blado. - Taka jestem panu wdzięczna.

- Niech pani powie Mike'owi, żeby przyszedł mnie odwiedzić. - Kiedy była już przy drzwiach, dodałem: - A Gideona, jak się obudzi, niech pani zapewni, że nie ma się już czego obawiać... absolutnie nie ma czego.

Uśmiechnęła się. Jakieś nagle ciepło rozświetliło jej twarz. Przez chwilę była znów dziewczyną z fotografii. Potem drzwi się zamknęły. Położyłem się spać. Kiedy się ocknąłem, było już rano, zasłony rozsunięto i przez okno wsączał się promień słońca. Przyszła policja i złożyłem zeznanie. Był z nimi jakiś cywil z Southampton, ale trudno się było z nim porozumieć. Jedyne, czego się dowiedziałem o Patchu, to to, że nie ma w tej chwili nakazu aresztowania. Potem zjawili się reporterzy i wreszcie Mike. Policja nie wpuściła go do mnie przed przesłuchaniem.

Przyniósł pełno nowin. Rufowa część „Mary Deare” i osiadła na Chausey Island. Pokazał mi zdjęcie w gazecie - szczątki statku leżące na boku wśród skał, w czasie odpływu. Wczoraj przybył do Peter Port Snetterton. Miał ze sobą ekipę ratowniczą. Wyruszyli na Chausey Island jakąś miejscową łodzią rybacką.

- Byłem w naszym towarzystwie ubezpieczeń - powiedział Mike. - Całkowicie honorują nasze roszczenia. Będziemy mieli dość, żeby sobie zbudować jacht według własnego pomysłu, jeśli oczywiście zechcemy.

- To znaczy, że cały sezon stracony - odparłem.

Skinął głową z uśmiechem.

- Tak się składa, że akurat jest do sprzedania łódź tu na miejscu, w Peter Port... myślę, że by się nadała. Widziałem ją wczoraj wieczorem. Oczywiście nie taka ładna jak „Wiedźma Morska”...

Mike był pełen projektów. Jeden z tych niepokonanych ludzi, którzy wstają na równe nogi w momencie, kiedy się ich znokautuje. Podziałął na mnie jak najlepszy środek wzmacniający i chociaż miał jeszcze kawał plastra na szczęcie, w miejscu gdzie miał rozciętą skórę, wyglądał wcale nie gorzej niż normalnie po swoich trzydziestu godzinach spędzonych na wraku.

Wypuszczono mnie ze szpitala następnego dnia i kiedy Mike przyszedł mnie zabrać, przytaskał ze sobą cały plik londyńskich gazet.

- Całkiem sporo o tobie piszą - rzekł ciskając mi to wszystko na łóżko. - Przyleciał nawet jakiś facet z prasy i chce ci zaofiarować niebrzydką sumkę za sprawozdanie z pierwszej ręki. Jest teraz w hotelu.

Potem poszliśmy obejrzeć łódź, którą wyszperał Mike. Była tania i drewno miała zdrowe, więc kupiliśmy ją od ręki. Wieczorem zjawił się w naszym hotelu Snetterton, jak zwykle schludny, jak zwykle elegancki w garniturze z tenisu, nawet mimo dwóch dni spędzonych na Chausey Island.

Przy niskiej wodzie włamali się do ładowni czwartej i odbili trzy skrzynie. W środku znaleźli bloki betonowe.

- Wynik zadowolający, panie Sands, zadowolający w najwyższym stopniu. Posłałem pełny raport do Scotland Yardu.

- Ale wszystko jedno, wasza firma w San Francisco będzie musiała wypłacić ubezpieczenie, prawda? - spytałem.

- No tak, oczywiście. Ale odbierzemy je sobie od Spółki Dellimare'a. Tak się szczęśliwie złożyło, że mają w banku pokaźny kredyt: zysk ze sprzedaży „Torre Annunziata” i jej ładunku. Udało nam się to zamrozić aż do wyniku śledztwa. Wydaje mi się - dodał w zamyśleniu - że teraz pan Gundersen powinien powierzyć sprzedaż silników lotniczych innej spółce. No, ale najsprytniejsze plany... - uśmiechnął się popijając sherry. - Trzeba przyznać, że pomysł był niegłupi. Nawet bardzo mądry, a że się nie powiódł... to zasługa pana Patcha, no i pana - spojrzał na mnie sponad szklaneczki. - Zwróciłem się do Towarzystwa H.B. & K.M. No, zobaczymy...

Nie udało mi się złapać Patcha przed wyjazdem z Peter Port. Zobaczyliśmy się dopiero w trzy tygodnie później, zeznając razem w czasie podjętego na nowo dochodzenia. Był jeszcze ciągle bardzo słaby. Oskarżenie zostało umorzone. Gundersen wymknął się z kraju, a Burrows i pozostali członkowie załogi aż nazbyt chętnie mówili teraz prawdę tłumacząc się, że podtrzymywali wersję Higginsa, ponieważ byli zastraszeni.

Sąd orzekł, że strata „Mary Deare” była wynikiem zмовы właścicieli mających na celu dokonanie malwersacji. Patch został uwolniony od wszelkich zarzutów, a cała sprawa przekazana policji.

Historia zyskała ogromny rozgłos w owym czasie, w wyniku czego Patchowi powierzono dowództwo dziesięcioletniego „Wacomo”. Byli już wtedy z Janet po ślubie, w którym nie mogliśmy nawet uczestniczyć ze względu na program naszego nurkowania. Spotkałem go dopiero we wrześniu następnego roku.

Byliśmy właśnie z Mike’em w Avonmouth przygotowując się do wydobycia wraka w Kanale Bristolskim, kiedy nadpłynął z Singapuru „Wacomo” i zacumował po przeciwnej stronie portu. Tego wieczoru jedliśmy wspólnie z Patchem kolację.

Ledwo go poznałem. Bruzdy znikły z jego twarzy i choć pozostał na niej wyraz zmęczenia, a na skroniach zaczęła się pojawiać siwizna, wyglądał młodo i interesująco w mundurze ze złotymi paskami. Na jego pulpicie stała ta sama co niegdyś fotografia w srebrnej ramce, ale na dole Janet napisała: „Dla mego męża - tym razem - szczęśliwej podróży”. A na ścianie wisiał oprawiony list od Towarzystwa H.B. & K.M. z San Francisco. List ten został wręczony Janet przez Snettertona na ich ślubnym przyjęciu wraz z czekiem na 5000 funtów, jako dowód uznania za zasługi Patcha w ujawnieniu zмовы - całkiem niezła sumka! W owym czasie pracowałem z Mike’em nad pewnym wrakiem w okolicach Hook of Holland i po powrocie do domu zastałem podobny list wraz z czekiem na 2500 funtów, „jako skromne zadośćuczynienie za stratę pańskiego jachtu”.

Ciała Alfreda Higginsa nie wyłowiono nigdy, ale w sierpniu tegoż roku w szczelinie skalnej z południowej strony Alderney znaleziono blaszaną dingi z łatami błękitnej farby. Była zmiądzona przez fale prawie na płasko.

I na koniec jeszcze jedno - zapis w dzienniku okrętowym „Wiedźmy Morskiej II” z dnia ósmego września, zaraz po zlokalizowaniu wraka w Kanale Bristolskim. Brzmiał on: „11.48. Frachtowiec »Wacomo« minął nas w drodze do Singapuru i Hongkongu. Sygnalizowali: »Pozdrowienia od kapitana Patcha, który tym razem nie ma zamiaru - powtórzyć - nie ma zamiaru na was wpadać. Pomyślnych wiatrów!« Potem trzykrotnie odezwała się ich syrena, na co odpowiedzieliśmy na naszym rożku mgłowym”.

W miesiąc później, kiedy „Wiedźma Morska II” leżała już przygotowana do sezonu zimowego, zacząłem opisywać tę historię.